



Debra Webb



Najbliższy wróg

Tytuł oryginału: Secrets in Four Corners

BOHATEROWIE

Detektyw Sabrina Bree Hunter – Bree reprezentuje prawo oraz swoich ludzi. A jednak skrywa tajemnicę, której ujawnienie mogłaby obrócić całe jej życie w ruinę.

Szeryf Patrick Martinez – osiem lat wcześniej Patrick nie powinien był pozwolić Bree odejść. Teraz, gdy znów przyszło mu z nią pracować, dociera to do niego z całą mocą. Cóż, skoro dla tych dwojga jest już za późno...

Burt Hayes – przewodnik w Ute Tribal Park, który odkrywa ciało. Czy wie więcej, niż chce powiedzieć?

Oficer Steve Cyrus – czy na pewno nadaje się na policjanta? Za każdym razem, gdy widzi trupa, zwraca lunch.

Callie MacBride – główny ekspert w dziedzinie medycyny sądowej w laboratorium kryminalistycznym Kenner County. Najnowsza sprawa nie daje jej spokoju.

Agent specjalny (szef biura) Jerry Ortiz – starszy oficer Jerry Ortiz, który stacjonuje w Durango w stanie Kolorado, najwyraźniej nie cofnie się przed niczym, byle rozwiązać zagadkę śmierci agentki Julie Grainger.

Agenci specjalni Tom Ryan oraz Dylan Acevedo – przebyli długą drogę, by na własne oczy ujrzeć, jak zabójca ich przyjaciółki staje przed sądem. Ale czy to możliwe, że morderca wywodzi się z ich własnych szeregów?

Sherman Watts – szumowina zdolna do wszystkiego.

Julie Grainger – oddana służbie agentka specjalna, którą znaleziono martwą. Czy jej śmierć doprowadzi jej kolegów do odkrycia prawdy?

Vincent Del Gardo – wszystko wskazuje na to, że to on właśnie jest sprawcą okrutnego czynu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sabrina Hunter, do której wszyscy zwracali się po prostu Bree, zapięła na biodrach pas policyjny z wyposażeniem i powiedziała:

– Jedz szybciej, Peter, bo się spóźnimy,

Peter Hunter spojrzał na swoją mamę, a łyżka pełna płatków śniadaniowych zastygła w połowie drogi między talerzem a jego ustami.

– Przecież zawsze się spóźniamy – odparł. Zdecydowanie nie było się czym chwalić.

– Tak, ale pamiętaj, że zgodnie z naszym noworocznym postanowieniem, będziemy usilnie pracowali nad tym, żeby już więcej się nie spóźniać – przypominała mu matka.

Przecież był dopiero dwunasty stycznia – czyżby tak prędko mieli zaniechać noworocznego postanowienia?

Peter, w zamyśleniu przeżuując płatki, pochylił głowę i raz jeszcze wystawił cierpliwość mamy na próbę.

– Prawda czy wyzwanie? – zapytał.

Bree wzięła głęboki oddech, starając się nie stracić cierpliwości.

– Jedz. Nie mamy teraz czasu na taką zabawę.

– Ich ulubiona zabawa w „prawdę czy wyzwanie” wymagała dużo wolnego czasu na żartobliwą, swobodną, ale i uczciwą rozmowę.

Wcisnęła komórkę do zasobnika na pasku. Poniedziałki nigdy nie były łatwe, zwłaszcza, gdy Bree była wzywana do pracy w weekend, a jej synek musiał wtedy spędzać większość czasu ze swoją ciotką Tabithą, która – razem zresztą ze swoją nastoletnią córką Laylą – potwornie rozpuściła chłopca. Mimo to Bree cieszyła się, że sieć wzajemnej pomocy w ramach rodziny działała bez

zarzutu za każdym razem, gdy wzywała ją służba – jak na przykład w ten weekend.

Peter przełknął porcję płatków, po czym spokojnie zapytał:

– Prawda. Czy mój prawdziwy tata jest takim samym draniem jak Big Jack?

Bree zakrztusiła się, a potem zakaszła. Postawiła kubek z powrotem na blacie i wbiła wzrok w syna.

– Gdzieś ty usłyszał coś takiego?

– Layla tak powiedziała – oświadczył stanowczym głosem. – A ciocia Tabitha powiedziała jej, żeby siedziała cicho, bo mogę wszystko usłyszeć. Czy to prawda? Czy mój prawdziwy tata jest draniem?

– Posłuchaj, Peter. Musiałeś źle zrozumieć.

Oddychaj, rozkazała sobie w duchu Bree. Zwilżyła usta i w myślach rozpaczliwie poszukała pomysłu, jak zmienić temat.

– Bierz kurtkę i lecimy do szkoły. Wspomnienia kłębiły się jej w głowie. Wspomnienia, których – jak wiele lat temu przysięgała sama przed sobą – nigdy więcej nie dopuści do głosu. Tak brzmiało jej drugie postanowienie noworoczne, to, którego nie powiedziała głośno. Minęło już osiem lat, a to najwyższy czas, by w końcu wyrzuciła go ze swojej głowy i swojego serca raz na zawsze.

Niby co, do diabła, myślała sobie Layla, wspominając o ojcu Petera, ot tak? Zwłaszcza w sytuacji, gdy Peter znajdował się w zasięgu wzroku. Chłopiec uwielbiał bawić się w chowanego, podkradać się zniecka do mamy albo cioci. A dzięki swojej ciekawskiej naturze wszędzie potrafił wetknąć nos. Tabitha i Layla dobrze o tym wiedziały!

– Nieee. Dobrze zrozumiałem. – Peter odsunął się z krzesłem od stołu, ostrożnie podniósł talerz z płatkami i ruszył w stronę zlewu. Oplukał talerz i delikatnie umieścił go w zmywarce.

– Wyraźnie słyszałem, co mówiła.

– Layla prawdopodobnie miała na myśli...

– Bree przeczesła pamięć w poszukiwaniu jakiegoś imienia, kogoś znajomego, kogokolwiek, byle nie jego!

Lecz zanim udało jej się wymyślić imię albo znaleźć jakieś inne logiczne wyjaśnienie przejęzyczenia siostrzenicy, Peter znów odwrócił się w jej stronę, spojrzał na nią tym swoim pewnym siebie spojrzeniem bijącym z wielkich niebieskich oczu

– które tak bardzo przypominały oczy jego ojca i były zupełnie niepodobne do brązowych oczu Bree – i powiedział:

– Layla mówiła, że mój prawdziwy tata...

– Okej, okej. – Bree uniosła ręce do góry. – Już to słyszałam.

Jak, do jasnej anielki, miała na to zareagować?

– Porozmawiamy w drodze do szkoły.

W ten sposób być może zyska nieco na czasie, a jeżeli będzie miała szczęście, Peter zajmie się czymś innym i w ogóle zapomni o temacie ojca.

Bree marzyła o tym, żeby samej umieć o nim zapomnieć.

Będzie musiała poważnie porozmawiać z siostrą i jej córką.

Dzięki Bogu, Peter nie zamierzał się sprzeczać. Nałożył kurtkę i schylił się po plecak. Jak na razie szło gładko. Niewykluczone, że uda jej się z tego wykręcić. Czy to był z jej strony egoizm? Czy decyzja o tym, by przeszłość pozostała w przeszłości – włączając w to ojca Petera – oznaczała, że Bree oszukiwała swojego syna?

Bree odsunęła wątpliwości na bok i zarzuciła na siebie granatowy mundur z emblematem policji miasta Towaoc. Sięgnęła do szafy ustawionej przy drzwiach wejściowych, zdjęła z najwyższej półki zamykaną na klucz skrytkę, wyjęła z niej służbową broń i umieściła w kaburze. Po skończeniu liceum przez dwa lata studiowała sądownictwo karne. Ukończyła co prawda uczelnię i zdobyła tytuł, ale od tamtego czasu nie obejrzała się za siebie ani razu i przepracowała dziesięć lat, strzegąc porządku w rezerwacie. Kiedy została zaproszona do zasilenia nowo utworzonego wydziału zabójstw, który wspólnymi siłami powołał do życia wodzowie plemienia z rezerwatu Ute oraz szefowie Bureau of Indian Affairs, potraktowała to jako długo wyczekiwaną szansę rozwinięcia kariery.

Życie zawodowe zawsze zajmowało w jej prywatnej hierarchii wysokie miejsce, tuż za synkiem i rodziną. Nie tylko dlatego, że samotnie wychowywała dziecko – choć w zasadzie mógł to być wystarczający powód. Bree pragnęła przyczynić się do tego, by rezerwat Ute przestano postrzegać jako „krwawą stolicę Kolorado”.

Nie wspominając już, że praca nie pozwalała jej się nudzić. Zmuszała ją do patrzenia przed siebie, a nie w przeszłość, o której przecież Bree nie miała najmniejszej ochoty myśleć, a co dopiero rozmawiać. Umysł, który nie ma żadnego zajęcia, pakuje tylko swojego właściciela w kolejne tarapaty.

A zmartwień w ciągu ostatnich kilku lat Bree miała więcej niż pod dostatkiem.

Jak tylko usiadła za kierownicą swojego SUV-a i zamknęła drzwi, Peter zażądał:

– Prawda, mamusiu – i zapiął pas bezpieczeństwa. – Obiecałaś – przypomniał.

To tyle, jeżeli chodzi o szansę na zmianę tematu. Bree spojrzała przez ramię na tylne siedzenie, na którym siedział jej syn. Mogła wybrać najprostsze wyjście i po prostu oświadczyć, że jego ciotka i kuzynka mają rację. W ten sposób zaspokoiłaby jego ciekawość i na tym by się skończyło – przynajmniej na razie. Ale oznaczałoby to kłamstwo. Mogła powiedzieć niejedno na temat mężczyzny, który był ojcem Petera, ale zdecydowanie nie zasługiwał na to, by nazywać go złym człowiekiem albo draniem – jakim, nawiasem mówiąc, okazał się Jack, jej były.

– Twój ojciec pod żadnym względem nie przypominał Big Jacka. – Wypowiadając te słowa, poczuła, jak rytm jej serca zaczyna niebezpiecznie przyspieszać.

– Znaczy się, że był porządnym gościem?

– Tak, naprawdę porządnym gościem.

– Takim jak superbohater?

No, bez przesady, ale ponieważ Peter ostatnio żył komiksami, odparła:

– Myślę, że był kimś takim.

Znów poczuła ukłucie winy, że pozwoliła, by rozmawiali o ojcu chłopca w czasie przeszłym, jakby mowa była o kimś, kto umarł.

Ale dzięki temu życie okazywało się o wiele prostsze.

– Czy mam po nim imię?

Bree zeszywniała. To był rejon, w który absolutnie nie chciała się zapuszczać. Komórka zawibrowała, a Bree odetchnęła z ulgą. I jak tu nie mówić, że uratował ją dzwonek – zupełnie jak w szkole – choć mówiąc precyzyjnie, telefon dał znać o połączeniu wyłącznie wibracjami.

– Zaczekaj chwilę, kochanie.

Bree wydobyła telefon z etui przymocowanego do pasa i odebrała połączenie.

– Hunter.

– Pani detektyw Hunter, z tej strony oficer Danny Brewer.

Większość okolicznych przedstawicieli prawa, zwłaszcza tych pracujących w rezerwacie, dobrze się znało, a tymczasem nazwisko rozmówcy nic Bree nie mówiło. Nie potrafiła skojarzyć dzwoniącego z żadnym konkretnym wydziałem, przez co nie była pewna, czego oczekiwać: nie wiedziała, czy to coś poważnego, czy może jakaś błaahostka.

– Czym mogę służyć, oficerze Brewer?

– Cóż, pani detektyw, wygląda na to, że będzie nam pani potrzebna.

Z jego tonu wywnioskowała więcej, niż dowiedziała się z wypowiedzianych przez niego słów. To jednak musiało być coś poważnego.

Kiedy poprosiła o szczegóły, usłyszała tylko:

– Mamy tu jeden osiem siedem.

Bree niemal fizycznie poczuła, jak jej żyły wypełnia adrenalina. Lecz zanim zdążyła wyrzucić z siebie potok pytań dotyczących morderstwa, które momentalnie przyszyły jej do głowy, Brewer dodał:

– Mój partner powiedział, że powinienem skontaktować się z panią. Chętnie sam by do pani zadzwonił, ale od chwili, gdy przyjechaliśmy rzucić okiem na ofiarę, zajęty jest zwracaniem śniadania...

Cholera. Kolejna ofiara.

Bree mrugnęła i skupiła się na szczegółach, które do tej pory poznała. Policjant, który wymiotuje? To pewnie Steve Cyrus. Dobrze go znała. Biedny Cyrus zwracał posiłek za każdym razem, gdy widział zwłoki.

Jeden osiem siedem.

Cholera.

Znowu morderstwo.

– Miejsce?

Bree zerknęła na synka. Wysadzi go przy szkole i od razu pojedzie na miejsce zbrodni. Niech diabli wezmą taki poniedziałkowy poranek. Kiedy adrenalina przewalała się niczym tsunami przez jej organizm, ustąpiła pola wściekłości. Bree właśnie miała za sobą weekend, w czasie którego pracowała nad sprawą dotyczącą gwałtu i próby zabójstwa. Jej zespół ze wszystkich sił starał się zapobiegać brutalnym zbrodniom i rozpracowywać je, a jednak wciąż zdawało się, że to za mało.

– Tribal Park. – Brewer odchrząknął. – W kanionie, w pobliżu Two-Story House. Ciało znalazł jeden z przewodników, który poza sezonem kilka razy w tygodniu sprawdza szlak.

– Proszę nie spuszczać go z oka – przypomniała Bree.

Będzie musiała szczegółowo wypytać tego przewodnika, który przy odrobinie szczęścia może okazać się ich świadkiem, co prawda post factum, ale zawsze to coś.

– Czy udało się zidentyfikować ofiarę?

Miała nadzieję, że nie był to kolejny gwałt. Minęło dopiero dwanaście dni nowego roku, a policja zanotowała już dwa tego typu przestępstwa – obydwa miały związek z narkotykami.

Bree skrzywiła się, słysząc wytłumioną rozmowę po drugiej stronie linii. Brzmiało to tak, jakby Brewer pytał swojego partnera, co powinien powiedzieć w odpowiedzi na jej pytanie. Dziwne.

– Proszę pani – odezwał się wreszcie inaczej brzmiącym głosem. – Steve powiedział, żeby przyjechała tu pani najszybciej, jak to możliwe. Szczegóły omówi z panią na miejscu.

Po zakończonej rozmowie Bree wpatrywała się przez chwilę w telefon, po czym pokręciła głową. Diabelnie dziwne.

– Maaamo – powiedział Peter, przeciągając „a”. – Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

O nie, na pewno nie miała teraz na to czasu. Na jej barki spadł potężny ładunek winy wobec syna, gdy tylko z ulgą uświadomiła sobie, że oto dysponuje doskonałą wymówką, by nie brnąć dalej w śliski temat.

– Porozmawiamy o tym później. Właśnie dzwonił do mnie inny policjant. Muszę jechać do pracy.

Peter jęknął, ale darował sobie sprzeczkę. Zdawał sobie sprawę, że gdy mama miała dużo pracy, oznaczało to, iż komuś stało się coś złego.

Podjeżdżając pod szkołę, Bree zastanawiała się nad przyszłością swojego synka. Pragnęła, by życie w rezerwacie stawało się coraz lepsze. Dla niego i dla następnych pokoleń. Kropka. Pracowała ciężko, a jednak czasem miała wrażenie, że wszystko to za mało, że nie dość się stara.

– Miłego dnia, skarbie. – Bree pogładziła go po włosach i pocałowała w czubek głowy.

Policzki Petera w ułamku sekundy pokryły się rumieńcem.

– Mamo... – wyszeptał. – Nie tu...

Bree uśmiechnęła się, a Peter wyskoczył z SUV-a i skierował się do drzwi wejściowych szkoły podstawowej w Towaoc.

Jej maleństwo dorastało. Wkrótce pojawi się więcej pytań o ojca.

Ale cóż, nie czas teraz o tym myśleć. Teraz będzie musiała zmierzyć się z zagadką odkrytego morderstwa.

Uśmiech zniknął z twarzy Bree.

Dojazd do Ute Mountain Tribal Park autostradą numer 160 zajął jej zaledwie kilka minut. Bree skręciła w stronę bramy wjazdowej do parku, która znajdowała się nieopodal budynku informacji turystycznej –byłej stacji benzynowej, przerobionej tak, by służyła nowym celom. Sam wjazd do parku nie nastęczał trudności, ale za to dostanie się do wykutych w zboczu góry domostw Indian Pueblo stanowiło nie lada wyzwanie.

Jedynym sposobem, aby tam się dostać – poza pieszą wycieczką bądź wspinaczką na grzbiecie konia – była jazda wyboistą drogą, szeroką akurat na tyle, by zmieścił się na niej jeden SUV. Auto podskakiwało i kołysało się na koleinach. Dwa razy Bree musiała okrążyć wielkie głazy, które zalegały na drodze po przejściu niedawnej lawiny kamieni. Droga, a właściwie wąski szlak, zdecydowanie bardziej nadawała się dla piechurów i jeźdźców, ale skoro liczył się czas, Bree zdecydowała, że jeszcze trochę przemęczy się w tych mało komfortowych warunkach. Każda minuta zwłoki oznaczała, że ważny trop może ulec zatarciu, a jakiś istotny dowód zupełnie przepaść.

Ten surowy, jałowy krajobraz miał wszakże swój wyjątkowy charakter. Rozciągające się na całej powierzchni niecki pustkowia usiane było jedynie krzakami szaławii i jałowca oraz nielicznymi sosnowymi zagajnikami. Szare urwiska i brunatno–czerwone hałdy ziemi łapczywie chłoneły żar piekącego słońca, które sprawiało, że nawet zimą, gdy góry pokryte były warstwą śniegu, nadal panowała tutaj przyjemna temperatura. Zaśnieżone szczyty stanowiły istotne urozmaicenie nieskalanego chmurką błękitnego nieba rozciągającego się nad Kolorado.

W oddali, na tym monumentalnym tle wznosiła się Sleeping Ute Mountain – Śpiąca Góra Ute. Nazwa wzięła się stąd, że kształt wzniesienia przypominał ogromnego wojownika, który śpi na plecach z rękami skrzyżowanymi na piersi. Kiedy Bree była mała, fascynowały ją opowieści o wykutych w klifie domach i gigantycznym śpiącym wojowniku, który przemienił się w górę.

Było prawie dziesięć stopni Celsjusza. To mógł być taki przyjemny dzień, westchnęła Bree, gdy ujrzała przed sobą policyjnego SUV-a należącego do służby rezerwatu Ute. Obok niego stał zaparkowany stary zdezelowany pikap, który prawdopodobnie należał do przewodnika.

Kolejne morderstwo.

Nie dawało jej spokoju to, dlaczego niby Steve Cyrus wolał przekazać jej wszelkie szczegóły sprawy dopiero po tym, jak Bree zjawi się na miejscu. Cóż to za tajemnica?

Zaparkowała swój pojazd, sięgnęła do schowka po parę lateksowych rękawiczek i wysiadła. Ruszyła w stronę klifów, w których trwały wykute w piaskowcu, dumne, choć dziś popadające w ruinę domostwa przypominające o mieszkańcach, którzy zbudowali je ponad tysiąc lat temu. Tutejsze osiedla Indian w niczym nie ustępowały zapierającym dech w piersiach widokom z Mesa Verde, a jednak park Ute nie przyciągał znaczącej liczby turystów. Przede wszystkim dlatego, że nikomu nie wolno było wejść na jego teren bez asysty oficjalnego przewodnika. Zachowanie dziedzictwa było dla ludu Ute priorytetem.

Policjanci i przewodnik czekali na nią jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym w sezonie turyści rozpoczynają wspinaczkę w górę zbocza, by obejrzeć, jak w odległej przeszłości wyglądały mieszkania Indian. Sprawca

zbrodni najwyraźniej niespecjalnie zawracał sobie głowę ukryciem ciała, chociaż znaleziono je nieco poza utartym, aczkolwiek rzadko uczęszczanym szlakiem, zwłaszcza o tej porze roku. A jednak praktycznie każdy, kto by się tutaj znalazł, mógł bez trudu natknąć się na zwłoki. Albo przyłapać mordercę na gorącym uczynku.

Jeszcze jeden dziwny element układanki. Bree instynktownie wyczuła, że coś wisi w powietrzu. Jej tętno przyspieszyło.

– Detektyw Hunter – zawołał do niej Steve Cyrus, gdy zobaczył, że Bree zmierza w ich kierunku. Podbiegł do niej i powiedział:

– Daj mi minutę.

– Co się dzieje? – Spojrzała w kierunku miejsca, w którym czekali Brewer i stary przewodnik. – Macie ciało, czy nie?

Cyrus obrzucił stojących za nim mężczyzn dziwnie ukradkowym spojrzeniem i odparł:

– Jest coś, o czym musisz wiedzieć, zanim obejrzysz ciało.

Robiło się coraz dziwniej. Bree wyciągnęła przed siebie ręce.

– Zaraz, chwila. Dzwoniliście już do laboratorium? I do koronera?

Świadomość, że nikt inny, jak do tej pory, nie pojawił się na miejscu zbrodni, gwałtownie wzięła w niej górę nad wrażeniem, że nie do końca rozumie sytuację.

Cyrus potrząsnął przecząco głową i wbił wzrok w ziemię, po czym spojrzał Bree w oczy.

– Powiem ci szczerze, że nie wiedziałem do kogo zadzwonić w pierwszej kolejności. To dość... skomplikowane. Właśnie dlatego skontaktowałem się najpierw z tobą.

– Cyrus, o czym ty, do diabła, mówisz?

Boże drogi, przecież to nie był pierwszy trup, jakiego w życiu widział.

– Ofiara... – Podrapał się po brodzie. – Ona...

Teraz Bree wiedziała przynajmniej, że zmarłą była kobieta.

– To agentka federalna. Agentka federalna?

– BIA? – Pierwszą myślą Bree było to, że zamordowano funkcjonariuszkę Bureau of Indian Affairs.

Spór o to, komu właściwie podlegał jej wydział, BIA czy Tribal Affairs, trwał w najlepsze, stawał się coraz bardziej skomplikowany i od czasu do czasu sytuacja się zaogniała. Ale nie, Cyrus pokręcił głową.

– FBI. Julie Grainger.

Żal ścisnął Bree gardło. Spotkała Julie Grainger tylko raz w życiu. Miła kobieta. Młoda, miała niewiele więcej ponad trzydzieści lat, zupełnie jak Bree. Ciężko pracowała. Była lojalna. Wszystko wskazywało na to, że była też diabelnie dobrą agentką.

– Mówiłem ci, że to skomplikowane. Bez żartów.

– W porządku. – Bree bezradnie potarła czoło jakby chciała usunąć ból głowy. – Rzucę okiem na miejsce zbrodni i porozmawiam z przewodnikiem. A ty zadzwoń do Callie MacBride i powiedz jej, żeby przysłała tu swoich techników. Powiedz jej, że chodzi o Grainger. – Bree poczuła, jak na jej barki spada ciężka mieszanka żalu i gniewu. – A potem zadzwoń do biura koronera.

Myśl, Bree, nakazała sobie w duchu. To śliska sprawa. Musisz co do litery trzymać się protokołu.

– Chcesz, żebym zadzwonił do szeryfa Martinez? – zasugerował Cyrus.

Bree poczuła, jak niewidzialne imadło ścisną jej klatkę piersiową. Znajdowali się przecież na terenie hrabstwa Kenner. Oczywiście, że należy

powiadomić szeryfa. Bree wyobraziła sobie, jak w odpowiedzi jej usta wypowiadają słowo: Tak. A cóż innego jej pozostawało?

Sztywno wykonała w tył zwrot i skierowała się do miejsca, w którym stali Brewer i przewodnik. Patrick Martinez.

Mimo że od sześciu lat Patrick był szeryfem hrabstwa, w jakiś cudowny sposób Bree udawało się unikać wszelkich z nim kontaktów. Nie rozmawiali ze sobą od niemal ośmiu lat.

Osiem lat!

Skup się na pracy, nakazała sobie, przywołując się do porządku.

Agentka specjalna Julie Grainger była martwa. Zasługiwała na całkowitą uwagę ze strony Bree. W tej chwili nie liczyło się nic innego. Znalezienie odpowiedzi na pytania: „Kto ją zabił?” i „Dlaczego zginęła?” miało pierwszeństwo.

– Tak, tak, zadzwoń. Ale najpierw powiadom pozostałych – rzuciła Cyrusowi.

– Dobry, pani detektyw – odezwał się Brewer, gdy do nich podeszła.

– Dzień dobry, oficerze Brewer.

– To Burt Hayes – Brewer wskazał na przewodnika.

Hayes był Ute, jak zresztą wszyscy przewodnicy pracujący w parku. Rodzina Bree też wywodziła się z plemienia Ute. Pobrużdżone, posunięte w latach oblicze Hayesa świadczyło o tym, że mężczyzna spędził tyle samo czasu w palącym słońcu Zachodu, co w domostwach Pueblo. Miał na sobie wypłowiałe dżinsy, a pod pasującą do nich dżinsową kurtką nosił koszulę w kolorze khaki. Na nogach miał skórzane buty, które pamiętały o wiele lepsze czasy. Swoje siwiejące włosy związał w kucyk, który sięgał mu aż do połowy pleców.

– Panie Hayes – Bree wyciągnęła do niego rękę i wymieniła z nim silny uścisk dłoni. – Najpierw rozejrzę się tutaj trochę, a potem chciałabym zadać panu kilka pytań.

Hayes skinął głową.

– Jest pani córką Charliego Huntera?

Większość ludzi zamieszkujących okolice Four Corners znała jej ojca, który w swoim czasie był nie owijającym słów w bawełnę rzecznikiem ludu Ute, działającym na rzecz wszystkich ważnych spraw plemiennych – zanim wylew na dobre nie uciszył jego silnego, głębokiego głosu.

– Tak jest, proszę pana – uśmiechnęła się Bree. – Tata nadal jest tak samo zawzięty jak kiedyś.

Odwróciła się w stronę Brewera.

– Niech pan pomoże panu Hayesowi sporządzić zeznanie, a ja w tym czasie przyjrę się miejscu zbrodni.

Brewer skinął głową, nie skomentował jej polecenia i nie zadał też żadnego pytania, co oznaczało, że ani on, ani Cyrus jeszcze nie zajęli się tym. Fakt, że ofiara była agentem federalnym nieźle wstrząsnął obydwoma policjantami.

Skomplikowane.

Bardzo skomplikowane.

Bree założyła lateksowe rękawiczki i przykucnęła obok zwłok, które spoczywały pośród rozrzuconych po piaszczystej pustyni głazów. Wokół panowała głucha cisza. Smukłe ciało Grainger zostało wykrzywione paskudnymi parkosyzmami śmierci, a jej blada skóra wyglądała jak marmur. Jedną ręką ofiary zdążyły zająć się dzikie zwierzęta, prawdopodobnie kojoty.

Bree skrzywiła się. Mieli szczęście, że przynajmniej reszta ciała pozostała nie-
tknięta.

Bree obejrzała zwłoki w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów, które wskazywałyby na zastosowanie przemocy. Zero krwi. Zaczerwienienia i siniaki na gardle. Poza podłużnymi śladami na szyi nic innego nie wskazywało na użycie siły. Bree pochyliła się nad ciałem i dokładnie obejrzała ślady. Nietypowy wzór... nie zwyczajny sznurek, ale też nie wyjątkowo cienki drut. Im dłużej przyglądała się śladom na szyi ofiary, tym bardziej znajomo wyglądały. A może chodzi o jakiś naszyjnik? Była przekonana, że kiedyś już widziała coś takiego. Bree doszła do wniosku, że przyczyną śmierci było uduszenie, ale na ostateczne potwierdzenie swoich przypuszczeń postanowiła poczekać do czasu, aż koroner wyda swój werdykt.

Usiadła na piętach i raz jeszcze obejrzała zwłoki. Dżinsy, bluzka, która, jak się okazało po bliższej inspekcji, miała rozdarty jeden rękaw – wyglądało to, jakby ofiara przez krótki czas szamotała się z napastnikiem. Pionierki. Brak kurtki. Co prawda pogoda była znośna, ale w ciągu ostatnich kilku dni temperatura oscylowała wokół zera. Kurtka to konieczne ubranie na taką aurę.

Bree zbadała okolicę. Nie było widać żadnego pojazdu. Obeszła ciało szerokim łukiem, ostrożnie stawiając stopy. Brak widocznych odcisków butów. Ale to żadna niespodzianka, jeśli wziąć pod uwagę wiatr wiecznie wiejący na tym pokrytym pyłem terenie. Brak torebki. Brak telefonu komórkowego. Większość kobiet jednak nosi ze sobą jakąś torebkę, choćby kopertówkę. No, a poza tym, mało kto w tych czasach rusza się z domu bez komórki. Czy ciało porzucono w tym miejscu – co oznaczało, że nie było to w gruncie rzeczy miejsce popełnienia zbrodni – czy może Grainger spotkała się tutaj z kimś, kto najpierw zabrał jej rzeczy osobiste i auto, a potem odebrał życie?

W tej części rezerwatu możliwości wjechania do parku i opuszczenia go samochodem były, mówiąc delikatnie, mocno ograniczone.

Podążając za tokiem swoich myśli, Bree przeniosła wzrok na drogę. Ujrzała chmurę pyłu, która oznajmiała wszem i wobec, że ktoś nadjeżdża. I to szybko. Wóz jechał z dużą prędkością, podskakując na krętej, wyboistej drodze, aż w końcu zatrzymał się z fasonem tuż obok auta Bree. Kurz opadł i wtedy owładnięty obsesją wyparcia umysł Bree zarejestrował to, co oczy zanotowały chwilę wcześniej.

Samochód służbowy.

Hrabstwo Kenner.

Czyżby Cyrus w pierwszej kolejności zadzwonił do szeryfa? Pomyślała, że to nie ma sensu. Żadnym sposobem szeryf nie mógł dotrzeć tutaj tak szybko – chyba że wiedział już, co się stało. Wiedział, zanim Cyrus zdążył kogokolwiek powiadomić.

Drzwi samochodu od strony kierowcy otworzyły się. Serce Bree przestało bić. Ciężki but uderzył w ziemię, a ponad drzwiami wyrósł znak rozpoznawczy szeryfa: biały kowbojski kapelusz. Za nim z auta wyłoniły się szerokie ramiona, a potem smukłe, szczupłe ciało w opiętych dżinsach i brązowej kurtce. Szeryf odsunął się o pół kroku i trzasnął drzwiami SUV-a.

Patrick Martinez.

Szeryf Patrick Martinez.

Ojciec Petera.

Ruszył w jej stronę. Bree otrząsnęła się z absurdalnego transu. Skup się, rozkazała sobie w myślach. Jesteś w końcu profesjonalistką. I on też jest profesjonalistą. Nie należy pozwalać, by osobiste odczucia utrudniały wykonywanie obowiązków zawodowych. Wcześniej długo i usilnie

zastanawiała się, co zrobi, jeżeli taka sytuacja kiedykolwiek się zdarzy. Nadszedł czas, by ów wystudiowany plan wprowadzić w życie.

– Szeryfie – powiedziała, stawiając tym samym pierwszy krok.

Jego jasne, niebieskie oczy – identyczne jak Petera – skupiły się na Bree niczym laser, który trafił w cel. Patrick odparł krótko i szorstko:

– Pani detektyw.

– Ciało leży tutaj. – Bree podeszła do miejsca, w którym leżały zwłoki Julie Grainger i czekały, aż ktoś rozwiąże zagadkę ostatnich chwil życia agentki.

Czy któryś z policjantów – Cyrus albo Brewer – zadzwonił już do Callie MacBride? Technicy powinni już tu być. Teraz. Już.

Patrick przykucnął, by lepiej przyjrzeć się ciału. Bree dołączyła do niego. Wyjął z kieszeni kurtki parę lateksowych rękawiczek i nałożył je.

– Kto ją znalazł?

Ból, jaki dało się usłyszeć w jego głębokim głosie, świadczył o tym, że mocno przeżywa morderstwo jednej ze „swoich”. Oczywiście każda ofiara to dramat, ale stratę kolegi przeżywa się jak stratę członka rodziny.

– Burt Hayes, przewodnik. – Indianin nadal był w trakcie składania zeznań. – Sprawdza szlaki co kilka dni. Znalazł ją dziś nad ranem. Wygląda na to, że ciało leży tu już od kilku dni.

Patrick skinął głową. Bree usilnie starała się nie przyglądać szeryfowi. To nie był odpowiedni moment. Zresztą, żaden chyba nie był odpowiedni... z pewnością nie dla nich dwojga. A jednak nie potrafiła się powstrzymać. Ta jego silna kwadratowa szczęka... Nie zdążył się dziś ogolić, ale wyglądał świetnie z takim kilkudniowym zarostem. Zawsze mu pasował. Jak na faceta, któremu bliżej do czterdziestki niż do trzydziestki, wyglądał cholernie dobrze.

Przebywanie w obecności Patricka, gdy minęło już tyle czasu od ich ostatniego spotkania, coraz bardziej uzmysławiało jej, jak bardzo Peter był do niego podobny.

– Koroner w drodze?

Bree zamruwała oczami. Skoncentruj się, błagała się w myślach.

– Oficer Cyrus zadzwonił do koronera i Callie MacBride z laboratorium kryminalistycznego krótko przed twoim przyjazdem.

– Ale do mnie nie zadzwonił.

Patrick wstał i spojrzał na nią z góry, zanim mózg Bree zdążył powiadomić jej nogi – które nagle zrobiły się niczym z gumy – że czas się wyprostować. Powoli rozejrzał się po okolicy.

– Dotarliście tu naprawdę diabelnie szybko.

Kiedy jej wzrok spotkał się z jego spojrzeniem, wyczytała w nim oskarżenie. Opanowała ją złość i raz jeszcze jej myśli wypełnił mętlik – że widzi go po ośmiu latach... że niespełna godzinę temu rozmawiała o nim ze swoim synkiem... że w ogóle... to wszystko...

– Kiedy przyjechałeś, Cyrus miał właśnie dzwonić do twojego biura. – Uniosła brodę i posłała mu spojrzenie ciężkie jak ołów. – Posterunek w Towac odebrał zgłoszenie, Cyrus i Brewer przybyli na miejsce, a potem zadzwonili do mnie. Wydawało mi się oczywiste, że ktoś musiał cię zawiadomić.

– Ktoś zadzwonił pod numer alarmowy 911 – wyjaśnił Patrick. – Rozmówca nie przedstawił się, ale bez wątpienia był to mężczyzna. – Patrick machnął kapeluszem w stronę przewodnika. – Masz jakiś pomysł, dlaczego ten facet najpierw zadzwonił do twojego wydziału i zgłosił odkrycie ciała, a potem zatelefonował pod 911?

Bree zerknęła na staruszkę. Większość ludzi w jego wieku nie zwracała sobie głowy noszeniem telefonów komórkowych, a wielu nie miało nawet zwykłych, stacjonarnych aparatów. Przypuszczała, że Hayes udał się na stację benzynową przy autostradzie numer 160 i stamtąd wykonał telefon, ponieważ o tak wczesnej porze biuro informacji turystycznej z pewnością było jeszcze zamknięte. Ale po co dzwonić dwa razy? Potrząsnęła głową. Musiała go o to zapytać.

Zresztą powinna była już dawno to zrobić, ale przecież przebywała na miejscu zbrodni dopiero od kilku minut. Mimo to poczuła się głupio. Patrick Martinez w dziwny sposób zawsze sprawiał, że czuła się nieporadna. To tylko jeden element ich wspólnych kłopotów. W tej chwili w Bree toczyła się emocjonalna walka wywołana spotkaniem z nim, a tymczasem jedyne, co go obchodziło, to dlaczego nikt nie zadzwonił do niego w pierwszej kolejności. Już pomijając fakt, iż obydwójce powinni skupić się na śledztwie, a nie wikłać w małostkowe przepychanki.

Okej, to nie do końca prawda. Miał w pewnym sensie rację. Nieważne, trzeba dać sobie spokój i przejść do sedna.

– Jak już mówiłam, oficerowie Cyrus i Brewer jako pierwsi przybyli na miejsce zbrodni. Ponieważ mamy tu delikatną sytuację, Cyrus natychmiast zadzwonił do mnie. Pracujemy razem, więc miało to sens. Nie chodziło o to, żeby pominąć ciebie albo w ogóle kogokolwiek. A jeśli chodzi o ten telefon pod 911, to będziemy musieli o niego spytać pana Hayesa.

Założyła ręce na piersiach i nie ustąpiła pod naporem jego stalowego wzroku.

– Sprawa podstawowa: to jest przede wszystkim terytorium Ute i decyzja Cyrusa, żeby najpierw zadzwonić do mnie, była słuszna – oznajmiła.

Patrick wpatrywał się w nią jeszcze przez osiem, dziesięć sekund, aż w końcu odwrócił wzrok. Bree w myślach odtańczyła taniec zwycięstwa. Tym razem triumfowała.

– Zadzwoń do mojego kontaktu w FBI. – Patrick potrząsnął głową i znów wbił w nią spojrzenie. – Przez tę sprawę rozpęta się piekło – ostrzegł. – Nie będzie wiadomo, kto ma jakie kompetencje i kto komu podlega, poza tym, że nad wszystkim będą czuwać federalni. Będziemy skakać, jak nam zagrają. A po wszystkim każdy będzie chciał uszczknąć swój kawałek tortu. Włączywszy w to również każdą cholerną stację telewizyjną w tej części kraju. Niestety.

Mówił do niej, jakby była żółtodziobem, który dopiero co skończył akademię.

– Rozumiem, że sam sobie tłumaczysz sytuację? Bo mam, do diabła, nadzieję, że nie mówiłeś tego do mnie. Wiem, jak wygląda hierarchia służbowa, szeryfie Martinez. I doskonale zdaję sobie sprawę, jak daleko posunięte konsekwencje będzie miała ta sprawa dla tutejszej społeczności. Nie potrzebuję, żebyś ani ty, ani ktokolwiek inny, mówił mi, jak mam wykonywać moją pracę.

Jednym długim, powolnym spojrzeniem zlustrował ją od góry do dołu.

– Jeżeli to, że będziemy razem pracować, stanowi dla ciebie problem, być może powinnaś oddać tę sprawę innemu oficerowi z twojego wydziału.

Chyba robił sobie żarty! Co jest? Starał się ją wkurzyć? Bree zagotowała się ze wściekłości.

– Nie mam z tym problemu. Mam wrażenie, że to ty masz jakiś problem. Przyjechałeś tutaj i z miejsca zachowujesz się, jakbyś był przewrażliwiony. A ja jestem tutaj po to, żeby robić, co do mnie należy. A więc to może ty ustąpisz

i przydzielisz do tej sprawy jednego ze swoich zastępców? Obydwoje bylibyśmy zadowoleni.

Nastąpiło pełne napięcia dziesięć sekund, podczas których w ciszy wpatrywali się w siebie świdrującym wzrokiem.

– Jestem w stanie zostawić za sobą przeszłość – oświadczył nieco mniej oskarżycielskim tonem, ale nadal tak samo gorzkim.

Dość tej gry.

– Jaką przeszłość? – syknęła, odwróciła się do niego plecami i odeszła, by zabrać się do pracy.

Popelniono tu morderstwo. Zabójstwo agentki federalnej. To sprawa o wiele poważniejsza niż ich głupia przeszłość.

Czas, by przejść od słów do czynów.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie zmieniła się ani na jotę.

Patrick patrzył, jak Bree oddała się od niego.

Długie, ciemne włosy zawsze nosiła splecione w warkocz. Pracowała jako detektyw, nie musiała więc nosić niebieskiego munduru, ale mimo wszystko zakładała go, kierując się poczuciem dumy – reprezentowała bowiem nie tylko swój lud, ale też policję.

Konsekwentnie unikał jakiegokolwiek kontaktu z nią przez niemal osiem lat. Nawet kiedy jego zwierzchnicy zdecydowali się wysłać go do hrabstwa Kenner w Kolorado – w tej samej jurysdykcji, w której mieszkała Bree – żeby objął tu funkcję szeryfa, jakoś udawało im się nie wchodzić sobie w paradę. Słyszał pogłoski, jakoby po ich rozstaniu wyszła za mężczyznę z plemienia Ute. Ale niełatwo mu było udawać, że mało go to obchodzi.

A teraz, cóż... pracowali wspólnie nad tą samą sprawą. I żadne z nich nie zamierzało dać za wygraną.

Jego wzrok spoczął w miejscu, w którym leżała ofiara wciśnięta pomiędzy skały gęsto rozrzucone po tej pokrytej pyłem, jałowej ziemi. Tylko gdzieniegdzie rosły wąskie pasy pustynnej trawy. Gdy spojrzano się na otoczenie i na ofiarę, jedno tylko słowo przychodziło na myśl: przygnębiające. Ofiara... Julie Grainger.

Patrick znał ją tylko z widzenia. Raz spotkali się na odprawie. Sprawiała wrażenie pełnej współczucia i oddanej sprawie profesjonalistki.

A teraz była martwa.

Patrick potrzęsnał głową. Potworna strata.

Nie dało się dłużej odwlekać tego, co nieuniknione. Patrick zadzwonił do agenta specjalnego FBI Jerry'ego Ortiza, szefa biura w Durango, któremu podlegał rejon Four Corners. Jednym z najmniej przyjemnych obowiązków Patricka był kontakt z osobą, która bez wątpienia dobrze znała ofiarę.

Ale w końcu ktoś musiał to zrobić.

Ortiza nie było w biurze, więc Patrick został przełączony na jego komórkę. Okazało się, że Ortiz dowiedział się już o wszystkim z ust Callie MacBride. Był zszokowany i zdruzgotany. Poleciał swoim ludziom nadać sprawie bieg. Pracownicy biura, zarówno ci, którzy znali Grainger, jak i pozostali, byli w równym stopniu zaskoczeni tym, co się stało.

Patrick zakończył rozmowę z paskudnym uczuciem, które ścisnęło mu żołądek. Co za cholerny wstyd.

Odwrócił się i raz jeszcze rozejrzał po okolicy. Co, do diabła, Grainger mogła tu robić? Był przekonany, że dobrze wyszkolona agentka nie spotkałaby się ze swoim informatorem – a co dopiero podejrzanym – w tak odludnym miejscu. Chyba że miałyby ku temu naprawdę dobry powód. Od razu doszedł do wniosku, że nie zginęła w tym miejscu; ktoś musiał wyrzucić ją tutaj niczym worek śmieci.

Z wściekłości zacisnął pięści. Kochał Four Corners – w końcu był to jego dom – równie mocno, jak nienawidził wszystkich tych szumowin, które ostatnio tutaj napłynęły. Gorzej: pogardzał również mętami społecznymi, które urodziły się w tym miejscu i wychowały. Zdawało mu się, że im ciężiej pracuje nad tym, by oczyścić z nich hrabstwo, w którym dorastał, tym mocniej wszelkie zło parło na jego terytorium.

Nie był w stanie powstrzymać rozprzestrzeniania się przestępczości i narkotyków – nie mógł się przecież rozdzielić, był sam jeden – ale, do diabła, mógł zrobić wszystko, co w jego mocy, by opóźnić ich triumfalny marsz.

Brewer i Cyrus zabezpieczali miejsce zbrodni, co zresztą powinni byli zrobić natychmiast, gdy tylko ujrzeli zwłoki. Patrick przypuszczał, że świadomość, iż ofiarą morderstwa okazała się agentka federalna, przytłoczyła oficerów do tego stopnia, że przestali zachowywać się rozsądnie. Przeszedł ostrożnie wzdłuż strefy wyznaczonej – już teraz oficjalnie – żółtą policyjną taśmą i przyjrzał się otoczeniu. Brak było śladów opon, poza tymi pozostawionymi przez zaparkowane nieopodal policyjne auta. Nie znalazł odcisków butów innych niż te, które należały do osób przebywających na miejscu zbrodni. Chłopcy z laboratorium pewnie przeczeszą cały ten teren ziarno po ziarnku w poszukiwaniu śladów. W każdym razie na pierwszy rzut oka nie było tu nic poza pustą puszką po napoju i folią zerwaną z paczki papierosów. Oczywiście jedno i drugie należy, tak na wszelki wypadek, poddać analizie.

Chmura pyłu unosząca się nad drogą świadczyła o tym, że przybywają kolejne samochody. Patrick miał nadzieję, że to technicy. Im prędzej miejsce zbrodni zostanie dokładnie zabezpieczone pod kątem materiału dowodowego, tym większe prawdopodobieństwo, że uda się znaleźć jakieś ślady, które pozostawił po sobie zabójca.

Patrick wyszedł na spotkanie SUV-a, który wpadł w lekki poślizg na kamieniach, po czym gwałtownie się zatrzymał. W aucie otworzyły się wszystkie drzwi jednocześnie. Przednimi drzwiami od strony pasażera wysiadła Callie MacBride, główna specjalistka w dziedzinie medycyny sądowej policji hrabstwa Kenner. Na jej bladej twarzy malowało się napięcie, niedowierzanie i żal.

– Callie, to straszna strata... – Patrick ciężko wypuścił powietrze.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Nie w tej chwili. Nie miał przecież pojęcia, nad jaką sprawą Grainger właśnie pracowała, tak samo jak nie wiedział nic o jej kontaktach osobistych, za sprawą których mogła się tutaj znaleźć.

Callie pochyliła głowę w milczącej zgodzie, wiedząc, jak trudno mu dobrać właściwe słowa.

– Patrick, myślę, że znasz większość mojego zespołu. – Wskazała na swoich współpracowników, którzy właśnie wysiedli z auta. – Miguel Acevedo, Bart Fleming i Bobby O'Shea.

Patrick wymienił z każdym z mężczyzn uścisk dłoni i złożył kondolencje. W ciągu ostatnich kilku lat zdarzyło mu się pracować z niemal każdym członkiem tego zespołu. Four Corners potrzebowało laboratorium kryminalistycznego na długo przed tym, zanim góra wreszcie zdecydowała, że jest sens, aby powołać je tutaj do życia. Cóż, takie czasy, że trzeba dobrze przemyśleć każdy wydatek. Wszyscy członkowie zespołu zamieszkali w hrabstwie Kenner, znali więc to miejsce i zamieszkujących je ludzi. W przeszłości miejscowe organy ścigania musiały polegać na służbach stanowych, które stacjonowały daleko, bo aż w Denver.

Natomiast ci ludzie wykonywali swoją pracę szybko i dokładnie, dysponując wiedzą i doświadczeniem, którego nie mogli zdobyć inaczej, jak tylko żyjąc pośród miejscowych. Przez to, że ofiarą okazała się osoba z ich szeregów, praca, którą mieli dziś wykonać, była dla nich czymś więcej niż tylko rutynowym zadaniem.

Tym razem to była sprawa osobista.

Drużyna, wszyscy jak jeden mąż z ponurymi minami, zabrała sprzęt z auta i nałożyła ochronne ubrania. Dopóki nie skończą, dla Patricka nie było tu praktycznie nic do roboty. Personel laboratorium kryminalistycznego składał się wyłącznie z wysoko wykwalifikowanych specjalistów. I chociaż Patrickowi od czasu do czasu przyszło z nimi pracować, to przy okazji ogromnej większości spraw utrzymywał kontakt wyłącznie z Callie.

Sprawa, owszem, stała się dla nich wszystkich osobista, ale Patrick nie obawiał się o to, że osobiste odczucia przyćmią racjonalny osąd techników. Jednostka kryminalna hrabstwa Kenner była co prawda nieliczna i nie dysponowała górami pieniędzy na sprzęt, ale pracownicy techniczni i naukowcy byli pierwsza klasa, najlepsi z najlepszych, zwłaszcza Callie.

Patrick usunął się z drogi i pozwolił im zabrać się do pracy. Gdy zespół techników rozpoznał swoją zmarłą koleżankę, zapadła długa, wypełniona bólem cisza. Szczególnie Callie MacBride wydawała się bardzo wstrząśnięta. Patrick zastanawiał się, czy znała ofiarę tak samo dobrze pod względem osobistym, jak zawodowym. Niewykluczone, zważywszy, iż zespół stanowił nie tylko zgraną grupę specjalistów, ale i niemal rodzinę.

Podczas gdy technicy Callie robili, co do nich należało, Patrick zainteresował się tym, co mógł mieć do powiedzenia przewodnik z plemienia Ute, który znalazł ciało. Wątpił, czy starzec widział cokolwiek, ale należało zadać kilka pytań. Na przykład dlaczego zadzwonił na posterunek policji w Towaoc, a potem wykonał anonimowy telefon pod numer 911 – i to w odstępie kilkunastu minut?

Rozważając tę kwestię, Patrick ruszył w jego kierunku. Bree właśnie przesłuchiwała przewodnika i bez wątpienia zadawała mu te same pytania, które zadałby Patrick, ale do obowiązków szeryfa należało upewnić się, że

żaden szczegół nie został pominięty. Brewer i Cyrus pilnowali miejsca zbrodni. Jeżeli media usłyszałyby choćby słówko o tym, że zginął tu agent federalny, w mgnieniu oka dziennikarze zlecieliby się do parku niczym sępy żerujące na padlinie.

Do diabła. Patrick z całą mocą uświadomił sobie realność rozgrywających się wypadków.

Została zamordowana agentka federalna.

Zabójstwo to zabójstwo, a strata człowieka jest zawsze bolesna, ale tym razem wszystko odbywało się na innym poziomie. Przez to, że Grainger służyła miejscowej społeczności – jak wszystkie służby mundurowe – morderstwo sprawiało wrażenie jeszcze bardziej paskudnego.

Bree zobaczyła idącego w ich kierunku Patricka i odwróciła się w jego stronę. Wnioskując z jej miny, coś nie kleiło się w zeznaniach przewodnika.

– Pan Hayes wykonał tylko jeden telefon – oznajmiła. – Zadzwoił na policję w Towaoc. Waszym rozmówcą z 911 nie był pan Hayes.

Zmysły Patricka zostały postawione w stan najwyższej gotowości. Ta informacja z miejsca implikowała dwie kolejne. Po pierwsze, może się okazać, że nagranie rozmowy z linii numer 911 będzie jedynym konkretnym dowodem, jakim będą dysponowali. A po drugie, dzwoniący mógł być zabójcą.

– Panie Hayes – Patrick zwrócił się do starszego mężczyzny, usilnie starając się zachować spokój i nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zniecierpliwiony. – Jestem przekonany, że detektyw Hunter rozmawiała już z panem o tym, ale chciałbym pana prosić, żeby pan długo i dobrze zastanowił się, zanim poproszę pana o odpowiedź na moje pytania.

Mężczyzna kiwnął głową i rzucił szybkie spojrzenie Bree.

Patrick zrozumiał, że również Hayesa nie ominęły nerwy. Nikt nie chciałby znaleźć się w takiej sytuacji. Ostatnie, czego pragnął każdy Indianin z plemienia Uta, było znalezienie ciała martwej białej kobiety na terenie swojego rezerwatu. Klimat polityczny niewiele różnił się od tego panującego kilka dekad wcześniej, gdy Patrick chodził jeszcze do szkoły, kiedy to linie podziału pod względem kulturowym były jasno i wyraźnie widoczne. Podtekst rasowy, wciąż w tych okolicach żywy w świątku marginesu przestępczego, pozostawał jedną z dokuczliwych kwestii wymagających rozwiązania.

– O której godzinie zjawił się pan dziś rano w parku?

Hayes spojrział najpierw na Patricka, a potem na Bree. Przecież już odpowiadał na to pytanie. Patrick doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale chciał, żeby mężczyzna zastanowił się, żeby był w stu procentach pewien swojej odpowiedzi i udzielił jej raz jeszcze. A potem być może po raz kolejny. Zanim ta sprawa znajdzie swój finał, Hayes będzie przesłuchiwany jeszcze parokrotnie. Później Patrick i Bree porównają odpowiedzi i przeanalizują je pod kątem wszelkich rozbieżności i podejrzeń o składanie fałszywych zeznań.

Hayes podrapał się w głowę.

– Przed siódmą. Co rano zatrzymuję się u Rudy'ego o szóstej. A potem przyjeżdżam tu.

– Rudy ma stację obsługi przy zjeździe z autostrady, niedaleko wjazdu do parku – wyjaśniła Bree.

Patrick znał to miejsce.

– Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego udał się pan w pierwszej kolejności właśnie tutaj?

Park zajmował spory obszar. Patrick musiał wiedzieć, czy Hayes ma jakąś stałą trasę, którą porusza się, sprawdzając teren.

– Najpierw sprawdzam osiedle. To – pokazał palcem na dwupoziomowe domostwo. – Potem następne. Ostatnio dzieciaki urządzają sobie w nich miejsce spotkań, więc sprawdzam je na samym początku.

– Gdy wjeżdżał pan dziś rano do parku, czy spotkał pan kogoś? Cokolwiek, co pan zauważył, może okazać się istotne – podkreślił Patrick. Obserwował uważnie oczy starca i wyraz jego twarzy. – Bez względu na to, jak bardzo mało ważny może się panu wydawać jakiś szczegół, niewykluczone, że czegoś się z niego dowiemy. Może na autostradzie był zaparkowany jakiś samochód. Cokolwiek.

Hayes dumiał nad pytaniem przez kilkadziesiąt sekund, po czym potrząsnął głową.

– Nie było tu nikogo poza nią. – Pokazał brodą w kierunku miejsca, w którym technicy metodycznie przeczesywali miejsce zbrodni. – Było cicho i pusto. Tylko ta martwa kobieta.

– Pan Hayes twierdzi, że zaraz po siódmej wrócił do Rudy'ego i zadzwonił na posterunek policji w Towaoc – wtrąciła Bree. – A potem przyjechał tu raz jeszcze, żeby poczekać na funkcjonariuszy.

To oznaczało, że skoro Hayes nie napotkał tu nikogo, a tajemniczy rozmówca nie zadzwonił pod 911 natychmiast – telefon od niego odebrano dopiero piętnaście po ósmej – musiał przebywać tutaj przed przyjazdem Hayesa i ulotnić się, zanim przewodnik rozpoczął pracę.

Najczęściej bywało tak, że jeżeli osoba, która odkryła zwłoki, nie zadzwoniła od razu na policję, to albo zajęta była wymiotowaniem, albo płakała, albo była zbyt przestraszona. Doniesienie o zgłoszeniu wyraźnie mówiło, że dzwoniący miał męski głos pozbawiony akcentu. Co prawda Hayes również nie mówił z akcentem, ale miał specyficzną manierę: wypowiadał

słowa powoli i używał sformułowań, jakich nie słyszało się z ust osoby, która skończyła szkołę średnią.

Kiedy poproszono osobę, która zadzwoniła pod 911, o to, by się przedstawiła, mężczyzna przerwał połączenie, co oczywiście wzbudziło dalsze podejrzenia – bez wątplenia miał coś do ukrycia. Niezależnie od tego, czy anonimowym rozmówcą kierowało poczucie winy, czy też strach, należało go odnaleźć i przesłuchać.

– Jest pan pewien, że od razu przyjechał z powrotem w to miejsce – naciskał Patrick. – W sklepie z nikim pan nie rozmawiał o swoim znalezisku? Nawet z właścicielem? Czy istnieje możliwość, że ktoś podsłuchał rozmowę?

Hayes zdecydowanie pokręcił głową

– Nikt nie mógł nic usłyszeć, bo z nikim nie rozmawiałem. Przyjechałem tu migusiem.

Patrick rzucił okiem na samochód przewodnika. Nie był to najszybszy pojazd na świecie.

– O której odebrałaś telefon? – zapytał Bree. Sprawdziła komórkę.

– O siódmej pięćdziesiąt.

Hayes najwyżej o kilka minut rozminął się z osobą, która zadzwoniła pod 911.

– Dziękuję, panie Hayes. – Patrick chciał przedyskutować bieg wydarzeń z Callie. – Będziemy z panem w kontakcie w razie, gdybyśmy chcieli zadać panu dodatkowe pytania. To standardowa procedura.

Hayes burknął coś niezrozumiale i skinął Bree na pożegnanie. W odpowiedzi podziękowała mężczyźnie za współpracę, a oficer Cyrus odprowadził go do jego auta, by dokończyć spisywanie zeznań i uzyskać niezbędne dane potrzebne do ewentualnego kontaktu.

– Wiem, jak przesłuchiwać świadka.

Uwaga Patricka znów skupiła się na Bree. Zmarszczył brwi.

– Jestem świadom twoich umiejętności jako oficera śledczego, Bree.

Bree... od tak bardzo, bardzo dawna nie wypowiadał jej imienia. Ścisnęło go w żołądku na samo wspomnienie tego słowa. Wtedy tak ją kochał...

Ale to przecież odległa przeszłość.

Wściekłość wyłobiła bruzdy w jej delikatnym obliczu – obliczu, które przez ostatnie osiem lat Patrick na próżno usiłował wymazać ze swojej pamięci i swoich snów.

– Nie musiałeś ponownie zadawać mu każdego pytania, które ja wcześniej zdążyłam zadać. To, co zrobiłeś, podważyło mój autorytet i zakwestionowało moje umiejętności. Jeżeli sądzisz, że jestem ci za to wdzięczna...

Patrick nie musiał przypominać jej, że to on jest szeryfem hrabstwa i znajdują się właśnie na terenie podlegającym zarówno jego, jak i jej jurysdykcji. Gdyby jej to wytknął, rozjuszyłoby to ją jeszcze bardziej.

– Zrobiłaś, co do ciebie należało i ja też zrobiłem to, co było moim obowiązkiem. W toku śledztwa pan Hayes będzie musiał wielokrotnie odpowiadać na te i inne pytania. Jestem pewien, że rozumiesz, jak działa protokół w momencie, gdy pokrywają się ze sobą obszary kompetencji.

Sądząc po głębokiej czerwieni, która powoli wspięła się po jej szyi i zalała twarz, jego wyjaśnienie nie do końca było tym, co Bree chciała usłyszeć. Jeżeli oczekiwała przeprosin, to mogła o nich zapomnieć.

– Ta rozmowa do niczego nie prowadzi – pociągnęła za klapy swojej marynarki. – Callie MacBride musi się o tym dowiedzieć. Nagranie z linii 911

trzeba będzie poddać analizie w świetle nowych informacji. Poza tym chciałabym je usłyszeć.

Wyciągnął ręce w pojednawczym geście.

– Wyjęłaś mi to z ust.

Z zaciśniętymi ustami i oczami miotającymi pioruny, Bree wykonała w tył zwrot i odmaszerowała.

Patrick poszedł za nią. Przez te wszystkie lata powtarzał sobie, że jeżeli przyjdzie co do czego, będzie potrafił pracować z Bree. Wtedy wydawało mu się, że nie istnieje jakakolwiek logiczna przesłanka, dla której historia ich osobistych relacji miałyby wpłynąć na ich profesjonalne zachowanie.

Cóż, to tyle, jeśli chodzi o logikę.

Agent Acevedo robił cyfrowe zdjęcia prawdopodobnego miejsca morderstwa oraz zdjęcia ofiary. Patrick przełknął ślinę. Za każdym razem, gdy myślał o agentce Grainger jako „ofierze”, coś ścisnęło go w żołądku. Agenci O'Shea i Fleming przeszukiwali miejsce zbrodni wyznaczone żółtą policyjną taśmą i oznaczali wszystko, co mogło okazać się poszlaką. Z tego, co Patrick zauważył wcześniej, nie było ich zbyt wiele, ale na tym etapie nie można pominąć żadnego tropu ani żadnego śladu. Cała procedura była, mówiąc łagodnie, dość czasochłonna.

Bree jako pierwsza podeszła do Callie. Obydwie kobiety odeszły kilka kroków od miejsca, w którym leżały zwłoki, a po chwili dołączył do nich Patrick. To, że szeryf będzie z nią pracować nad tą sprawą, mogło się Bree podobać albo nie – trudno, będzie musiała to przeboleć.

Kiedy już obydwójce podzielili się swoimi spostrzeżeniami na temat dwóch telefonów, obydwu będących zgłoszeniem tego samego morderstwa, Bree dodała:

– Nie wiem, czego dowiemy się z nagrania... jeśli w ogóle cokolwiek... ale warto spróbować.

– Absolutnie tak – zgodziła się Callie.

– Jak dużo czasu potrzebujesz na dostarczenie nagrania do laboratorium?

– Patrick zerknął na zegarek. – Jest prawie dziewiąta. Mogę się tym zająć, zanim jeszcze skończycie pracować tu, na miejscu.

Minęło mniej więcej dziesięć sekund, podczas których Callie wydawała się być myślami gdzieś daleko, po czym szeryf dodał:

– Wiem, że FBI będzie prowadzić śledztwo w tej sprawie, ale jeżeli jest cokolwiek, w czym mój wydział może wam pomóc, jesteśmy do waszej dyspozycji.

– To samo tyczy się mojego wydziału – zapewniła Bree. – Co prawda pracujemy obecnie nad kilkoma innymi morderstwami, ale jestem przekonana, że uda się oddelegować dodatkowy personel, który pomógłby wam w śledztwie.

Patrick dobrze wiedział, że Bree po prostu wykonuje swoją pracę, a jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że cały czas ze sobą rywalizują. Pomyślał, że musi w końcu nad tym zapanować i jakimś sposobem oczyścić atmosferę. Najwyraźniej osiem lat rozłąki nie na wiele się zdało.

– Spędzimy tu jeszcze kilka godzin – powiedziała wreszcie Callie smutnym głosem, a z jej twarzy dało się wyczytać, że jest przygnębiona i zagubiona.

Potarła czoło gestem, który nie pasował do jej wizerunku pragmatycznej profesjonalistki.

– Powiedzmy, że możemy się spotkać o trzeciej w laboratorium. Przedzwonię do Olivii. Ona poradzi sobie z całą tą biurokracją szybciej niż

twój wydział, dzięki czemu prędzej dostaniemy nagranie – skierowała te słowa do Patricka.

– Dobra myśl.

Olivia była przebojową osobą – jak zresztą cały zespół Callie – która nie spoczęła, póki nie wykonała powierzonego jej zadania.

– W tym czasie ja mogę zacząć sprawdzać okoliczne sklepy i bary – zaoferowała Bree. – Na przykład stację Rudy'ego. I sporządzę listę klientów, którzy odwiedzają je każdego dnia we wczesnych godzinach porannych. Może mi się poszczęści i natknę się na kogoś, kto coś widział. Miejscowi są najczęściej dobrze poinformowani i z pewnością pamiętają, jeżeli kręcił się tu ktoś obcy. Większość z nich na pewno chętnie zamieni ze mną parę słów.

Ci sami ludzie niespecjalnie będą skorzy do rozmowy z szeryfem albo jego zastępcami. Nie musiała tego dodawać, bo Patrick wielokrotnie się o tym przekonał.

– Pojadę z tobą – powiedział do Bree.

Po tym, jak szeroko otworzyła oczy i wzięła głęboki oddech, wywnioskował, że Bree wolałaby raczej zjeść tłuczone szkło.

– We dwoje więcej zdziałamy – rzucił na dokładkę.

Zamrugła oczami.

– Oczywiście – odwróciła się w stronę Callie.

– Dam ci znać, jeżeli dowiemy się czegokolwiek przed popołudniowym spotkaniem.

Callie skinęła z roztargnieniem głową, a potem dołączyła do swojego zespołu. Patrick przyglądał się jej nienaturalnym ruchom. Chodziła na sztywnych nogach i niepewnie poruszała rękami. Była w tej chwili całkowitym zaprzeczeniem pewnej siebie kobiety, jaką niejednokrotnie widział w akcji.

Coś ją gnębiło. Coś więcej niż tragiczny fakt, iż jej koleżanka, i zapewne przyjaciółka, była martwa.

Jedyne, czym obecnie dysponowali, to same pytania, a prawie żadnych odpowiedzi. Co doprowadziło agentkę Grainger na to odludzie? Samą... w środku zimy. Czy śledziła podejrzanego? A może planowała spotkanie z informatorem?

Na ciele zmarłej widać było ślady walki, ale było ich zbyt mało, by sądzić, że Grainger bronila się zaciekle przed mordercą. Kimkolwiek był zabójca, poruszał się szybko i niepostrzeżenie dla ofiary.

Nie było to łatwe, zwłaszcza że Grainger była zdolną agentką.

Patrick otrząsnął się w samą porę, by zobaczyć, jak Bree siada za kierownicą swojego SUV-a i głośno zamyka drzwi.

Do diabła, nie zamierzała mu niczego ułatwiać. Podszedł do jej auta, nie czekając na zaproszenie otworzył drzwi od strony pasażera i powiedział:

– To chyba oznacza, że mam z tobą jechać.

Nawet na niego nie spojrzała. Włączyła silnik i rzuciła:

– Proszę bardzo. Zawsze chętnie współpracuję z biurem szeryfa.

O tak, nie będzie łatwo.

Chodząc od drzwi do drzwi najprawdopodobniej nie zdobędą zbyt wielu informacji, ale póki co, nie mieli po prostu innego wyjścia. Dopóki FBI nie oświeci ich – jeżeli w ogóle to zrobi – co do spraw, którymi agentka Grainger zajmowała się bezpośrednio przed śmiercią, pozostawała im jedynie mozolna, niewdzięczna robota. Kiedy śledztwo wejdzie na pełne obroty, FBI pewnie wyłoży zasady gry, ale do tej pory będą musieli prowadzić tę sprawę wyłącznie wykorzystując własne doświadczenie oraz intuicję.

Patrick spojrział na Bree. Być może, jeżeli mu się naprawdę, ale to naprawdę poszczęści, nie będzie musiał mówić ani robić niczego, czego by później żałował – tak, jak szczerze żałował wielu spraw, które się między nimi wydarzyły.

Tak, jak żałował ostatnich ośmiu lat.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Bree siedziała w swoim SUV–ie.

Ukradkiem rozejrzała się po wnętrzu pojazdu. Czy jej synek zostawił coś w aucie? Zabawkę? Grę? Czy cokolwiek wskazywało na to, że Bree ma dziecko? Uspokoila się dopiero wtedy, gdy stwierdziła, że w samochodzie nie ma niczego, co mogłoby zwrócić uwagę Patricka.

– Jak sądzisz, od czego powinniśmy zacząć?

Prawie podskoczyła na dźwięk jego głębokiego głosu rozbrzmiewającego w kabinie. Tylko spokojnie, upomniała się w duchu. Patrick zawsze doskonale wyczuwał, kiedy ktoś był zdenerwowany, a zwłaszcza Bree. Tymczasem ostatnie, czego by teraz pragnęła, to to żeby szeryf zaczął zadawać jej osobiste pytania.

– Zacznijmy od Rudy'ego – odparła.

Ponieważ informacja turystyczna była jeszcze zamknięta, Hayes zadzwonił na policję ze stacji obsługi, która znajdowała się na granicy parku, tuż przed wjazdem. Rozsądnie byłoby zacząć właśnie od tego miejsca po to, żeby w pewnym sensie odtworzyć trasę przewodnika.

Patrick nie oponował, wzięła więc jego milczenie za zgodę. Byłoby jej miło, gdyby uprzejmie zaaprobował jej słuszny wybór, ale prawdę mówiąc, nie było zbyt wielkiego pola do popisu, ponieważ możliwości mieli istotnie ograniczone.

Stacja Rudy'ego, „Stop and Co” – trzeba było przejechać wiele mil w obie strony, żeby natrafić na kolejną – stała w tym miejscu od zawsze. Nieopodal stacji znajdowało się kilka lokali, które utrzymywały się niemal wyłącznie z turystów. O tej porze były jeszcze zamknięte. W środku

pracownicy ustawiali towar na półkach i przygotowywali się do kolejnego dnia pracy, który rozpoczyna dopiero punktualnie o dziesiątej. Istniała niska szansa, że ktoś z nich zwrócił uwagę na przejeżdżające autostradą samochody.

Na razie Bree i Patrick musieli jednak zachować pozory i działać po omacku, ponieważ dopóki nie dowiedzą się, nad jaką sprawą tuż przed śmiercią pracowała Grainger, ani kim mogli być jej wrogowie, nie istniał dla nich żaden inny punkt zaczepienia.

Najbardziej prymitywne ze wszystkich policyjnych zajęć.

Bree zaparkowała przed stacją Rudy'ego i wysiadła z wozu. Nie czekała na Patricka – im mniej kontaktu wzrokowego i rozmów, tym lepiej. Wolała, żeby nie rozkładał na czynniki pierwsze każdego jej ruchu. A Patrick był mistrzem analizy i formułowania wniosków wyłącznie na podstawie mowy ciała podejrzanego.

Nawiasem mówiąc, Bree tak właśnie się czuła: jak podejrzana.

Niewykluczone, że poczucie winy miało wiele wspólnego z jej postawą obronną.

Kiedy rozległ się dźwięk dzwonka wiszącego nad drzwiami wejściowymi do sklepu, stojąca za ladą kobieta podniosła głowę. Bree posłała kasjerce uśmiech i czekała na Patricka, który dopiero przemierzał parking. Zatrzymał się, żeby ogarnąć wzrokiem teren parkingu i autostradę. Poszedł na zachód wzdłuż budynku i wyjrzał zza rogu, by obejrzeć wjazd do parku. Pamiętała, że zawsze lubił „wczuć się” w klimat okolicy, gdzie popełniono zbrodnię. W ten sposób układał sobie w głowie przebieg zdarzeń. Najwyraźniej pod tym względem ani trochę się nie zmienił.

Najbardziej irytowało ją to, że zanim udawało jej się zapanować nad swoją reakcją na jego widok, jej wzrok błędził po jego szerokich ramionach i

lustrował całą jego smukłą, wysoką postać, wędrując od nóg obutych w kowbojki, aż po dobrze znany kapelusz zdobiący głowę. Wściekała się na to, że gdy tylko widziała, jak się porusza, serce zaczynało jej mocniej bić i wszczynало prawdziwy bunt na pokładzie... ciała.

Ta chwila musiała kiedyś nastąpić. Wiele razy Bree o tym myślała – w końcu pracowali w tym samym hrabstwie, więc jedynie kwestią czasu pozostawało, kiedy przyjdzie im zajmować się tą samą sprawą.

Ale i tak nie była na to ani trochę gotowa.

Kiedy Patrick wreszcie wszedł do sklepu, Bree ruszyła w inną stronę, chcąc znaleźć właściciela stacji, Rudy'ego Johnsona.

– Dzień dobry, panie Johnson.

– Dzień dobry, pani detektyw Hunter.

Żwawy staruszek przerwał pracę na zapleczu i posłał jej szeroki uśmiech.

– Co słyhać u rodziny? – Jak tylko wypowiedziała te słowa, ugryzła się w język.

Dzwonek nad drzwiami oznajmił, że Patrick wszedł do sklepu. Rudy z pewnością odwzajemni uprzejme pytanie i zapyta o jej syna! Do diabła! Musi się wziąć w garść. Stąpała po wyjątkowo cienkiej linie i nie wolno jej było podejmować zbędnego ryzyka.

Zalała ją fala niepewności. Jak może oczekiwać, że uda jej się utrzymać wszystko w tajemnicy? A może popełniała błąd, trzymając Patricka w nieświadomości i nie mówiąc nic Peterowi? Podjęła tę decyzję dawno temu, w czasach, gdy była wyjątkowo niestabilna emocjonalnie i wręcz z przerażeniem wyobrażała sobie, jakie mogą być konsekwencje, gdyby Patrick dowiedział się, że ma syna.

Za późno, by zawrócić z raz obranej drogi.

– Artretyzm żony daje o sobie znać – odparł Rudy, wkładając ołówek za ucho. – Ale tak to już jest z ludźmi w naszym wieku. – Nagle oczy mu błysnęły, a twarz ozdobił jeszcze szerszy uśmiech. – A jak tam Peter? Obiecałem mu przecież wyprawę do chatki w górach.

Patrick zatrzymał się tuż obok Bree, jakby bogowie uznali ją za winną wszystkich stawianych jej zarzutów i postanowili skazać na tortury – przedsmak tego, co ją czekało w niedalekiej przyszłości.

Tym razem walący młot, w który przemieniło się jej serce, nie miał nic wspólnego z ekscytacją fizyczną bliskością Patricka.

– Świetnie, doskonale. Będziemy musieli się spotkać i ustalić termin tej wycieczki do pańskiej chaty.

Zmienić temat! Natychmiast – rozkazała sobie w myślach.

–Niestety, dziś jestem tu na służbie. Szeryf Martinez i ja musimy zadać panu kilka pytań. Nie powinno to zająć więcej niż kilka minut.

Rudy uważnie patrzył to na Bree, to na Patricka. Tylko nie wspominaj już słowem o Peterze, błagała go w myślach.

– Chodzi o Burta Hayesa? – Rudy położył swój notes na ustawionych pod ścianą puszkach i poświęcił całą uwagę Bree. – Wpadł tu rano, żeby skorzystać z telefonu. Zachowywał się trochę dziwnie. Zapytałem go, czy coś się stało, ale popędził, aż się za nim kurzyło. – Rudy uniósł brew. – Domyśliłem się, że coś się musiało stać w jednym z osiedli w kanionie.

– Czy Hayes wspomniał, o co chodzi? – zapytał Patrick, zanim Bree zdążyła się odezwać.

Rudy potrząsnął głową.

– Zapytał tylko, czy może zatelefonować. Lizzy rozmawiała właśnie z aparatu, który stoi przy ladzie, więc pozwoliłem mu zadzwonić z biura. –

Wskazał kciukiem znajdujące się za jego plecami drzwi z napisem „Tylko dla personelu”. – Jak zwykle rano mieliśmy tu całkiem spory ruch, więc nie miałem okazji zapytać go, po co ten cały pośpiech.

– Czy dziś przed ósmą rano zauważył pan jeszcze kogoś, kto zachowywał się dziwnie? – Bree zaryzykowała pytanie, choć nie była pewna, jak dużo Patrick zamierza ujawnić w związku ze sprawą. – Może ktoś wydawał się podenerwowany albo gdzieś się spieszył, tak jak pan Hayes?

Rudy założył ręce na piersi i podrapał się po brodzie, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Przewalił się typowy poranny poniedziałkowy tłum. Każda z tych osób gdzieś się spieszy – potrząsnął głową. – Nigdy nie zrozumiem, dlaczego wszyscy ci ludzie, którzy przecież muszą jechać do pracy, czekają aż do poniedziałku, żeby zatankować, a potem narzekają, że są już spóźnieni.

– Czy zatrzymał się na pana stacji ktoś, kogo pan nie znał? – zapytał Patrick. – Może pojawił się ktoś, kto spieszył się bardziej niż pozostali?

Rudy wzruszył ramionami.

– Zawsze przejeżdżają tędy jacyś obcy. Zwykle nad ranem nie ma ich zbyt wielu. Dzisiaj nikogo takiego nie zauważyłem. Sami stali klienci.

– Gdyby mógł pan sporządzić dla nas listę stałych klientów, którzy dziś rano pojawili się na stacji, wyświadczyłby pan nam wielką przysługę – Patrick wtrącił prośbę niby od niechcienia. Delikatny manewr.

Bree widziała, że na twarzy Rudy'ego maluje się zakłopotanie.

– Wiem, że prosimy o niemało, panie Johnson, ale... – Bree zerknęła na Patricka, lecz nie zauważyła, by w jakikolwiek sposób zaoponował. – Dziś rano znaleziono w parku zwłoki. Mamy podstawy, by podejrzewać, że przestępstwo mogło zostać dokonane między siódmą a ósmą tego ranka. Tak

więc człowiek, którego być może widział pan lub pańscy stali klienci, może okazać się osobą bezpośrednio zamieszana w sprawę.

Rudy wyprostował ramiona i uniósł głowę, jakby był gotów do walki.

– Klienci, którzy do mnie przyjeżdżają, to porządni ludzie, a nie kryminaliści. – Zaciśnięta szczęka dobitniej niż słowa świadczyła o tym, że pan Johnson zjeżył się. – Gdyby ktokolwiek z nich widział coś albo słyszał, wiedziałbym o tym – dodał.

– Z pewnością ma pan rację – przerwał mu Patrick stanowczym tonem. – Ale mimo to bardzo przydałaby nam się taka lista. Jeżeli odmówi pan podania nam nazwisk, będzie to równoznaczne z utrudnianiem pracy policji.

To tyle, jeżeli chodzi o uprzejmości.

– Wszystko, co ktoś widział, może okazać się ogromnie przydatne w naszym śledztwie – wyjaśniła Bree, mając nadzieję, że uda jej się załagodzić sytuację.

Ute to uparci i dumni ludzie.

Patrick, pomimo że urodził się i wychował na tych terenach, zdawał się nie rozumieć, iż kolor jego skóry w połączeniu z naciskiem w tonie jego głosu i słowami, które wypowiadał, mógł zostać źle odebrany przez Ute.

Rudy przez chwilę wpatrywał się w Patricka, po czym przeniósł spojrzenie na Bree.

– Dam wam tę listę, jeśli to takie ważne.

Patrick zacisnął zęby, a jego mięśnie wyraźnie zeszywniały.

– Szeryf Martinez i ja pracujemy razem – oświadczyła Bree. – Współpraca z pańskiej strony znacznie ułatwiłaby nam obojgu zadanie.

Rudy krótko skinął głową, zaś na twarzy Bree pojawił się uśmiech ulgi.

– Świetnie. Pozwolę sobie przyjechać po tę listę nieco później, jeśli to panu nie przeszkadza. Wiem, że jest pan zajęтым człowiekiem.

Kolejne szybkie, szorstkie skinięcie.

– Dziękuję panu, panie Johnson.

Bree rozumiała, że dalsza współpraca ze strony Rudy'ego zależy w dużym stopniu od tego, czy uda jej się utrzymać wzajemne relacje na poziomie gwarantującym obopólne poszanowanie. Nie znosiła tej myśli, ale musiała przyznać, że z tego właśnie względu nie miała innego wyboru, jak tylko współpracować bezpośrednio z Patrickiem – do pewnego stopnia, oczywiście – tak długo, jak długo obydwójce będą brali udział w śledztwie.

A to dlatego, że ci ludzie znali ją i ufali jej. Była jedną z nich. A Patrick reprezentował tych, którzy zawsze patrzyli z góry na lud Ute i niesprawiedliwie wrzucali ich wszystkich do jednego worka. Tymczasem, jak to z ludźmi: byli wśród nich i dobrzy, i źli. Nikt nie lubi, kiedy osądza się go przez pryzmat czynów innych ludzi.

Patrick i Rudy wymienili ze sobą jedno z tych męskich, chłodno uprzejmych półskinień.

Lizzy O'Dell była na froncie sklepu. Stała oparta o ladę i z zapamiętaniem piłowała paznokcie. Bree zadała jej te same pytania, na które przed chwilą odpowiedział Rudy. Lizzy oświadczyła, że była tego ranka zbyt zajęta staniem za kasą, by zauważyć cokolwiek odbiegającego od normy. Bree podziękowała jej za pomoc i ruszyła w stronę drzwi.

Oby tylko udało jej się wyjść stąd i nie...

– Pozdrów ode mnie Petera – zawołał za nią Rudy.

Bree zdobyła się na grymas, który zasadniczo miał być uśmiechem i odpowiedziała, że jasne, pozdrowi go. W pośpiechu wyszła ze sklepu i wsiadła

do samochodu, mając nadzieję, że ruszą w drogę, zanim szeryf zada jej kłopotliwe pytanie:

– Kim jest Peter?

Gdyby nie wiedziała, że jest fizyczną niemożliwością, by serce zupełnie przestało bić, podczas gdy ciało nadal bez przeszkód oddycha, Bree przysięgłaby, że tak się właśnie stało.

Na szczęście los się nad nią ulitował, ponieważ w tej samej chwili zawibrował jej telefon. Już drugi raz tego ranka uratował jej życie.

– Przepraszam. – Wyjęła aparat i spojrzała na wyświetlacz.

Jej siostra Tabitha.

Serce, o którym myślała już, że kompletnie stanęło, nagle taranem uderzyło w jej mostek.

Bree bez słowa wyjaśnienia otworzyła drzwi i wyszła z wozu, chcąc odbyć tę rozmowę na osobności.

– Hunter. – Stary nawyk: wiedziała przecież, że dzwoni jej siostra, a jednak odebrała telefon, jakby dzwoniło do niej w sprawie służbowej.

– Siostrzyczko, mam dzisiaj parę spraw do załatwienia na mieście. Chcesz, żebym odebrała Petera ze szkoły?

Bree rzuciła okiem w kierunku samochodu. Patrick nadal siedział grzecznie na miejscu dla pasażera. Co prawda widać było, że patrzy wprost przed siebie, ale znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że cały czas ma ją na oku i śledzi każdy jej ruch.

– Byłoby świetnie. Zapowiada się, że będę miała długi dzień. – Bree zrobiła kilka kroków do przodu. – Słuchaj, nie mam zbyt wiele czasu, ale musimy porozmawiać.

– O–o. Co jest?

Siostra dobrze ją знаła. Bree posłała kolejne ukradkowe spojrzenie w kierunku SUV-a, żeby upewnić się, że Patrick siedzi w środku, a wszystkie okna są zamknięte. Ściszyła głos tak, że mówiła teraz prawie szeptem:

– Dziś rano Peter zapytał mnie o swojego ojca. Uparł się i ciągle o nim mówił.

– Od dawna ci powtarzam, że tę rozmowę...

– Tak, tak, wiem – przerwała jej Bree z irytacją w głosie. Nie miała ochoty na wykład. – Po prostu wolałabym, żeby stało się to później niż wcześniej, a dzięki tobie i Layli będzie pewnie odwrotnie. Peter usłyszał, jak Layla mówiła, że jego ojciec jest złym człowiekiem, tak samo jak Jack.

Cisza w słuchawce zakomunikowała Bree, że jej siostra nagle zdała sobie sprawę z błędu.

– Och, Bree, przepraszam. Layla narzekała, że zastępcy szeryfa traktują niesprawiedliwie nastoletnich kierowców. Trochę ją poniosło i rzuciła tę uwagę w złości. Nie miała niczego złego na myśli, a już na pewno nie powiedziała tego specjalnie po to, żeby Peter mógł ją usłyszeć.

Bree zaniknęła oczy i ciężko westchnęła.

– W porządku. Powiedz po prostu Layli, żeby ostrożniej dobierała słowa. Nie mam do tego głowy – szybko zerknęła na wilka, o którym była mowa – a już na pewno nie teraz.

– Czy coś się dzieje?

– Porozmawiamy o tym później – obiecała Bree. Patrick pewnie już się niecierpliwi. – Muszę wracać do pracy. Zaopiekuj się dobrze moim chłopczykiem, okej?

– Przecież wiesz, że możesz na mnie liczyć. Słuchaj, Bree...

– Tak?

– Uważaj na siebie. Peter cię potrzebuje. Wszyscy cię potrzebujemy.

Bree obiecała Tabicie, że zachowa ostrożność, i zakończyła rozmowę. Od chwili, gdy zdecydowała się na pracę w policji, cała rodzina zamartwiała się jej losem, lecz ostatnio Tabitha wydawała się martwić bardziej niż zwykle. To wszystko wina Bree. Nigdy nie powinna była opowiadać siostrze o tamtej nocy. Ale przecież musiała się komuś wygadać.

Bree od jakiegoś czasu miała dziwne wrażenie... przeczucie, że ktoś ją obserwuje albo śledzi. Mogłaby przysiąc, że parę razy widziała kogoś kątem oka, ale jak do tej pory nikogo nie przyłapała na gorącym uczynku. Zawsze okazywało się, że chodziło o jakąś błahostkę, zbieg okoliczności. Przedwczoraj wieczorem była przekonana, że ktoś poszedł za nią do domu. Być może i tym razem nie było to nic poważnego. Przypadek, paranoja, cokolwiek. A jednak, będąc dobrze wyszkoloną policjantką, wiedziała doskonale, że jej zmysły nie zawodzą.

Zignorowanie zagrożenia, prawdziwego lub wymyślnego, mogło ją kosztować więcej, niż byłaby skłonna zapłacić.

Tak czy owak, zgodnie z tym, co powiedziała swojej siostrze, Bree nie miała czasu, aby teraz się tym zająć. Wróciła do SUV-a i zajęła miejsce za kierownicą.

– Przepraszam za to – odezwała się do Patricka, wskazując na komórkę, i z rozpędu prawie by oznajmiła, że telefon dotyczył jej syna.

Do diabła. Synek do tego stopnia był częścią jej życia, że mówienie o nim było niczym oddychanie.

– Żaden problem.

Bree zdążyła zapalić silnik i wrzucić wsteczny bieg, kiedy Patrick zapytał spokojnie:

– No więc, kim jest ten Peter?

Wydział zabójstw hrabstwa Kenner mieścił się na najwyższym piętrze starego archiwum miejskiego usytuowanego na obrzeżach Kenner City. Bree pamiętała, że budynek od zawsze wykorzystywany był jako składnica dawnych akt. Kiedy FBI w końcu dało zielone światło laboratorium kryminalistycznemu w Four Corners, okazało się, że jedynym wolnym miejscem, jakim dysponowało miasto, było trzecie piętro archiwum. Niezbyt korzystna lokalizacja nie przeszkodziła Callie MacBride i jej zespołowi wyrobić sobie dobrej reputacji. Cóż, dla chcącego nie ma nic trudnego.

Bree z ulgą stawiała się na odprawę. Spędziła z Patrickiem Martinezem sześć godzin i przez większą część tego czasu rządziły nią emocje. Obydwoje odwiedzili najpierw jej biuro, a potem jego. Złożyli wizytę w każdym sklepie i każdej knajpie w promieniu piętnastu kilometrów od wjazdu do parku. Odebrali od Rudy'ego Johnsona listę stałych klientów. Bree rozpoznała zdecydowaną większość nazwisk z tego wykazu. Najprawdopodobniej trafili na błędny trop.

Cały ranek zajmowali się zajęciami niczym z policyjnego przedszkola: nie dysponując praktycznie żadnym punktem wyjścia, zaczęli od rzeczy najbardziej elementarnej, czyli przesłuchania wszystkich, którzy znajdowali się w pobliżu miejsca zbrodni.

Bree była pewna, że Patrick jako szeryf hrabstwa Kenner ma całę mnóstwo innych spraw, którymi musi się zająć. Mógł do pracy z nią oddelegować któregokolwiek ze swoich zastępców, ale nie – on twardo trzymał się jej przez cały dzień.

Po to, żeby coś wywęszyć. To pewne. Cóż mogło go obchodzić, co robiła przez ostatnie osiem lat? Jej życie to już nie jego sprawa. Powiedziała mu to wprost, kiedy zaczął naciskać w kwestii Petera, pytając: „Czy to twój mąż?”.

Nerwy miała napięte jak postronki.

Nieustannie słyszała w głowie głos swojej siostry: „Powinnaś wszystko wyjaśnić zarówno Peterowi, jak i Patrickowi. Ta decyzja będzie cię dręczyć w snach”. Jej ojciec twierdził, że to wyłącznie decyzja Bree, a jednak Tabitha od samego początku stanowczo się z nią nie zgadzała.

Koniec końców, Bree nie mogła przecież cofnąć tego, co się stało. Podjęła pewną decyzję i nie było mowy, żeby ją teraz zmieniać. Zalała ją fala frustracji. Do tej pory nie widziała żadnej realnej przyczyny, dla której miałaby żałować decyzji, którą podjęła lata temu.

A wścibstwo Patricka Martineza z całą pewnością nie mogło być wystarczającym powodem do zmiany tej decyzji.

Kiedy weszli do budynku, Bree pierwsza ruszyła schodami na trzecie piętro. Z każdym krokiem czuła na sobie spojrzenie szeryfa. A może to tylko wyobraźnia? Patrick analizował sekunda po sekundzie wszystko to, co robiła przez cały dzień. Każde słowo. Każdy ruch.

Dzięki Bogu dzień już się prawie skończył.

Gdy znaleźli się na trzecim piętrze, Bree zatrzymała się przy biurku recepcjonistki. Przywołała uśmiech na twarz.

– Dzień dobry. Przyjechaliśmy na odprawę w sprawie zabójstwa agentki Julie Grainger.

– Detektyw Sabrina Hunter? – Recepcjonistka, Elizabeth Reddawn, zgodnie z tym, co było napisane na tabliczce stojącej na biurku, odwzajemniła uśmiech.

– Zgadza się – odparła Bree, po czym wskazała na Patricka. – I szeryf Martinez.

– Dzień dobry, szeryfie – Elizabeth posłała mu szeroki uśmiech. – Zorganizowaliśmy centrum dowodzenia w pokoju konferencyjnym na końcu korytarza. Wie pan, w tym pomieszczeniu, które kiedyś służyło za magazyn – powiedziała w stronę Patricka.

– Znam drogę – potwierdził szeryf. – Dzięki, Elizabeth.

Bree powinna była wiedzieć, że Patrick na co dzień współpracował bezpośrednio z laboratorium. Znał personel i budynek. Natomiast Bree komunikowała się z technikami pośrednio, zgodnie z hierarchią służbową obowiązującą na posterunku. Niezwykle rzadko miała okazję współpracować z kimś z laboratorium bezpośrednio, z wyjątkiem sytuacji, kiedy zdarzało jej się pracować z Callie MacBride.

Choć obydwójce stawili się na odprawę dziesięć minut przed czasem, to jednak centrum dowodzenia przerobione z sali konferencyjnej pełne już było agentów FBI – takie przynajmniej Bree odniosła wrażenie, że byli to pracownicy Agencji, ponieważ nie rozpoznawała pośród nich żadnego miejscowego funkcjonariusza.

Kiedy Patrick i Bree weszli do pomieszczenia, przywitał ich agent specjalny Jerry Ortiz.

– Patrick – wymienili uścisk dłoni. – Detektyw Hunter, jak sądzę – wyciągnął do niej rękę.

– Agencie Ortiz, to jest detektyw Sabrina Hunter z policji Towaoc – oficjalnie przedstawił ją Patrick.

– Cieszę się, że jest pani częścią naszego zespołu, pani detektyw – powiedział Ortiz z polotem godnym polityka, po czym zwrócił się do Patricka:

– Postanowiłem osobiście wziąć udział w śledztwie dotyczącym tej... sprawy. – Odetchnął głęboko.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– To zrozumiałe – odparł Patrick.

Bree wielokrotnie słyszała nazwisko Ortiza, nie mówiąc już o tym, że nie raz oglądała go w telewizyjnych wiadomościach. Pracował w biurze FBI w Durango.

– Proszę wszystkich o zajęcie miejsc – powiedział głośno Ortiz i stanął za krzesłem u szczytu długiego konferencyjnego stołu.

Bree usiadła w pewnej odległości od Patricka. Potrzebowała chwili oddechu. Zajęła miejsce obok Callie.

Kiedy wszyscy usadowili się już na swoich miejscach, Ortiz przedstawił osoby obecne w sali konferencyjnej. Niektórych funkcjonariuszy Bree kojarzyła ze spraw, nad którymi wcześniej zdarzyło jej się pracować. Wprawdzie rzadko miała z tymi ludźmi bezpośredni kontakt, ale rozpoznała kilka znajomych twarzy. Część zebranych była tego ranka na miejscu zbrodni, na przykład O'Shea, Fleming i Miguel Acevedo. Nigdy wcześniej nie widziała Stevena Griswolda, starszego dżentelmena, który w laboratorium pełnił funkcję eksperta od broni palnej. Olivia Perez i Jacob Webster – Bree kilka razy widziała tę dwójkę w mieście w porze lunchu, ale nigdy nie miała okazji z nimi współpracować. Zastanawiała się, czy łączyło ich coś więcej poza sprawami zawodowymi. Nie nosili co prawda ślubnych obrączek, ale każda wymiana spojrzeń między nimi ogłaszała wszem i wobec, że w grę wchodzi chemia uczuć.

Pozostalej trójki agentów FBI – Toma Ryana, Bena Parrisha oraz Dylana Acevedo – Bree w żaden sposób nie kojarzyła. Według słów Ortiza, Ryan i

Acevedo natychmiast wsiedli do samolotu i przylecieli na miejsce, jak tylko dowiedzieli się, co się stało. A więc dlatego ich nie rozpoznawała, bo byli spoza Kenner.

Rety! Dylan Acevedo był podobny jak dwie krople wody do Miguela. Biorąc pod uwagę, że poza podobieństwem łączyło ich to samo nazwisko, bez wątpienia byli braćmi.

Agent Jerry Ortiz, jakby czytając Bree w myślach, powiedział:

– Dla tych, co nie wiedzą, panowie Acevedo są braćmi bliźniakami – machnął ręką od niechcienia. – Zauważyłem, że niektórzy wyglądali na zakłopotanych, więc postanowiłem od razu wyjaśnić, w czym rzecz.

Bree miała nadzieję, że nie tylko ona zrobiła tę zakłopotaną minę. Patrick spojrział na nią z drugiej strony stołu. Do diabła, a jednak chodziło o nią.

– Wszyscy wiemy, dlaczego tu jesteśmy – powiedział Ortiz ponurym głosem. – Będzie nam bardzo brakowało agentki Julie Grainger. Nie istnieją słowa, które pomogłyby wyrazić to, co czujemy w związku z jej stratą. Jednakże wściekłość i żal w niczym już Julii Grainger nie pomogą, jak również nie ułatwią nam zadania, któremu musimy sprostać. Ostatnie i w gruncie rzeczy jedyne, co możemy jeszcze zrobić dla naszej zmarłej koleżanki, jest doprowadzenie do tego, by jej zabójca został postawiony przed sądem najszybciej, jak to możliwe. Mając to na względzie, chciałbym w tym miejscu podzielić się z zebranymi tu osobami wszystkimi niezbędnymi informacjami dotyczącymi ostatniej sprawy, nad którą pracowała agentka Grainger. Wziąwszy pod uwagę naturę prowadzonego przez nią śledztwa, mamy podstawy przypuszczać, że ta sprawa jest bezpośrednim motywem morderstwa.

Bree ciarki przeszły po plecach. FBI zawsze kręciło nosem na konieczność współpracy z lokalnymi służbami mundurowymi, a już zwłaszcza

na tym poziomie odpowiedzialności, ale cóż, bez dwóch zdań wszyscy pragnęli rozwiązać zagadkę tego zabójstwa – i to szybko.

– Zaznaczam, że podczas tego spotkania ujawnimy tylko te informacje, które są niezbędne do podjęcia działań operacyjnych – mówił dalej Ortiz. – Jakikolwiek przeciek może w znacznym stopniu zaszkodzić prowadzonemu śledztwu. Myślę, że nie muszę państwu o tym przypominać. Wprawdzie FBI przejmie na siebie główny ciężar śledztwa, ale, zważywszy na okoliczności, w jakich przyszło nam działać, wsparcie ze strony biura szeryfa, jak również miejscowej policji, w znacznym stopniu zwiększy szansę zamknięcia sprawy.

Twarze zgromadzonych wokół stołu konferencyjnego miały nadal ten sam ponury wyraz, ale w powietrzu czuć było determinację, by doprowadzić sprawę do końca.

– Od kilku miesięcy agentka Grainger zajmowała się zniknięciem Vincenta Del Gardo i pracowała nad ustaleniem jego obecnego miejsca pobytu. – Ortiz przystąpił do wyjaśnień.

Callie MacBride, która zajmowała miejsce obok Bree, wzięła głęboki oddech. Zrobiła to na tyle cicho, że Bree była przekonana, iż nikt poza nią niczego nie słyszał. Kątem oka przyjrzała się Callie: kobieta zbladła niczym śmierć, a na jej twarzy malowało się napięcie.

Zanim Bree zdążyła przeanalizować reakcję sąsiadki, słowa Ortiza wyrwały ją z zamyślenia:

– ... w Los Angeles. Vincent jest głową znanej mafijnej rodziny Del Gardo. Prawie trzy lata temu uciekł z aresztu i od tamtej pory bezskutecznie próbujemy go znaleźć. Po wielu miesiącach intensywnej pracy agentce Grainger udało się go w końcu zlokalizować na terenie Four Corners.

Bree starała się skupić uwagę na tym, co mówił Ortiz, a nie na reakcjach Callie, ale nie mogła nie zauważyć, że gdy siedząca obok niej kobieta zaczesywała sobie włosy za ucho, jej ręka trzęsa się. Bree uświadomiła sobie, że przecież Callie i Julie mogły być przyjaciółkami, tak więc silna reakcja emocjonalna Callie mogła po części wynikać z powodów osobistych.

– W toku śledztwa prowadzonego przez agentkę Grainger okazało się, że Del Gardo nabył w okolicy sporej wielkości nieruchomość. Niestety, zanim zdążyliśmy złożyć mu wizytę, Del Gardo sprzedał tę nieruchomość osobie trzeciej, Griffinowi Vaughanmi, niezwiązanemu z gangsterem w żaden sposób. W tej chwili możemy jedynie przypuszczać, że śmierć agentki Grainger pozostaje w pewnej relacji z prowadzonym przez nią dochodzeniem. Del Gardo znany jest z tego, że bez oporów pozbywa się niewygodnych dla siebie ludzi.

Ortiz pochylił się do przodu i położył dłonie na oparciu krzesła.

– Dorwiemy tego sukinsyna tak, czy inaczej. I dorwiemy cyngla, którego wynajął, żeby sprzątnął naszą koleżankę i przyjaciółkę. Do tej pory ścigaliśmy Del Gardo z wielu różnych powodów, ale teraz naszym priorytetem jest ustalenie, kto zamordował agentkę Grainger.

Napięcie emanujące od zgromadzonych w sali osób niemal wypierało powietrze z pomieszczenia. Wszyscy pragnęli tego samego, co Ortiz: znaleźć zabójcę. Teraz, natychmiast.

Następnie Ortiz krótko przedstawił dotychczasowe wyniki śledztwa. Niestety, na miejscu zbrodni nie znaleziono żadnego materiału dowodowego. Pozostawała nadzieja, że sekcja zwłok Julie Grainger dostarczy przełomowych tropów, które doprowadzą do ujęcia zabójcy. Na koniec Ortiz poruszył kwestię połączenia z numerem alarmowym 911.

– Czy jesteśmy gotowi, by wysłuchać nagrania? – zwrócił się do Callie.

Kobieta drgnęła, jakby wyrwano ją z głębokiego zamyślenia, po czym chrząknęła i dała znak Olivii.

– Tak. – Główna specjalistka laboratorium kryminalistycznego wstała i też chrząknęła. – Jak już zapewne wszyscy wiecie, Burt Hayes, członek ple-mienia Ute i przewodnik po parku, znalazł... ciało i wykonał telefon na posterunek policji w Towaoc. W tym samym czasie połączono się również z numerem alarmowym 911. Dzwonił mężczyzna. Nie przedstawił się.

W tym momencie uwagę wszystkich zgromadzonych odwróciło nagłe poruszenie po drugiej stronie długiego stołu konferencyjnego. Zamieszaniu towarzyszyło kilka niecenzuralnych słów.

Agenci Parrish i Ryan w jednej chwili zerwali się na nogi.

– Przepraszam. Ja... mam dzisiaj dwie lewe ręce – wybąkał Parrish.

Podniósł przewróconą filiżankę i wytarł serwetką rozlaną kawę.

– Nie szkodzi. – Ryan machnął rękami, jakby próbując zatrzeć złe wrażenie. – Myślę, że dziś każdy z nas jest nieswój. Poza tym i tak wszystko poleciało na ciebie.

Faktycznie, kawa ściekała strużką na jego spodnie w kolorze khaki.

– Najmocniej przepraszam – potrząsnął głową. – Zaraz... zaraz wracam. Tom przekaze mi, o czym była mowa – powiedział do Ortiza i pozostałych, po czym wypadł z pomieszczenia.

Ortiz nie wyglądał na zadowolonego, ale mimo to kontynuował.

– Dobrze. Posłuchajmy tego nagrania.

Callie dała znak Olivii, która włączyła odtwarzanie.

Najpierw wybrzmiało standardowe przywitanie operatora linii 911. Potem nastąpiła chwila ciszy, a wtedy:

– Chcę zgłosić... morderstwo.

Głos wydawał się dobiegać z oddali, jakby słuchawka znajdowała się daleko od ust dzwoniącego albo była częściowo przysłonięta. Następnie dało się słyszeć jakieś stłumione dźwięki i coś, co zabrzmiało jak: „O, Boże”, a potem mężczyzna mówił dalej:

– W rezerwacie Ute, w parku... ciało... o, Boże.

Nastąpiła chwila cisza, po czym operator poprosił rozmówcę, by ten się przedstawił oraz podał więcej szczegółów. Wtedy dzwoniący przerwał połączenie.

W sali konferencyjnej zapadła cisza. Tom Ryan raptownie wystrzelił z krzesła i zażądał:

– Proszę to puścić jeszcze raz. Callie zesztyniała.

Bree zbadala wzrokiem najpierw swoją sąsiadkę, która nagle wydała się jeszcze bardziej zdenerwowana niż do tej pory, a potem obrzuciła spojrzeniem Ryana. Wściekłość na jego twarzy nie była tą samą furją, co wcześniej – weszła w nową fazę gniewu.

Olivia posłusznie odtworzyła nagranie raz jeszcze. Kiedy kipiący emocjami głos dzwoniącego wypełnił pomieszczenie, nikt nie odezwał się nawet słowem. Bree zdała sobie sprawę, że słyszy w tym głosie jakąś znajomą nutę. Za pierwszym razem skupiła się na treści, tym razem zwróciła uwagę na brzmienie głosu. Bree go znała. Słyszała go już wcześniej.

Gdy nagranie dobiegło końca, w drzwiach pojawił się agent Parrish. W tej samej chwili Bree przypominała sobie, gdzie i kiedy słyszała wcześniej głos anonimowego rozmówcy.

– To pan!

Bree przeskoczyła wzrokiem na siedzącą obok niej panią ekspert.

– To pan dzwonił – oznajmiła Callie, wskazując oskarżycielskim palcem na agenta Bena Parrisha.

Agent Ryan wpatrywał się w mężczyznę, który stanął w połowie drogi między drzwiami a swoim krzesłem.

– Ben, co jest grane? – zapytał. I wtedy rozpętało się piekło.

Dylan Acevedo i Parrish skoczyli sobie do gardeł. Patrick i Jacob z pomocą Ortiza odciągnęli od siebie dwóch walczących mężczyzn.

Gęsta od emocji atmosfera w sali konferencyjnej wręcz utrudniała oddychanie. Ortiz stanowczo zaapelował o spokój. Cisza, która nagle zastąpiła chaos, okazała się nawet bardziej irytująca.

Co tu się działo? Bree nie mogła uwierzyć w to, co widzi i słyszy. Agent Parrish odkrył ciało? Dlaczego ukrył ten fakt? Dlaczego opuścił miejsce zbrodni?

– Czy mógłby pan to wyjaśnić? – zażądał Ortiz głosem zachrypniętym od krzyku.

Coś niedobrego działo się pomiędzy trójką agentów po drugiej stronie stołu. Pierwsza myśl Bree była taka, że jeżeli Parrish istotnie był czemuś winny, to przecież mógł zbiec, jak tylko usłyszał, że za chwilę zostanie odtworzone nagranie z numeru 911. Ale nie zrobił tego. Wrócił na salę, wiedząc, że będzie musiał stawić czoło sytuacji.

– Odebrałem wiadomość tekstową – wyjaśnił Parrish zmęczonym, pozbawionym emocji głosem. – Było w niej napisane, że dziś rano mam się spotkać z Julie. – Wzruszył ramionami, jakby chciał zrzucić ciężar z barków. – Od razu nabrałem podejrzeń co do numeru, z którego przyszedł SMS, ponieważ nie miałem go zapisanego w kontaktach. A przecież mam tam numer Julie. Kiedy w odpowiedzi wysłałem do niej wiadomość z prośbą o telefon,

zignorowała ją. – Parrish oparł się o stół. – Nie miałem od niej żadnych wieści już od kilku tygodni i nie mogłem podjąć ryzyka, nie mogłem zignorować jej prośby. Wiedziałem, że tkwiła po uszy w swoim śledztwie – wziął głęboki oddech. – Wy tłumaczyłem sobie, że potrzebowała mojej pomocy i skorzystała po prostu z pierwszej nadarzającej się okazji skontaktowania się ze mną. Tak więc pojechałem. No i... – gwałtownym ruchem zaczerpnął powietrza. – Była martwa. Już od kilku dni.

– I nie zgłosiłeś tego? Nie zostałeś z nią? – dopytywał się Ryan. – Coś ty sobie myślał? Jak mogłeś ją tak zostawić?

– Jaki był motyw? – zapytał Dylan. – Dlaczego niby ktoś miałby wysłać ci wiadomość, żebyś się z nią spotkał? To nie ma sensu. Dlaczego właśnie ty? Przecież nie masz nic wspólnego ze śledztwem w sprawie Del Gardo.

Grobowa cisza świdrowała w uszach. Wszyscy czekali w napięciu, aż Parrish poda jakieś rozsądne wytłumaczenie swojego zachowania.

Agent potrzęsnał tylko głową.

– Nie wiem. Mogę tylko zakładać, że to była pułapka. – Powiódł wzrokiem po sali. – Pułapka, która okazała się skuteczna.

Napięcie pomiędzy trójką agentów ponownie dało o sobie znać, aczkolwiek tym razem obyło się bez rękoczynów.

– Dość! – rozkazał Ortiz. Podniósł rękę i zczekał, aż w pomieszczeniu zalegnie cisza.

Spojrzenia, którymi wzajemnie obrzucali się Ryan, Parrish i Dylan Acevedo, mogłyby przeciąć najtwardszą stal.

– Zajmiemy się tą sprawą w odpowiednim czasie

– obiecał Ortiz i obrzucił Parrisha podejrzliwym spojrzeniem, którego nawet nie starał się ukryć.

– Zaczniemy od tego, że poproszę pana, agencie Parrish, żeby oddał mi pan swój telefon. Jeżeli uda nam się namierzyć numer, z którego otrzymał pan wiadomość, być może będziemy mieli jakiś punkt wyjścia.

Parrish rzucił komórkę na stół.

– Proszę bardzo. Nie mam nic do ukrycia. – Drugie zdanie zabrzmiało zauważalnie mniej przekonująco i pewnie.

– Taaa, jasne – mruknął Dylan.

Wzrok Ortiza mówił sam za siebie. Chwilę później rozdzielił zadania pomiędzy zgromadzonych.

– Pani detektyw Hunter – powiedział, gdy dotarł do Bree. – Proszę porozmawiać ze swoimi kontaktami w rezerwacie Ute. Może ktoś słyszał jakieś plotki o morderstwie agenta federalnego. Niewykluczone, że ktoś gdzieś czegoś się dowiedział.

– Tak jest.

Bree uznała, że jest to zadanie, jakim z powodzeniem może się zająć. Zabójstwo agenta federalnego to poważna sprawa, nawet w tej tak zwanej przestępczej stolicy Kolorado. Ludzie na pewno mówią o tym między sobą.

Ortiz zlecił Patrickowi podobne, nieskomplikowane zadanie. Agenci FBI mieli z kolei spróbować zrekonstruować przebieg śledztwa agentki Grainger. Kolejną odprawę wyznaczono za czterdzieści osiem godzin, chyba że trzeba będzie zwołać ją wcześniej w trybie nagłym.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, Bree obserwowała, jak agenci dzielą się na grupy. Callie ze swoim zespołem techników przystąpiła do omawiania strategii, zaś agenci Ryan i Acevedo rozmawiali z Ortizem przyciszonymi, acz pełnymi napięcia głosami.

Ben Parrish stał samotnie, uginając się pod naporem oskarżenia, wykluczony z kręgu swoich współpracowników. Bree co prawda w ogóle go nie знаła, ale mimo woli zrobiło jej się go żal. Gdyby był winny, bez wątpienia dałby stąd nogę. Tymczasem okazał się twardy: wrócił i stawiał czoło wściekłym kolegom.

No tak, ale jednak z drugiej strony, wcale go nie znała. Wiedziała tylko, że czas pokaże, co z tego wyniknie. Jeżeli Parrish był zamieszany w śmierć Grainger, w toku śledztwa prędzej czy później to wypłynie.

Technicy zaczęli powoli wychodzić z sali. Kiedy Callie poszła za swoimi kolegami, Tom Ryan zatrzymał ją w drzwiach. Przez cały czas trwania odprawy Callie była w widoczny sposób zestresowana do granic możliwości, ale jej reakcja na Ryana była inna. Towarzyszyło jej to samo napięcie, ale dodatkowo ujawnił się nowy, trudny do uchwycenia aspekt jej zachowania. Bree nie potrafiła powiedzieć, o co może chodzić, ale dało się pomiędzy tym dwojgiem wyczuć coś, co wykraczało poza nerwowość towarzyszącą sprawie.

– Wygląda na to, że będziesz musiała mnie podwieźć do mojego samochodu.

Głos Patricka wyrwał Bree z mętliku niepokojących myśli.

– Jasne.

Im prędzej znajdzie się poza zasięgiem jego analitycznego wzroku, tym lepiej.

Wyszła z budynku i ruszyła w kierunku auta.

Konieczności musi zatrzymać się w biurze, zanim wróci do domu. Być może czekały na nią jakieś wiadomości, a poza tym chciała sobie zapisać wnioski, które nasunęły jej się w czasie odprawy. Miała zamiar dowiedzieć się też czegoś na temat Parrisha, choć wątpiła, czy jej się to uda.

– Tak sobie myślałem – odezwał się Patrick, kiedy już wsiedli do SUV-a.

Mogła udać, że go nie słyszy, ale on by po prostu powtórzył to samo zdanie. Myślałeś sobie... co? Że nie możesz doczekać się, aż ci zejde z oczu? Cóż, w takim razie witaj w klubie.

– Powinniśmy skoordynować nasze działania. To śledztwo obejmuje wiele spraw, które podchodzą pod jurysdykcję FBI, a w które nie będziemy wtajemniczeni. Ale możemy przecież zbadać grunt, przetrząsnąć okolicę i podążyć każdym tropem, który wyda nam się ważny. O wiele lepiej przysłużylibyśmy się sprawie, gdybyśmy pracowali razem.

To tyle, jeśli chodzi o samotne śledztwo.

Przez ostatnie osiem lat Bree usiłowała zostawić za sobą przeszłość. A teraz kluczowy element tej przeszłości, którego starała się za wszelką cenę uniknąć, łądował się z butami prosto do jej terażniejszości.

Nie istniał żaden sposób na uniknięcie zbliżającej się wielkimi krokami katastrofy, którą Bree wyczuwała każdą komórką swego ciała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bree zaparkowała przed domem siostry i zgasiła silnik. Była wyczerpana – bardziej umysłowo niż fizycznie. Oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy.

Jak miała sobie z tym wszystkim poradzić?

Nie dość, że na jej terenie zginęła agentka federalna, to jeszcze miała ściśle współpracować z Patrickiem przez czas trwania śledztwa. Niewiele brakowało, by była to ostatnia kropla, która przeleje czarę.

Miała nadzieję, że teraz, gdy minęło już osiem lat, przeszłość pozostała daleko w tyle.

A jednak myliła się. Tak bardzo się myliła.

Otworzyła oczy i spojrzała na dom siostry. Jej synek na nią czekał. Nie może przecież siedzieć tutaj i w nieskończoność próbować wziąć się w garść. Musiała wejść do środka i udawać, że nie spędziła całego dnia z człowiekiem, o którym Peter nawet nie wiedział, że jest jego ojcem.

I że nie okłamuje go z egoistycznych powodów.

Wcale go nie okłamywała... a może jednak?

– Dość tego! – krzyknęła głośno.

Wysiadła z auta i powlokła się nogą za nogą po chodniku, a potem weszła po schodach. Było już ciemno i padała z nóg. Może długa gorąca kąpiel, a potem czas spędzony z synkiem dodadzą jej sił.

W drzwiach powitała ją Tabitha, jak zwykle czymś zmartwiona.

– Wszystko dobrze? W wiadomościach na okrągło trąbią o morderstwie agentki federalnej. Pracujesz nad tą sprawą?

Bree kiwnęła głową, mając nadzieję, że siostra nie okaże się bardziej dociekliwa, ponieważ o śledztwie i tak nie mogła z nią porozmawiać, a o

całym dniu, który musiała spędzić z Patrickiem, najzwyczajniej nie miała ochoty opowiadać.

– Założę się, że nic nie jadłaś przez cały dzień. – Tabitha chwyciła Bree za rękę i wciągnęła do środka. – Podgrzeję ci trochę zupy. Peter już zjadł i odrobił pracę domową. Ogląda telewizję z Laylą.

Zanim Bree zdążyła zadać pytanie, Tabitha dodała:

– O nic się nie martw. Porozmawiałam sobie z Laylą. Nie padnie już ani jedno słowo, sama wiesz o kim.

– Dzięki, siostrzyczko – odparła Bree.

Jak tylko drzwi zamknęły się za Bree, Peter przybiegł, żeby uściskać mamę. Kiedy dzień zdawał ciągnąć się w nieskończoność – tak jak ten, który Bogu dzięki właśnie się kończył – Bree ogromnie tęskniła za swoim synkiem. Zmierzwiała jego ciemne włosy i pocałowała go w czubek głowy.

– Mam nadzieję, że byłeś grzeczny i nie sprawiałeś kłopotów cioci.

Peter zaciągnął mamę do kuchennego stołu i opowiedział o wszystkim, co tego dnia robił w szkole, a w tym czasie Tabitha podgrzewała zupę. Peter był nie tylko utalentowanym małym artystą, lecz również zdolnym uczniem. Bree była dumna z jego zachowania w szkole i ocen, jakie przynosił. Był takim cudownym dzieckiem.

Lecz cóż z tego, skoro dorastał i niedługo przyjdzie czas, że wcale nie będzie miał ochoty chwalić się przed nią odrobioną pracą domową, a tym bardziej opowiadać jej o całym dniu.

Może popełniła błąd? Peter tak bardzo potrzebował, żeby w jego życiu pojawił się prawdziwy mężczyzna. Na posterunku zawsze był wujek Roy, ale mąż Tabithy pracował dla firmy wydobywającej ropę naftową i więcej czasu spędzał poza domem niż z rodziną.

Kiedy Peter był jeszcze niemowlakiem, Bree była w stu procentach przekonana o słuszności swojej decyzji. Ale teraz, po tym, co przeszła z Jackiem, i gdy obserwowała, jak jej maleńki synek wyrasta na dużego chłopca, poddawała w wątpliwość decyzję, którą podjęła przed laty.

Ulubiony program Petera przyciągnął go z powrotem przed telewizor w tym samym momencie, w którym Tabitha postawiła przed Bree duży talerz gorącej zupy ziemniaczanej i naląła jej szklankę kakao.

– Jedz – zarządziła. – I powiedz, co mogę zrobić, żeby poprawić ci nastrój. Martwię się o ciebie i robią mi się przez to zmarszczki. – Podrapała się w czoło. – A Bóg mi świadkiem, że mam już ich pod dostatkiem.

Bree zdobyła się na lekki uśmiech. Po tym, jak ich matka zmarła, Tabitha przejęła jej rolę. Bree miała wtedy zaledwie czternaście lat, a jej starsza o cztery lata siostra zrezygnowała z pójścia do koledżu i została w domu, żeby pomóc ojcu wychowywać Bree. Koledż odszedł w niepamięć, gdy Tabitha poznała Roya. To była miłość od pierwszego wejrzenia i doskonały wybór, dzięki czemu Tabitha miała teraz męża z prawdziwego zdarzenia, który ją szanował.

Bree wzięła do ręki łyżkę i zamieszała nią w zupie. Zupełnie nie miała apetytu. Jak mogła cokolwiek przełknąć, skoro w jej głowie nadal tkwił obraz Julie Grainger, która, zanim odkryto jej ciało, przez dwa dni leżała na odludziu?

– Spokojnie, niczym się nie martwię – odparła w odpowiedzi na sugestię siostry, że coś ją trapi.

Tabitha przewróciła oczami.

– Oho, tak jest, zaprzeczenie. Moja droga siostrzo, to się leczy.

No tak, Bree równie dobrze mogła opowiedzieć siostrze całą prawdę. Tabitha miała swoje sposoby na to, jak wyciągnąć z człowieka informacje. Kiedy tylko zwietrzyła pismo nosem, nie dawała za wygraną, dopóki nie dowiedziała się wszystkiego. Po co więc tracić energię na zabawę w kotka i myszkę?

Szybko sprawdziwszy, czy Peter aby na pewno jest totalnie pochłonięty oglądaniem telewizji, Bree wyzaliła się Tabicie. Ostrożnie dobierała przy tym słowa tak, że nawet jeżeli Peter cokolwiek usłyszał, to i tak nie był w stanie domyślić się, o kim była mowa.

– Spędziłaś z nim cały dzień?

Bree skinęła głową i zmusiła się do przełknięcia łyżki swojej ulubionej zupy. Nie odczuwała głodu, ale zdawała sobie sprawę, że musi dostarczyć ciału paliwa, ponieważ kilka kolejnych dni, a nawet tygodni będzie od niej wymagało uruchomienia całych zapasów energii.

Tabitha w zamyśleniu przygryzała wargę.

– Wiesz, co to oznacza, prawda?

Bree wcale nie była pewna, czy ma ochotę dowiedzieć się, co jej siostra sądzi o całej tej sytuacji.

– Że jest niefajnie... oto, co oznacza.

Tabitha zbyła tę uwagę machnięciem ręki.

– To znaczy, że on wciąż coś do ciebie czuje. Zanim Bree zdołała zaprotestować, Tabitha mówiła dalej:

– Wykorzystuje tę sprawę, nad którą pracujecie, jako wymówkę, żeby się do ciebie zbliżyć. Chce się dowiedzieć, co się w tobie działo przez te wszystkie lata. Sama powiedziałaś, że mógł przecież wyznaczyć do tego śledztwa któregoś ze swoich zastępców.

„Przez te wszystkie lata"... Bree miała po dziurki w nosie rozmyślania o „tych wszystkich latach".

– To nie jest odcinek twojej ulubionej telenoweli – odezwała się. – To prawdziwe życie. Spędzamy razem czas, bo łączy nas sprawa, którą obydwójce chcemy rozwiązać. Moim zdaniem, jeżeli naprawdę tak go to interesuje, to tylko dlatego, że chce usłyszeć, jak beznadziejne było moje życie. Mężczyźni tacy już są – oblizwała łyżkę i wymierzyła nią w siostrę. – Chcą wierzyć, że bez nich twoje życie jest nic nie warte, nawet jeżeli aktualnie nie chcą być jego częścią. To jakaś obsesja zapisana w ich genach.

Tabitha uniosła brwi, chcąc zaprotestować.

– Okej – przyznała Bree. – Roy jest inny. On jest doskonały. Ale większość mężczyzn jest taka, jak powiedziałam. Weźmy Jacka... – Bree wyciągnęła szyję i zajrzała do salonu. – Celem jego życia było unieszczęśliwić mnie. A potem, kiedy miałam już dość, chciał, żebym czuła się jeszcze gorzej bez niego. Miał nawet czelność starać się, żebym do niego wróciła.

Jack był drugą wielką pomyłką jej życia. Ojciec Bree był przekonany, że jego córka będzie szczęśliwa, jeżeli jej mężem i ojczymem Petera zostanie mężczyzna z plemienia Ute. A jednak Bree miała pecha, bo wybrała jednego z „tych złych". Trzeba wszakże przyznać, że nawet jej rodzina dała się początkowo zwieść.

Jackson Raintree nie raz i nie dwa dowiódł, że zasłużył na swój przydomek: Big Jack the Bully – „Zbir". Był agresywnym, zapijaczonym draniem, który nie miał dla kobiet nawet odrobiny szacunku, a zresztą w ogóle nikogo nie szanował. Jedyne, co potrafił, to wyzyskiwać innych. Dlaczego, Boże, dlaczego nie potrafiła tego dostrzec, zanim nie było za późno? Może dlatego, że miała maleńkiego synka, który potrzebował autorytetu? Jack

udawał, że szanuje jej pracę. Sprawił, że uwierzyła, iż według niego dla Bree nie ma rzeczy niemożliwych. Lecz kłamał. A ona dała się nabrać na jego kłamstwa.

Prawdę mówiąc, chyba po prostu chciała zapomnieć o przeszłości. Miała nadzieję, że kiedy nauczy się dbać o dziecko, usunie tym samym Patricka Martineza ze swego serca raz na zawsze.

Nie udało się.

– Myślę, że nie masz racji – odezwała się Tabitha. Obejrzała swoje paznokcie, jakby sprawdzając, czy nie potrzebuje zrobić sobie manicure. – Ja... tak jakby... śledziłam poczynania Patricka przez te wszystkie lata.

Bree raptownie podniosła głowę znad talerza.

– Co? – Czy aby się nie przesłyszała? – Dlaczego niby miałabyś to robić?

Tabitha nie mogła dłużej unikać kontaktu wzrokowego z Bree, wymawiając się stanem swoich paznokci, spojrzała więc siostrze w oczy.

– Nie chciałam, żeby Peter stracił cały ten czas.

– Co to ma niby znaczyć? – Bree nie wiedziała, czy powinna się wściec, czy zmartwić.

– Weź zupę i chodź ze mną – poleciła Tabitha.

Bree zrobiła, co jej kazano, zaintrygowana albo może raczej zaniepokojona tym, co też takiego jej siostra mogła robić w związku z Patrickiem „przez te wszystkie lata”. Wzięła do ręki talerz z zupą i poszła za Tabithą na górę do sypialni.

– Siadaj – powiedziała Tabitha i wskazała na łóżko.

Bree usiadła i siorbnęła zupę prosto z talerza, bo zapomniała wziąć ze sobą łyżkę. Miała wrażenie, że naprawdę przyda jej się coś, co doda jej sił.

Tabitha poszperała chwilę w szafie na najwyższej półce i wyjęła stamtąd pudełko. Usiadła na łóżku obok Bree i otworzyła je. W środku znajdował się opasły, oprawiony w skórę album ze zdjęciami, albo może z wycinkami z gazet. Tętno Bree gwałtownie przyspieszyło. To... niewiarygodne.

– Zaczęłam, kiedy Peter miał roczek.

Tabitha zaczęła przerzucać kartki, a Bree oddychała z coraz większym trudem. W albumie znajdowały się wycięte artykuły z gazet, każdy z szeryfem w roli głównej. Materiały sięgały wstecz, aż do czasów, kiedy Patrick objął funkcję szeryfa. Powołano go na to stanowisko, żeby pomógł uporządkować sprawy w hrabstwie. Świetnie się spisał, a mieszkańcy Kenner wręcz go uwielbiali.

Pomiędzy wycinkami z gazet opatrzonymi odręcznymi notatkami, powtykane były tu i ówdzie wspólne zdjęcia Bree i Patricka. W sercu Bree kłębiły się uczucia, których nawet nie potrafiła nazwać.

– Przecież wyrzuciłam te zdjęcia – wyszeptała. – Tyle lat temu...

– Ja... – Tabitha przejechała językiem po wargach. – Ja wyciągnęłam je z kosza na śmieci i zachowałam.

– Mój Boże – Bree przerzucała kartki i nie przestawała kręcić głową.

– Bree, on nigdy się nie ożenił. Cały czas pracuje. To musi coś oznaczać.

Bree spojrzała siostrze w oczy i zobaczyła w nich nadzieję. Nie wiedziała, jak ma zareagować.

– Proszę, nie gniewaj się na mnie. Tak bardzo się bałam, że będziesz żałować, że przekreśliłaś przeszłość. Kiedyś przydadzą ci się te wspomnienia. Peter będzie ich potrzebował.

Bree, przytłoczona tym, co właśnie ujrzała, nie wiedziała, czy powinna wyściskać swoją siostrę z wdzięczności, czy też uderzyć ją ze złości. Spróbowała więc odwrócić swoją uwagę od wspomnień.

– Powiem szczerze, że sama nie wiem, co czuję. Ale rozumiem, dlaczego to zrobiłaś.

– Myślę, że tyle na razie wystarczy – powiedziała Tabitha, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Pamiętaj, że niezależnie od tego, co do niego czujesz, on jest ojcem twojego syna, a przecież kochasz własne dziecko. Przyjdzie taka chwila, kiedy nie będziesz mogła już udawać, że ojciec Petera nie istnieje.

Bree dopadło przeczucie, że ta chwila właśnie nadeszła.

Przywołała się do porządku, zabrała rzeczy synka i ruszyła do samochodu. Tabitha odprowadziła ją na ganek.

– Będę odbierać Petera ze szkoły, dopóki sama nie znajdziesz na to czasu – zaproponowała.

Co ty byś, biedna, bez niej zrobiła? – zapytała samą siebie, z pewną dozą współczucia.

– Dzięki! – Obdarowała siostrę długim mocnym uściskiem.

– O mój Boże! – Tabitha odsunęła się od niej raptownie i otworzyła szeroko oczy z przestraczem.

– Co się stało?

Tabitha wbiła wzrok w coś za plecami Bree, coś stojącego na ulicy.

– Mamusiu, co się stało z twoim samochodem?

Bree w ułamku sekundy obróciła się na pięcie. Jej mózg potrzebował kilku sekund, żeby poprawnie zinterpretować obraz przesłany przez oczy.

Czarne, nieporadnie skreślone litery, które ktoś namalował na srebrnej karoserii jej SUV-a, układały się w słowa, które sprawiły, że pod Bree ugięły się kolana.

O b s e r w u j ę c i ę

Patrick wytarł włosy ręcznikiem. Prysznic sprawił, że poczuł się o niebo lepiej. Ten dzień był sprawdzianem dla jego nerwów i pozostawił po sobie dojmujące uczucie niespełnienia.

Śmierć Julie Grainger wprowadziła go w ponury nastrój i żal rozrywał mu duszę. A przez to, że przy okazji pracy nad sprawą natknął się na Bree, cały dzień nie mógł pozbierać myśli.

Setki razy powtarzał sobie, że nie zależy mu już na niej, a potem zupełnie przypadkiem widywał ją gdzieś na mieście, albo późną nocą przejeżdżał obok jej domu – i wtedy prawda wychodziła na jaw: nigdy nie pogodził się z tym, że ją stracił. Może gdyby bardziej się postarał... gdyby dał szansę jakiejś innej kobiecie...

Kiedy dowiedział się, że Bree wychodzi za mąż, pomyślał, że to już koniec. Że może wreszcie zrobi kolejny krok i zamknie ten rozdział swojego życia.

Ale nawet wtedy wciąż za nią tęsknił. A dziś... kiedy patrzył na nią, wdychał jej wyjątkowy zapach i słuchał jej głosu... wiedział już na pewno, że nigdy nie przestanie jej kochać.

Głupi jesteś, ganił samego siebie. Przecież ona jest zamężna. Należy do innego mężczyzny. Nie masz prawa tego do niej czuć. Nie wolno ci dać jej do zrozumienia, co do niej czujesz.

Patrick miał przeczucie, że pewnego razu Bree przyłapie go na tym, jak się jej przypatruje. Tak czy inaczej, musiał bez ustanku przypominać sobie, że ona należy już do kogoś innego.

Ale z drugiej strony, nie nosiła obrączki. I wciąż używała swojego panińskiego nazwiska. Czy to oznaczało, że nie była już z tamtym mężczyzną?

Do diabła, nad czym tu się zastanawiać?

Patrick cisnął ręcznik w kąt i nałożył podkoszulek. Musi coś zjeść i porządnie się wyspać. Zanim spotka się z Bree na lunchu i omówi z nią tropy, na które być może któreś z nich wpadło, musiał jeszcze pojechać do biura, bo miał mnóstwo papierkowej roboty z samego rana.

Na spotkanie wybrał „Morning Ray Cafe”, restaurację prowadzoną przez jego matkę. Wydawało się, że to rozsądny wybór: neutralne terytorium, na którym będą mogli spędzić nieco czasu. Miejsce miało tę zaletę, że na wszelki wypadek jego matka będzie czuwać, w razie gdyby Patrick stracił głowę.

Nagle zadzwoniła jego komórka. Patrick chwycił ją szybkim ruchem i odebrał. Telefon o tej porze nie mógł oznaczać niczego dobrego.

– Martinez, słucham.

– Szeryfie, mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt późno.

To był Clayton Mitchell, asystent Patricka. Nawiasem mówiąc, Clayton nie lubił, kiedy nazywano go sekretarzem i zdecydowanie wolał określenie: asystent lub asystent osobisty. W gruncie rzeczy Patricka mało obchodziło, jak należy nazywać funkcję, którą pełnił Clayton, dla niego liczyło się tylko to, że Mitchell – choć mężczyzna – był najlepszym sekretarzem, jaki kiedykolwiek trafił się Martinezowi.

– Nigdy nie jest za późno na telefon, jeżeli masz do powiedzenia coś naprawdę ważnego – przypomniał Patrick. – Co jest grane?

Gdy jego asystent okreśną drogą zmierzał do tematu, Patrick przeszedł na bosaka do kuchni i obejrzał, co też dobrego ma mu do zaoferowania lodówka.

– Kiedy zacząłem dla ciebie pracować... – zaczął Clayton.

O, do diabła. Poczł przyplłw obawy o stratę asystenta, bo był pewien, że bez jego pomocy wszystko się zawali. W ciągu pięciu lat, od momentu, gdy Clayton zawitał w szeregach współpracowników szeryfa, życie zawodowe Patricka przeistoczyło się ze stresującego i chaotycznego w zorganizowane i stosunkowo spokojne, oczywiście jak na przedstawiciela prawa.

– Clayton, jeżeli chcesz mnie prosić o podwyżkę, to dobrze wiesz, że to nie ja o tym decy...

– Szeryfie – przerwał mu Clayton poirytowanym głosem. – Nie chodzi mi o podwyżkę.

– Aha. – Patrick zmarszczył brwi. – No cóż, więc mów dalej, cokolwiek chciałeś powiedzieć.

Wyciągnął z lodówki piwo i jakieś resztki lasagne, którą matka dała mu, żeby podgrzał sobie na kolację.

– Ale skoro już o tym wspomniałeś... – odparował Clayton. – To w zasadzie przydałaby mi się podwyżka.

Patrick potrząsnął głową.

– Mów, o co chodzi. Rzeczywiście robi się dość późno.

Westchnienie, które rozległo się w słuchawce, było zdecydowanie przesadzone.

– No tak. Kiedy przyjąłeś mnie do pracy, powiedziałaś, że są dwie sprawy, o których nie powinienem wspominać: twoje życie towarzyskie, które de facto nie istnieje, oraz Sabrina Hunter.

Cholera. Czy wszyscy w biurze już wiedzą, że Patrick pracuje z Bree?

– Tak jest – potwierdził szeryf. – Mam nadzieję, że nie zamierzasz teraz, po tych wszystkich latach, złamać raz danego słowa. Wiesz, że niedługo czeka cię rozmowa oceniająca, prawda?

Rozległo się kolejne dramatycznie przesadzone westchnienie.

– W normalnych okolicznościach nie śmiałybym sprzeciwiać się twojemu życzeniu, ale właśnie dowiedziałem się od znajomego czegoś, o czym, jak sędzę, powinieneś wiedzieć, skoro będziesz pracował razem z panią detektyw Hunter nad rozwikłaniem zagadki zabójstwa agentki Grainger.

Od znajomego? Zmarszczone brwi Patricka przeobraziły się w marsowe oblicze, a na czole pojawiły się zmarszczki świadczące o irytacji.

– O czym ty mówisz, do jasnej ciasnej?

– Jesse Philips, który pracuje na centrali na posterunku w Towaoc, właśnie przed chwilą do mnie zadzwonił i powiedział, że dosłownie przed kilkoma minutami odebrał telefon z prośbą o udzielenie pomocy. Dzwoniła detektyw Sabrina Hunter.

Patrick poczuł, że adrenalina rozsadza mu żyły.

– Jaki adres?

Clayton podał mu nazwę ulicy i numer domu. Patrick chwilę się zastanowił. Tak, to dom Tabithy, siostry Bree.

– O jakiego rodzaju pomoc chodziło? – zapytał.

– Tego nie wiem – odparł Clayton. – Ale pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. Detektyw Hunter wyraźnie poprosiła, żeby dyżurka nie przekazywała dalej tego zgłoszenia.

Czyli Bree nie chciała, żeby ktokolwiek dowiedział się, co się stało w domu jej siostry. Do cholery.

– Dzięki, Clayton, sprawdzę to.

Patrick rozłączył się i założył buty. Złapał kurtkę i klucze, po czym ruszył w kierunku drzwi.

Serce nie przestawało mu walić jak oszalałe, nawet kiedy wziął kilka głębokich, uspokajających oddechów. Bree wiedziała, jak o siebie zadbać. Ale coś mogło się stać jej siostrze. Coś mogło się wydarzyć w jej domu.

Cokolwiek by to nie było, postanowił upewnić się, że wszyscy są cali i zdrowi.

Pół godziny później Patrick skręcał już w ulicę, przy której mieszkała Tabitha. Był to cichy zakątek Towaoc zakończony ulicą, wzdłuż której ciągnęły się zgrabne szeregi domków o nieco lepszym standardzie niż większość budynków w mieście. Tabicie i Royowi całkiem nieźle się powodziło.

Przed domem zaparkowany był SUV należący do Bree oraz dwa inne pojazdy. Patrick zauważył, że Bree rozmawia z dwoma mężczyznami, z których jeden miał na sobie policyjny mundur jednostki z Towaoc. Kiedy Patrick zaparkował po drugiej stronie ulicy przy krawężniku, zobaczył, że cywilem był Steve Cyrus, którego spotkał już rano przy okazji oględzin miejsca, w którym znaleziono Julie Grainger. Nie poznał jednak umundurowanego funkcjonariusza.

Na widok Bree, której najwyraźniej nic się nie stało, Patrick poczuł przyływ ulgi. Wszedł ze swojego wozu i przeszedł przez pustą o tej porze uliczkę.

Ich spojrzenia spotkały się, lecz wtedy Bree nagle odwróciła głowę. Przyłożyła telefon do ucha, więc Patrick pomyślał, że właśnie ktoś do niej zadzwonił.

– Cyrus – odezwał się. – Co się dzieje?

Cyrus, zanim odpowiedział, spojrzał na Bree.

Była zajęta rozmową przez telefon, więc wykonał tylko gest w kierunku jej samochodu.

– Ktoś zniszczył auto detektyw Hunter. Już sprawdziliśmy, czy są na nim jakieś odciski palców, ale sam pan wie, jak to jest... mamy dosłownie dziesiątki różnych odcisków, więc szanse na namierzenie sprawcy są znikome.

Patrick podszedł do SUV-a i obejrzał bok samochodu zwrócony w stronę budynku. Przeczytał napisane na nim słowa i poczuł, że brakuje mu tlenu.

O b s e r w u j ę c i ę

– Czy kiedykolwiek wcześniej coś takiego zdarzyło się już detektyw Hunter?

– O ile mi wiadomo... – Cyrus znów spojrzał w stronę Bree, która tymczasem skończyła rozmawiać przez telefon –... to nie.

Kiedy dołączyła do nich Bree, Cyrus powiedział:

– Zrobiliśmy wszystko, co tylko się dało. Jutro z samego rana dostarczymy te próbki do laboratorium i poprosimy, żeby porównali je ze swoją bazą danych.

– Dzięki, Cyrus. – Bree przeniosła wzrok z Cyrusa na szeryfa. – A ty co tu robisz?

Cyrus wskazał kciukiem swój samochód i odezwał się:

– To... porozmawiamy jutro.

Bree patrzyła, jak Cyrus i funkcjonariusz Day wsiadają do auta i odjeżdżają. Patrick zaczekał, aż cała jej uwaga skupi się na nim.

– O co chodzi z tym wszystkim? – Pokazał na jej samochód.

Bree wodziła wzrokiem po wszystkich przedmiotach dokoła, byle tylko nie spojrzeć mu w oczy.

– To pewnie dzieciaki. Wiesz, jak to bywa. Nie mają co robić, nudzą się i robią takie rzeczy. Mamusie i tatusiowe pracują do późna i...

– Bzdury — przerwał jej Patrick. – Nie chcesz spojrzeć mi w oczy, a przecież obydwójce dobrze wiemy, że tego typu pogrożki to żaden gówniarski kawał. To coś osobistego, Bree. Co tu się, do diabła, dzieje?

Spojrzała na niego niechętnie.

– Patrick, jestem policjantką. Sam wiesz, co to oznacza. W tej pracy naprawdę nietrudno o wrogów. Niektórzy chcą po prostu wyrównać z nami rachunki – machnęła ręką w kierunku SUV-a. – No i tak wyrównują te rachunki.

– Czy ostatnio przydarzyło ci się coś podobnego?

Znów się zawahała.

– Słuchaj, to nie twoja sprawa. Nie wiem, jak się o tym dowiedziałeś, ale możesz już wracać do domu. Sytuacja jest opanowana.

Racja, nie dało się zaprzeczyć. To nie była jego sprawa. Ale nie oznaczało to, że nie mógł być wściekły. Jeżeli cokolwiek się tutaj działo, chciał wiedzieć, czy zrobiono w tej sprawie coś więcej poza zebraniem kilku odcisków palców.

– Bree, pracujemy wspólnie nad sprawą morderstwa. Nasze śledztwo ma wysoki priorytet – przypomniał jej. – Jeżeli w twoim życiu osobistym dzieje się coś, co może wpłynąć na twoją wydajność w pracy albo mieć wpływ na moje bezpieczeństwo w twojej obecności, to mam prawo o tym wiedzieć.

Owszem, świadomie przesadzał, ale nie miało to teraz znaczenia, ponieważ ponad wszystko pragnął wydobyć z niej prawdę.

– Nie wierzę... – Położyła dłonie na biodrach i szeroko otworzyła usta ze zdziwienia. – Naprawdę próbujesz mnie zmusić, żebym wtajemniczyła cię w moje sprawy osobiste? Lepiej uważaj, Patrick. Na to istnieją paragrafy.

Nie zastanawiał się długo.

– Dokładnie to właśnie robię. – Zmałpował jej postawę, łącznie z dłońmi opartymi o biodra. – Koniec gierki, Bree. Powiedz mi, co tu jest naprawdę grane.

Ależ miała piękne ciemne oczy. Kiedy tak stali w świetle latarni, nie mógł tego nie zauważyć. Zresztą, tego dnia zobaczył już i tak zbyt wiele. Ale najwyraźniej w jej obecności zwyczajnie nie potrafił zachowywać się inaczej – mógł tylko notować w głowie wszystkie te szczegóły, za którymi tak bardzo tęsknił przez te wszystkie długie lata.

Spojrzała mu w oczy. Wyczytał z nich, że toczy w sobie wewnętrzną walkę. Nie chciała mu powiedzieć. Jaka to by nie była tajemnica, po prostu nie chciała jej wyznać i już.

Chwycił ją za ramiona i delikatnie nią potrząsnął.

– Prawda. Chcę usłyszeć prawdę.

W tym momencie uświadomił sobie, że odpowiedź, na którą czekał, nie miała nic wspólnego ze zniszczonym autem, ale za to miała wszystko, co tylko

może być wspólnego, z ich przeszłością. Dlaczego odeszła, nie dając mu drugiej szansy? A co gorsza, dlaczego on jej na to pozwolił?

– Odebrałam kilka dziwnych telefonów – ustąpiła wreszcie. – Za każdym razem łączono się z miejsca publicznego.

Oblizwała usta. Patricka zabolowało gardło. Miał suchą krtań.

– Ostatnio miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi, ale nikogo nie zauważyłam. – Uwolniła się z jego uścisku. – To pewnie nic takiego... – Z jej oczu zniknęło poczucie bezbronności. – Poza tym jestem już dużą dziewczynką, szeryfie. Nie musi się pan mną opiekować.

I tu leżał pies pogrzebany. Ich związek skończył się dlatego, że Patrick był nadopiekuńczy, zbyt mocno pragnął wpływać na jej decyzje.

Tym razem było inaczej.

Nie obchodziło go, co do niego mówiła. Rozpoznawał sygnały. Najprawdopodobniej miała na karku prześladowcę. Mogło chodzić o jakiegoś adoratora albo – jak wspomniała wcześniej – szukającego zemsty kryminalistę. Tak czy siak, nie oznaczało to niczego dobrego.

– Bree, masz dwie możliwości... – Znowu odezwała się w nim złość. – Albo pozwolisz, żebyśmy razem rozpracowali tę sprawę, albo doniosę o wszystkim twojemu szefowi. Wybieraj.

To była nieczysta zagrywka, Patrick doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale nie zamierzał pozwolić jej machnąć ręką na oczywiste sygnały. Zbyt często zdarzało się, że prześladowcy, niezależnie od tego, czy chodziło o adoratorów, czy wrogów, ranili fizycznie ofiary swojej obsesji albo nawet je zabijali... Zbyt często to się zdarzało, żeby podejmować ryzyko.

– Do diabła, Patrick! – przerwała na chwilę, najwyraźniej próbując opanować nerwy. Na próżno.

– Nic się nie zmieniłeś. – Dźgnęła go palcem. – Nie chcę, żebyś się o mnie troszczył, słyszysz? Sama potrafię o siebie zadbać. Nie jesteś już częścią mojego życia. – Zamrugła, przełknęła ślinę i dodała:

– A więc zostaw mnie w spokoju!

Powinien był jej posłuchać. Jej słowa powinny były wyprowadzić go z równowagi. A tymczasem on wpatrywał się w jej głębokie ciemnobrązowe oczy i zastanawiał się, jakim sposobem udało mu się przetrwać tyle czasu bez jej dotyku... bez jej smaku...

Nieśmiały wewnętrzny głos, słabszy z każdą sekundą, przypominał mu, że – o ile dysponował wiarygodnymi informacjami – Bree była mężatką. Nie przeszkodziło mu to stracić na kilka chwil głowy i spełnić pewnego marzenia, które dręczyło go już od ośmiu długich lat każdej nocy.

Gdyby go zapytano, dlaczego to zrobił, nie potrafiłby wytłumaczyć swojego zachowania. Nie umiałby powiedzieć, co mu strzeliło do głowy.

Objął jej twarz dłońmi i zanim Bree zdążyła rozszyfrować jego zamiary, Patrick pocałował ją prosto w usta.

W środku poczuł, że się rozpływa, ale na zewnątrz... stwardniał niczym skała. Bree smakowała słodko jak czekolada i kusząco, jak namiętna kobieta. Miał ochotę przyciągnąć ją do siebie i otoczyć jej miękkie ciało pancierzem ze swoich napiętych, stalowych mięśni.

Uderzyła go w klatkę piersiową i gwałtownie odskoczyła.

– Jak śmiesz – syknęła.

Patrickiem wstrząsnął dreszcz emocji. Mrugnął raz i drugi. Co, u licha, najlepszego wyprawiał? Opuścił ręce. Cofnął się o krok.

– Ja... – Do diabła, jakie niby miałby znaleźć usprawiedliwienie? – Ja... przepraszam. Myślę, że trochę mnie poniosło i straciłem głowę.

Jasne jak słońce, że stracił! Posunął się zdecydowanie za daleko. Bree drżała i przeklinała samą siebie.

– Idź już... – Wzięła głęboki oddech.

Założyła ręce na piersi, próbując wziąć się w garść.

– Zobaczymy się jutro na lunchu u Nory. – Wzruszyła ramionami, wciąż w widoczny sposób starając się zapanować nad sobą. – Przejrzymy to, czym dysponujemy w sprawie morderstwa i...

– Dobrze... – Miał szczęście, jeżeli zamierzała puścić mu to płazem.

Bez wątpienia przekroczył pewną granicę.

– Tak... – Cofnęła się o krok. – Więc... dobranoc.

Odwrócił się, przeczytał jeszcze raz słowa namazane na jej samochodzie i zmienił zdanie.

Ponownie stanął z nią twarzą w twarz, napotkał jej wyczekujące spojrzenie i powiedział:

– Czy mogę pojechać za tobą do domu? Na wszelki wypadek, żebyś była bezpieczna.

Dotarło do niego, co zrobił: pocałował ją i może to zabrzmieć cokolwiek idiotycznie, ale naraził się tym samym na konsekwencje prawne. Zachował się jak zwykły dureń. Nieważne, czy chodziło o pocałunek, czy o jego nadopiekuńcze zapędy – Bree stała tam po prostu i wpatrywała się w niego.

– Słuchaj... – Bardzo się starał, żeby jego głos brzmiał pokornie. – Nie powinienem był cię całować. To nie powinno było się zdarzyć i nie zdarzy się nigdy więcej. Ale mamy tu do czynienia z poważnym zagrożeniem. – Pokazał w kierunku zniszczonego auta. – Nie proszę cię przecież, żebyś mnie zaprosiła do siebie.

Bree nadal nie odzywała się słowem, tylko wpatrywała się w niego. A co tam, do diabła.

– Rozumiem, że się zgadzasz. – Ruszył w kierunku swojego SUV-a i za chwilę krzyknął przez ramię: – Zaczekam tutaj. Kiedy będziesz gotowa do drogi, będę tuż za tobą.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bree wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze.

Co też najlepszego wyczyniała?

Wstała dziś rano, zawiozła syna do szkoły i przyszła do pracy, jakby nigdy nic.

Między ósmą trzydzieści a dwunastą pilnie wykonywała swoje obowiązki: porozmawiała z szóstką godnych zaufania informatorów, obdzwoniła wszystkie osoby na liście dostarczonej przez Rudy'ego i... nic. Jeżeli ktokolwiek coś wiedział, bał się mówić i wołał siedzieć cicho.

Typowe. I absolutnie irytujące.

A teraz, o wpół do pierwszej, stała przed lustrem w łazience i kontemlowała swój wygląd.

– Nie jest dobrze.

Wystarczył jeden dzień, by wszystko się zmieniło i przewróciło całe jej życie do góry nogami. Wczoraj wieczorem wydarzyło się coś, od czego nie było już odwrotu.

Nieważne, jak usilnie starała się okłamywać samą siebie; nieważne, co naopowiadała siostrze. Bree z przekonaniem stwierdziła, że nie może już zaprzeczać oczywistym faktom.

Nadal coś czuła do Patricka.

Popelniła fatalny błąd, trzymając go z daleka od syna. Co prawda przed laty nie ułożyło się między nimi, lecz jednak Patrick mógł być dobrym ojcem.

Problem polegał – i nadal polega – na tym, że on zawsze chciał rządzić. Nie było mowy o kompromisie. Patrick stosował w domu te same metody, co w pracy, a Bree nie mogła się na to zgodzić.

To nie było fair. To nie tak, że on jej nie szanował. Po prostu nie chciał, żeby robiła cokolwiek, co on uważał za zbyt niebezpieczne dla kobiety... dla "jego" kobiety.

Nie znaczyło to wszakże, iż nie byłby doskonałym ojcem.

Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić.

Pracowała w policji już od dziewięciu lat. Rozwiązywała najbardziej skomplikowane zagadki i miała do czynienia z groźnymi przestępcami – nie pomijając najgorszych z najgorszych: gwałcicieli i zabójców – a mimo to teraz nie miała pomysłu, jak zabrać się za to wszystko.

Za swoje życie.

Za życie swojego synka.

Jak w ogóle mogła zakładać, że Peter nigdy nie pozna swojego ojca, skoro obydwaj mieszkali w tym samym hrabstwie? Kiedy Patrick przeprowadził się z Monticello w stanie Utah do hrabstwa Kenner, powinna była zdać sobie sprawę z błędu i naprawić go wtedy, zanim sprawy zaszły za daleko. Założyła wówczas, że jeżeli Patrick kiedykolwiek dowie się, że Bree ma dziecko, przyjmie, że jego ojcem jest Jack.

Bree powinna była wiedzieć, że przecież niemowlaki prędzej czy później wyrastają na chłopców i dziewczynki – i zaczynają zadawać pytania. A potem stają się nastolatkami, które buntują się i długo chowają urazę, nieważne – rzeczywistą czy wyimaginowaną.

Wzięła głęboki oddech i sprawdziła na telefonie, która godzina. Jest już tak późno?

Raz jeszcze odetchnęła głęboko i wyszła z łazienki. Gdyby posiedziała w niej dłużej, mocno spóźniłaby się na spotkanie, a Nora by to zauważyła. Nie zamierzała przecież urazić Nory.

Opadła ciężko na fotel, sprawdziła jeszcze wiadomości, a potem postanowiła pojechać wreszcie na lunch. Zabrakło jej wykrętów.

Kiedy szła przez posterunek, miała nadzieję, że szef albo któryś z jej kolegów ją zawoła – praca zawsze miała pierwszeństwo i w takiej sytuacji spotkanie przy lunchu musiałoby poczekać. Patrick mógł przecież zdać jej raport przez telefon. Była prawie pewna, że z jego strony nie pojawiło się nic nowego w sprawie śmierci agentki Grainger – u niej było podobnie.

Zanim wsiadła do pożyczonego SUV-a, ponownie sprawdziła komórkę.

Wyglądało na to, że dzisiaj nic jej nie uratuje.

W drodze do „Morning Ray Cafe” rozmyślała o wydarzeniach z poprzedniego wieczoru. Kiedy w domu jej siostry niespodziewanie pojawił się Patrick, żądając wyjaśnień, Bree musiała potajemnie zadzwonić do Tabithy i poprosić ją, żeby nie wypuszczała Petera na zewnątrz. Zresztą i tak nie pozwoliłaby mu wyjść, zważywszy na całą tę sytuację z samochodem. Po prostu nie chciała ryzykować. A potem Patrick nalegał, że powinien pojechać za nią do domu, przez co Bree musiała poprosić siostrę, by ta odwiozła Petera, jak tylko Patrick odjedzie spod jej domu.

Miała u siostry ogromny dług.

Jadąc do Kenner City zastanawiała się, jak teraz – po wczorajszym pocałunku – spojrzy Patrickowi w oczy. Czy to możliwe, żeby Tabitha cały czas miała rację?

Ten pocałunek z całą pewnością... coś znaczył. Stopił ją niczym palące słońce pustyni, które sprawia, że tabliczka czekolady rozplywa się w mgnieniu oka. Poczowała dreszcze na samo wspomnienie chwili, gdy jego usta zbliżyły się do jej ust.

Bree nie wiedziała, że Patrick nigdy się nie ożenił. Wydawało jej się to niemożliwe. Taki facet? Taki dobry, pracowity mężczyzna?

Mężczyzna, z którym swego czasu zażarcie kłóciła się o swoją pracę. Kiedy po raz pierwszy się spotkali, była żółtodziobem, świeżo po szkole. Przydzielono ją do służby w rezerwacie Ute, zaś Patricka wysłano do jednostki specjalnej w Monticello. Prowadzili razem sprawę paskudnej zbrodni nienawiści w stanie Utah. Skończyło się na tym, że zakochali się w sobie po uszy i zamieszkali razem na pół roku. Ale Patrick zawsze miał kategoryczne poglądy na temat kobiet pracujących w służbach ochrony porządku publicznego, a zwłaszcza na temat tej jednej kobiety, którą kochał i której nie chciał pozwolić, żeby zajmowała się niebezpiecznymi śledztwami.

Bree dusiła się w tym związku. Pragnęła dążyć do sukcesu aż do krańca swoich możliwości. Chciała zajmować się trudnymi przypadkami, chciała stawiać czoła niebezpieczeństwom. Nie potrzebowała ciągłej troski ze strony Patricka. Tak więc odeszła od niego. Dwa miesiące później zorientowała się, że jest w ciąży. Nigdy nie miała regularnej miesiączki, więc to, że ominęła ją jedna, nie było jeszcze powodem do paniki. Ale kiedy drugi miesiąc z rzędu nie dostała okresu, zapaliło się w jej głowie światło ostrzegawcze. Nie miało znaczenia, że zawsze uprawiali bezpieczny seks – i tak była w ciąży. A Patrick nie spotykał się z nią, ani nawet nie dzwonił, już od ponad miesiąca.

Była młoda i ambitna. Po tym, jak urodziła syna i odebrała od losu surową lekcję na temat niewłaściwego wyboru męża, dotarło do niej, że ryzykując własnym życiem, stawia na szali również życie Petera. Postanowiła więc zostać detektywem. Praca w wydziale zabójstw była mimo wszystko bezpieczniejsza niż służba w oddziałach prewencji, co zwykle oznaczało patrolowanie ulic, alejek i ciemnych zakamarków.

Potem, nieoczekiwanie, sześć lat temu Patrick wrócił do domu do Kolorado i został szeryfem hrabstwa Kenner, a Bree każdego dnia każdego roku stresowała się tylko tym, żeby nie odkrył jej sekretu.

Dziś rano zadzwonił, żeby upewnić się, że wszystko gra i wyraźnie poprosił o poważną rozmowę przy lunchu. Boże, niby jak jej się uda z tego wszystkiego wyplątać?

Gdy skręciła w Main Street, momentalnie opuściły ją zmartwienia. Wprost uwielbiała tę ulicę. Kenner City było wspaniałym miasteczkiem w starym stylu, nie zdeptanym przez tłumy, jak Park City. Odnowione fasady sklepów przywodziły jej na myśl stare westerny, które jako dziecko oglądała pasjami. Przyglądając się czystym, zadbanym chodnikom, ponad którymi majestatycznie wznosiły się górskie szczyty, doszła do wniosku, że nie ma na świecie drugiego takiego miejsca, w którym tak bardzo pragnęłaby żyć.

„Morning Ray Cafe” przycupnęło na rogu Main Street i Bridge Street – atrakcyjna, perfekcyjna pod względem turystycznym lokalizacja. Niemniej jednak klientami Nory byli przede wszystkim mieszkańcy miasteczka. Jej domowe wypieki i własnoręcznie przyrządzane posiłki były doskonale znane w tych okolicach. Nie mówiąc już o jej żywotnym usposobieniu, dzięki któremu wszyscy wręcz uwielbiali Norę.

W środku panowała przytulna, ciepła atmosfera i restauracja jak zwykle była szczelnie wypełniona gośćmi. Przychodzili tu zarówno zakurzeni kowboje, jak i eleganccy biznesmeni z dzielnicy finansowej. Nora potrafiła ugościć każdego. Gwarowi rozmów towarzyszył brzęk sztućców i zastawy kuchennej.

Zapach dochodzący z kuchni sprawił, że Bree zaburczało w brzuchu. Nie zdawała sobie sprawy, jak mocno tęskniła za tym miejscem. Wdychając

kuszące aromaty, zlustrowała wzrokiem stoliki. Patrick siedział w jednym z dwóch boksów w restauracji, tym usytuowanym dalej od głównego wejścia, za to bliżej kuchni. Większość klientów unikała tego boksu, ale nie Patrick, ponieważ dzięki tej lokalizacji boksu jego matka mogła od czasu do czasu dosiąć się do niego i poświęcić mu kilka chwil nawet w samym środku gorączki obiadowej.

Patrick pomachał do niej.

Serce Bree zabiło mocniej. Do licha, tylko spokojnie, upomniała się w duchu. Ruszyła w jego kierunku, przeciskając się pomiędzy zatłoczonymi stolikami.

Patrick wstał – zawsze był dżentelmenem – podczas gdy jego nieodłączny kapelusz kowbojski leżał grzecznie na sofie.

Strasznie jej tego brakowało. Uwielbiała zdejmować mu z głowy kapelusz i przeczesywać palcami jego ciemną, gęstą czuprynę.

Skup się, Bree. Nie myśl o tym.

– Hej. – To pierwsze słowo, które przyszło jej do głowy.

Praca. Będziemy rozmawiać o sprawach zawodowych... a nie o błękitnej, bawełnianej koszuli, w której tonęły jego szerokie ramiona, ani o lekko znoszonych dżinsach, które opinały jego smukłe biodra i długie nogi...

– Hej – odparł i wskazał na boks. – Pozwoliłem sobie zamówić coś dla ciebie.

Bree usadowiła się po swojej stronie boksu, starając się nie okazać zaskoczenia jego gestem. Zwykle tak właśnie robił. Ale to wszystko działo się... zbyt szybko. I za bardzo przypominało dawne czasy.

– Okej – powiedziała z wahaniem.

– Zamówiłem klopsiki mojej mamy. – Patrick posłał jej jeden z tych swoich uśmiechów, który sprawił, że serce znów zabiło jej mocniej. Peter uśmiechał się w identyczny sposób.

Patrick dobrze wiedział, że Bree uwielbiała klopsiki Nory.

– Pyszności... – Nie mogła się nie uśmiechnąć.

Brakowało jej Nory i jej doskonałej kuchni, ale przychodzenie tutaj wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem i było zbyt bolesne.

Patrick wślizgnął się do boksu i od razu przeszedł do sedna sprawy.

– Mam nadzieję, że tobie bardziej poszczęściło się ze znajdowaniem jakichś śladów.

Najpierw dało się słyszeć pełen życia głos Nory, a dopiero potem skrzydła drzwi prowadzących do kuchni otworzyły się z hukiem i pojawiła się w nich właścicielka knajpy. Postawiła na stole dwie szklanki z wodą.

– Bree, kochanie, bardzo miło cię widzieć. Bree wstała i z radością uściskała Norę Martinez.

Starsza, piersiasta kobieta była co prawda dość niska – mierzyła zaledwie metr sześćdziesiąt – ale natura zrekompensowała jej ten niedostatek pogodną osobowością i tubalnym głosem.

Kiedy Bree usadowiła się na powrót w boksie, Nora pochyliła się i pocałowała syna w czoło.

– Nigdy nie są na to za starzy ani za duzi – powiedziała i puściła oko do Bree. – Kiedyś sama się o tym przekonasz.

Bree zeszywniała.

– No, to jak się miewasz, złotko? – Nora oparła się o ściankę boksu.

– Dobrze – odpowiedziała Bree zgodnie z prawdą. – Zostałam detektywem. Uwielbiam moją pracę.

Pomyślała o morderstwie, nad którym właśnie pracowała i dodała pośpiesznie:

– Cóż, prawie zawsze ją uwielbiam.

– No, to bardzo dobrze – odparła Nora, odklejając się od boksu. – Muszę już lecieć. Smacznego, moi kochani.

Aż do tej chwili Bree nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej Nory. Ta kobieta miała dar sprawiania, że dosłownie wszystko wydawało się w najlepszym porządku, że nie istniały żadne kłopoty. Była jedyna w swoim rodzaju.

Wtedy Bree zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze. Otóż świadomie pozbawiła Petera kochającej babci – osoby, która mogłaby bez przeszkód rozpieszczać swojego jedyne wnuka. Nora Martinez byłaby bezbrzeżnie zawiedziona, gdyby dowiedziała się, że Bree ukrywała przed nią Petera.

Serce podeszło jej do gardła.

Popelniła tragiczną pomyłkę.

Stop. Koniec z obsesyjnym rozpamiętywaniem przeszłości. Co będzie, to będzie. A kiedy wreszcie przyjdzie czas, wtedy stawi czoło konsekwencjom.

Ale teraz musi się skupić.

– U ciebie też cisza? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, kierując rozmowę na zawodowe tory.

Patrick powoli pokręcił głową z ponurą miną.

– Rozmawiałem z Ortizem przed kilkoma godzinami. Nadal nic nowego. W Agencji mają nadzieję, że na jutrzejszej odprawie do dyspozycji będą wstępne wyniki autopsji.

– Mam nadzieję, że dowiemy się czegoś z sekcji zwłok. – Bree nie przestawała myśleć o śladach na szyi ofiary... niezwykłych, a jednak w zaskakujący sposób znajomych. Gdzieś już je widziała.

– No więc... – zaczął Patrick, zwracając na siebie jej uwagę. – Jak tam życie małżeńskie?

Zaskoczenie rozlało się po jej ciele niczym gorąca fala. Tuż za nim przyszło zdenerwowanie. Czy po to właśnie chciał się z nią spotkać?

– Ja... nie wiem. Nie mam męża. Zmarszczył brwi w dokładnie taki sam sposób jak

Peter. Chłopiec nigdy nie spotkał swojego ojca, a tak bardzo go przypominał.

– Słyszałem, że wyszłaś za mąż – odparł Patrick, ciągnąc temat.

– Owszem. – Bree ostrożnie dobierała słowa. – Ale nie ułożyło się między nami, więc rozwiedliśmy się.

– Kiedy to się stało?

– Mniej więcej rok temu. – A mówiąc precyzyjnie, wcześniej była z Jackiem przez pół roku w separacji, ale nie zamierzała teraz wtajemniczać go w te wszystkie nieprzyjemne szczegóły.

W jego oczach pojawiło się zaskoczenie. Tak bardzo się mylił.

Wzruszył ramionami.

– Chyba nie jestem na bieżąco.

O tak! Bardziej niż przypuszczasz, pomyślała.

– Wiadomo coś w sprawie tych odcisków palców z twojego SUV-a?

Oto kolejny temat, który uparcie od siebie odsuwała.

– Znaleźli tylko moje odciski, mojej siostry i... –już prawie powiedziała: „Mojego syna”. –I mojej siostrzenicy.

Uff, było blisko.

– Chcesz porozmawiać o swoim anonimowym wielbicielu?

Jeżeli teraz mu nie powie, on będzie naciskał do skutku. Aż do zeszłej nocy to była wyłącznie jej sprawa, o której z nikim nie rozmawiała. Kiedy jest się kobietą pracującą w świecie służb ochrony porządku publicznego – niezmiennie zdominowanym przez męską część populacji – najmniejsza oznaka słabości bywa traktowana inaczej, niż gdyby przydarzyła się mężczyźnie. Jeżeli Bree nie dysponowała żadnym solidnym dowodem na poparcie przypuszczeń, że ktoś faktycznie ją śledzi, po prostu musiała sobie odpuścić. Teraz nie wchodziło to w rachubę, ponieważ zagrożenie okazało się nad wyraz realne. Ktoś naprawdę śledził Bree, więc nie pozostawało jej nic innego, jak tylko przygotować oficjalny raport.

Bawiła się szklanką z wodą po to, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego z Patrickiem.

– Jakies dwa tygodnie temu zaczęłam mieć wrażenie, że ktoś mnie obserwuje – wzruszyła ramionami. – Od czasu do czasu wydawało mi się, że widzę kogoś kątem oka albo że jedzie za mną jakiś samochód. Wiesz, tego typu rzeczy.

Nie było to nic konkretnego, a raczej przeczucie, instynkt.

– A telefony? – zapytał Patrick. Ach, tak. Przecież mówiła mu o tym.

– Kilka razy ktoś zadzwonił i od razu się rozłączył. Za każdym razem było to połączenie z automatu. Nie posługiwał się żadnym schematem, jeśli chodzi o częstotliwość, ale zawsze był to telefon z Kenner City.

Patrick przetrwał to, co usłyszał.

– Czy sporządziłaś listę osób, które mogłyby chować do ciebie jakąś urazę? A może nadepnęłaś komuś na odcisk?

Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili pomyślała o Jacku. Ale jej były mąż już od pięciu albo sześciu miesięcy dawał jej święty spokój. Nie widziała powodu, dla którego nagle miałby znów zacząć sprawiać kłopoty. Mieli to już za sobą. Poza tym Bree widywała go z innymi kobietami, więc najwyraźniej przebolewał już ich rozstanie.

– A twój były? – zapytał Patrick, jakby czytając jej w myślach.

Bree potrząsnęła głową.

– Myślę, że mogę go skreślić z listy. – Mówiąc szczerze, dawno już to zrobiła, choć do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak grubą kreską wykreśliła ze swego życia jego imię.

Nora wyszła z kuchni lekkim krokiem i powiedziała radośnie:

– Proszę bardzo, robaczki. – Postawiła talerz najpierw przed Bree, a potem przed Patrickiem.

Dzięki zaróżowionym policzkom, pogodnemu usposobieniu i tlenionej blond fryzurze wyglądała bardzo młodo, jak na swoje blisko sześćdziesiąt lat.

Potrawa prezentowała się na talerzu wprost niesamowicie. Kto by pomyślał, że sposób ułożenia kawałka mięsa i paru warzyw może mieć aż takie znaczenie. Bree zawsze była pod wrażeniem, z jaką łatwością udawało się Norze wziąć coś tak zwyczajnego jak klopsik i zrobić z niego coś pięknego – danie, które nie tylko doskonale wyglądało, ale i pachniało oraz smakowało wybornie.

Bree nadziała klopsik na widelec. Zżerała ją ciekawość. Pora więc odwrócić sytuację.

– A co u ciebie? Żona? Dzieci? – Wzięła do ust kawałek soczystego klopsika i musiała powstrzymać się, żeby nie jęknąć z rozkoszy.

Patrick wziął do ręki widelec i zaczął grzebać w talerzu.

– Jeszcze nie – odparł.

Aha! Jeszcze nie. Czy to oznaczało, że jednak była jakaś kandydatka?

– Myślę, że z tobą jest tak samo jak ze mną – oświadczyła, dochodząc do wniosku, że to najlepszy sposób, by wymanewrować się z tego tematu.

Spojrzała mu prosto w oczy. Zignorowała przyływ pożądania, które zalało jej podbrzusze, gdy jego pełne życia błękitne oczy napotkały jej wzrok.

– Jesteśmy tak zapracowani, że nie mamy czasu na porządne życie towarzyskie.

– Dokładnie. – Spałaszował porcję puree ziemniaczanego.

Nie powinna była mu się przyglądać, o nie. Najpierw przeżuł to, co wzięł do ust, potem przełknął, a na koniec oblizwał usta. A jej dosłownie zabrakło tchu.

Ostrożnie, Bree. Zapuszczasz się na niebezpieczne terytorium, upomniała się w duchu. Pozwalała sobie igrać z ogniem. Tabitha nie powinna była pokazywać jej tego albumu. Od tamtej pory Bree nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko „co by było, gdyby...”.

Musiała pamiętać, że jeżeli teraz popełni błąd, każda decyzja będzie miała ogromny wpływ na życie jej synka.

Patrick musiał upomnieć samego siebie, że przecież osiem lat temu ich związek zakończył się fiaskiem. Przekonał się już, że nadal dzielą ich te same rzeczy, co wówczas. Ona lubiła skakać na głęboką wodę, prosto w rwący nurt trudnych, zawiłych śledztw – takich, jak na przykład morderstwo. Jeżeli między nimi ponownie coś zakiełkuje, wtedy jego nadopiekuńcze zapędy raz jeszcze unieszczęśliwią ich obydwójce. I znowu wszystko skończy się marnie.

Nie, to nie był sposób na życie.

Reszta lunchu upłynęła im w ciszy, jeśli nie liczyć momentów, kiedy przysiadła się do nich Nora. Matka Patricka uwielbiała Bree. Chciała, żeby jej syn wreszcie się ustatkował i zafundował jej wnuczęta.

Tymczasem wspólny lunch tylko niepotrzebnie rozbudzał jej nadzieje. Patrick wybrał tę restaurację, ponieważ według niego stanowiła dla obydwójga neutralny grunt, ale być może mylił się. Nie pozbył się przemożnej potrzeby wzięcia jej w ramiona, nie udało mu się ugasić w sobie palącego pragnienia pocałowania jej raz jeszcze.

Zeszłej nocy śniło mu się, że się kochali. Było tak samo, jak niegdyś – bez zahamowań, z pełnym zaufaniem. Osiem lat temu dopiero ostatnie tygodnie ich związku położyły kres szczęściu. Wtedy to wzajemne animozje przyćmiły wszelkie pozytywne uczucia.

Teraz pragnął zostać tu z nią jak najdłużej i dowiedzieć się wszystkiego o tych ośmiu latach jej życia, które spędziła bez niego. Ale miał ważne spotkanie o trzeciej, z którego nie mógł się wywinąć. Udało im się omówić sprawę morderstwa agentki Grainger na tyle, na ile dysponowali informacjami – powinno wystarczyć do kolejnej odprawy albo do momentu, gdy nie pojawią się nowe poszlaki. Prawdę mówiąc, siedzenie i patrzenie na Bree było dla niego czystą torturą. Potrzebował dystansu. Umówione spotkanie o trzeciej okazało się błogosławieństwem.

Zanim Patrick zdążył oznajmić, że musi wracać do biura, Bree odsunęła od siebie pustą filiżankę po kawie. Żadne z nich nie zamówiło deseru, ale jakże mogli odmówić wypicia kawy przyrządzonej przez Norę? Jej firmowa mieszanka przyciągała klientów z całej okolicy, wszyscy chcieli bowiem spróbować jej słynnej Good Morning Coffee.

– Muszę wracać na posterunek. Mam spotkanie.

– Bree rzuciła okiem w stronę długiego bufetu, wzdłuż którego stały tłumy klientów, a potem w stronę drzwi prowadzących do kuchni. – Poproszę o rachunek i pojedę już...

– Chyba żartujesz. – Patrick dokończył kawę i odstawił filiżankę. – Wiesz, że Nora nie pozwoli ci zapłacić.

Bree wypadła z boksu jak burza.

– Podziękuj jej ode mnie, dobrze? – rzuciła.

Otworzyły się drzwi kuchenne i pojawiła się w nich Nora Martinez. Patrick wstał od stolika i spojrzał na Bree.

– Chyba obydwójce będziemy mieli szansę jej podziękować.

Nora kazała Bree obiecać, że znów do niej zajrzy, a potem dwukrotnie mocno ją wyściskała. Najwyraźniej nie tylko Patrick żywił względem Bree ciepłe uczucia.

Wychodząc z restauracji, Patrick zawahał się przez moment. Zauważył, że Ben Parrish dyskutował o czymś z pewną kobietą. Patrick przez chwilę przyglądał się mężczyźnie. Para najwidoczniej kłóciła się o coś, albo po prostu prowadziła ożywioną dyskusję. Patrick dopasował obraz falujących, rudych włosów kobiety do nazwiska, które odszukał w pamięci: Ava Wright, jedna z techników pracujących w laboratorium kryminalistycznym. Ciekawe. Fakt, iż Parrish był osobą, wokół której obecnie skupiało się śledztwo w sprawie morderstwa agentki Grainger, sprawiał, że nerwowa rozmowa tej dwójki mogła wzbudzać podejrzenia.

– Czy to nie agent Parrish? – zagadnęła Bree.

– Zgadza się. – Patrick zdecydował, że nie powinien wyciągać pochopnych wniosków.

Przecisnął się między stolikami i wyszedł na zewnątrz.

– Do zobaczenia na jutrzejszej odprawie – powiedziała Bree i ruszyła w swoją stronę.

– Jeszcze jedno. – Powinien zrobić to na samym początku ich spotkania.

Bree odwróciła się do niego, a w jej dużych, brązowych oczach tliło się oczekiwanie. Obrócił kapelusz w dłoniach.

– Chciałbym przeprosić cię za zeszłą noc. Tak, jak powiedziałem: to już się nie powtórzy. Myślę, że powinniśmy pozostać przyjaciółmi, bez względu na przeszłość. Kto wie, być może to nie ostatni raz, kiedy pracujemy razem. Tak będzie lepiej.

Okej. Uff. Wygłosił całą przemowę i niczego nie schrzanił.

Bree przyglądała mu się badawczo – tak długo, że aż zaczął się pocić.

– Masz rację. Przyjaciele... to dobry pomysł. Powinniśmy nad tym popracować.

Patrick wydał z siebie głębokie westchnienie pełne ulgi.

– Dobrze.

Spojrzała w stronę pożyczonego SUV-a.

– Muszę jechać – powiedziała.

Patrick umieścił kapelusz na właściwym miejscu.

– Daj mi znać, jeżeli pojawi się coś nowego w sprawie tego prześladowcy – poprosił.

Niczego mu nie obiecała. Patrzył za nią, jak podchodzi do auta i otwiera drzwi z logo policji Towaoc. Dopiero wtedy, gdy Bree odjechała, Patrick wsiadł do swojego wozu. W głowie buzowały mu różne myśli. Jest coś, czego Bree mu nie powiedziała. Czy na pewno była z nim szczerą w sprawie tego prześladowcy?

Nie podobało mu się to, że traktowała całą sprawę tak niefrasobliwie. Przecież ostrzeżenie na jej SUV–ie to nie było coś, co można puścić płazem.

Bez wątpienia ktoś ją obserwował.

Ktoś, kto chciał ją nastraszyć... albo jeszcze gorzej.

Gdy odprawa na komisariacie dobiegła końca, Bree udała się na parking. Wsiadła do samochodu i zadzwoniła do Tabithy, żeby dać jej znać, że dziś sama odbierze synka ze szkoły. Wiedziała, że kiedy śledztwo nabierze tempa, nieprędko będzie miała okazję to powtórzyć.

Media wierciły dziurę w brzuchu każdemu, o kim dowiedziały się, że jest zaangażowany w dochodzenie. Ortiz postanowił zwołać konferencję prasową po jutrzejszej odprawie, żeby uciszyć wszelkie spekulacje.

Bree zdawała sobie sprawę, że po konferencji polowanie na informacje rozpęta się na dobre.

– Jak ci minął dzień, synku? – zapytała Petera, jak tylko wsiadł do auta.

Chłopiec rzucił plecak na podłogę i zapiął pas bezpieczeństwa.

– Nie za ciekawie... – Spojrzały na nią wielkie, niebieskie oczy pełne gniewu. – Robby Benson powiedział, że mój tata pewnie nie żyje, skoro go nigdy nie widziałem. Czy to prawda, mamó? Czy mój tata nie żyje?

Bree zwolniła hamulec, nacisnęła pedał gazu i odjechała spod szkoły. Dlaczego dzieciaki muszą być tak okrutne?

I dlaczego dorośli muszą kłamać?

W niczym nie różniła się od Robby'ego Bensona. Z jednej strony nie mogła dłużej unikać tematu, a z drugiej nie chciała przecież kłamać Peterowi prosto w twarz. Chłopiec nigdy nie pytał, kim i gdzie jest jego ojciec. Do niedawna niespecjalnie go to interesowało. Ale przed kilkoma miesiącami,

kiedy skończył siedem lat, nagle wszystko się zmieniło. Odpowiedź w rodzaju: „Twój tata nie mieszka z nami” przestała już mu wystarczać.

– Nie, kochanie, twój tata żyje. – Czy wspominała już wcześniej, że mieszka daleko stąd? Że jest zbyt zajęty? Kiedyś wszystkie te wymówki doskonale się sprawdzały.

Peter przez chwilę kontemplował to, co usłyszał. W tym czasie Bree przygotowywała się na oczywisty ciąg dalszy.

– No, to dlaczego nigdy mnie nie odwiedza? Tata Robby'ego kupił mu najfajniejszy rower na świecie. A czy mój tata kiedykolwiek mi coś kupił?

No i zaczęło się...

Niby jak miała to zrobić? Zdecydowała już, jak chce żyć, a życie właśnie miało dać jej porządne kopniaka w tyłek.

– No cóż, skarbie, to...

Czarny sedan z ciemnymi szybami właśnie skręcił w tę samą ulicę, co auto Bree. Tym samym jej czujność została postawiona w stan najwyższej gotowości.

– Zaczekaj chwilkę, kochanie.

Okej, to tylko jeden zakręt – trzeba przyznać, że wcześniej nie zauważyła tego samochodu.

Nie ma co wariować, spokojnie. Bree skręciła w kolejną ulicę, choć wcale nie musiała tego robić, po to tylko, żeby sprawdzić, czy czarny sedan pojedzie za nią.

Pojechał. Tętno Bree pędziło z prędkością formuły 1.

Zerknęła na swojego synka. Konfrontacja z kierowcą i zgrywanie bohatera absolutnie nie wchodziły w rachubę. Jeżeli zacznie zachowywać się agresywnie, narazi Petera na niebezpieczeństwo.

Nagle samochód za nią wystrzelił do przodu i przykleił się do jej tylnego zderzaka tak, że prawie go dotykał.

Bree wstrzymała oddech.

Dopiero co wyjechała z miasta. Mogła spokojnie zawrócić.

– Skarbie, oprzyj się o fotel i trzymaj się mocno. Mój Boże, jeżeli ten koleś uderzy...

Auto raptownie wysunęło się z za niej i z rykiem pomknęło do przodu. Bree zwolniła i przytuliła wóz do pobocza.

Czarny sedan popędził jak błyskawica. Bree zmrużyła oczy próbując odczytać numer rejestracyjny auta, ale samochód jechał zbyt szybko, a ona była zbyt roztrzęsiona, żeby skupić na nim wzrok. Gdyby Petera nie było z nią w wozie, pewnie zaryzykowałyby pościg.

Mogła zgłosić to wydarzenie dyżurce, ale po co, skoro nie знаła ani marki, ani modelu samochodu i nie udało jej się nawet spisać jego numerów rejestracyjnych?

Na szczęście ani Peterowi, ani jej nic się nie stało, a to liczyło się przede wszystkim.

Uczucie ulgi było tak przemożne, że z trudem zaciskała palce na kierownicy. Wdusiła pedał gazu.

Spokojnie. Już po wszystkim.

Teraz przynajmniej jednego była pewna: zagrożenie wcale nie minęło. I zdecydowanie nie był to żaden gówniarski wybryk.

Wydarzenia sprzed paru minut nie były sprawą przypadku. I na pewno ich sobie nie wymyśliła.

Ktoś ją śledził. Ktoś ją obserwował.

Był uparty. Zamierzał osiągnąć swój cel.

Przestraszyć ją?

A może zabić?

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bree przybyła na środową odprawę w tymczasowym centrum dowodzenia z pięciominutowym zapasem. Wczorajszy wieczór udało jej się przetrwać bez pytań ze strony Petera. Czysty fart: jeden z kolegów Petera musiał spędzić u nich noc, ponieważ jego matka była w szpitalu i rodziła mu właśnie braciszka.

Bree dobrze wiedziała, że dobra passa nie będzie trwać wiecznie.

Peter zapytał ją, kiedy on też będzie miał braciszka albo siostrzyczkę. Tak... na to pytanie Bree zupełnie nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

Siedziała teraz w pożyczonym policyjnym SUV–ie i po raz tysięczny zastanawiała się, jak powinna postąpić. Natłok zdarzeń z poprzedniego dnia sprawił, że nie mogła zasnąć, więc tylko leżała w łóżku i rozmyślała. A kiedy w końcu usnęła, śnił jej się Patrick i to, jak kiedyś dobrze się między nimi układało. Zanim pojawiły się nerwy i podniesione głosy.

Dość tego! Teraz należy skupić się na sprawie, więc problemy osobiste będą musiały poczekać na swoją kolej – jeżeli będzie miała szczęście, ich kolej długo nie nadejdzie.

A co do prześladowcy – tym będzie musiała zająć się raczej prędzej niż później.

On – zakładając, że to mężczyzna, rzecz jasna –wiedział, gdzie mieszkała. Wiedział też, gdzie jej syn chodził do szkoły. Wczoraj porozmawiała sobie z nauczycielką Petera i ostrzegła ją o potencjalnych kłopotach. Pomówiła też ze swoim szefem. Dwóch kolegów z posterunku cały ranek przeszukiwało archiwum spraw, nad którymi Bree pracowała w ciągu

ostatnich kilku lat, ale nie udało im się znaleźć niczego, co mogłoby stanowić wystarczający motyw do prześladowania.

Pozostawało jej zaczekać, dopóki nie znajdzie czegoś więcej. Tak to zwykle wygląda z prześladowcami: ofiara ma związane ręce, dopóki sprawca nie zostanie złapany na gorącym uczynku albo nie pozostawi śladów, które stanowiłyby dowód rzeczowy przestępstwa.

Niestety, Bree utknęła w tym paranoicznym stanie, kiedy to nie pozostawało jej nic innego, jak tylko być cierpliwą i mieć oczy szeroko otwarte; mieć nadzieję, że wszystko skończy się dobrze, ale jednocześnie, tak na wszelki wypadek, być przygotowaną na najgorsze.

Z samochodu, który zaparkował kilka miejsc dalej, wysiadł Ortiz. Kiedy zniknął w budynku, Bree również wysiadła z wozu i poszła za nim. Nigdzie nie widziała auta Patricka. Może coś go dzisiaj zatrzymało? To musiało być coś poważnego, skoro zdecydował się opuścić dzisiejszą odprawę.

Bree weszła schodami na trzecie piętro, machnęła na powitanie recepcjonistce, a potem udała się prosto do centrum dowodzenia. Pomieszczenie pełne było agentów federalnych.

Bree zajęła jedyne wolne miejsce i uśmiechnęła się do Callie MacBride, gdy ta spojrzała w jej stronę. Callie odpowiedziała wymuszonym, zmęczonym uśmiechem. Znowu sprawiała wrażenie wyczerpanej i podenerwowanej. Z wyrazu jej twarzy dało się wyczytać, że traktuje tę sprawę niezwykle osobiście. Bree znowu zaczęła się zastanawiać, czy Callie i Julie były sobie szczególnie bliskie. Była pewna, że istnieje pewien aspekt tego śledztwa, pewien poziom, który nie do końca ogarniała. Oczywiście morderstwo to zły postępek, jakkolwiek by na to nie spojrzeć, ale przecież Bree nieraz obserwowała Callie w akcji i kobieta za każdym razem pokazywała, że twarda z niej sztuka.

Wyrwał ją z zamyślenia i sprowadził na ziemię odgłos szurania krzesłem po podłodze. Obok niej usiadł Patrick.

Serce Bree zareagowało natychmiast: najpierw gwałtownie przyspieszyło, a potem zaczęło bić nierówno, sobie tylko znanym tempem.

Jakby mała było serca pędzącego jak wyścigówka, to jeszcze temperatura jej ciała podniosła się o kilka stopni.

Może gdyby przez ostatnie osiemnaście miesięcy nie pozbawiała się świadomie towarzystwa mężczyzn, jej reakcje byłyby inne. Jak inaczej wyjaśnić to, co działo się z jej ciałem?

Nie była pewna, co gorsze: śmiertelna obawa, że on odkryje jej tajemnicę, czy może pielęgnowanie zakazanego pożądania do mężczyzny, który dzieli z nią trudną przeszłość?

– Wszystko okej? – zapytał Patrick ściszone głosem.

Nieskrywany, szczery niepokój, jaki wyczytała z jego oczu, przyciągnął ją niczym magnes.

Bree bardzo chciała, żeby Ortiz zaczął już odprawę. Większość agentów kręciła się jeszcze po sali i rozmawiała między sobą. Jedynie Callie i Ben Parrish siedzieli na swoich miejscach.

– Tak, nic mi nie jest.

Bree wyjęła notatnik z kieszeni kurtki i położyła go na stole. Przygotowywała się do spotkania, choć tak naprawdę robiła to głównie po to, żeby uniknąć spojrzenia Patricka. Nie przeszkodziło mu to przyglądać się jej uważnie.

– Czy ta osoba, która napisała ostrzeżenie na twoim aucie, naprzykrzała ci się jeszcze? – przesunął swoje krzesło kilka centymetrów w jej kierunku.

W pierwszym odruchu chciała odpowiedzieć: „Nie”, ale poznałby po jej twarzy i ułożeniu ciała, że kłamie. Patrick był zbyt dobrym specjalistą, jeżeli chodzi o rozumienie języka ciała, żeby dało się go zwieść w tak prosty sposób.

– No więc wczoraj jeden samochód... – zaczęła, ale przeszkodziła jej Elizabeth Reddawn, która stanęła w drzwiach i machnęła do kogoś w pomieszczeniu, trzymając w ręku dużą, brązową kopertę.

Bree przejechała wzrokiem po zebranych – wszyscy zawzięcie dyskutowali o czymś między sobą.

Ben Parrish pokazał palcem na siebie, a recepcjonistka skinęła głową. Odsunął krzesło i przeszedł dokoła stojących w sali agentów. Elizabeth wręczyła mu kopertę i szybkim krokiem wróciła na swój posterunek w recepcji.

Parrish wpatrywał się w kopertę przez dłuższą chwilę, potem rzucił okiem w kierunku pozostałych agentów i szybkim krokiem wyszedł na korytarz.

– Ciekawe, o co może chodzić – szepnął Patrick do Bree.

Przeszedł ją dreszcz. Miała nadzieję, że tego nie zauważył

– Nie wiem.

– Rozmawiałem dzisiaj z Ortizem – powiedział Patrick przyciszonym głosem. – Wyjaśnił mi, że Parrish, Ryan, Dylan Acevedo i Grainger chodzili razem do akademii FBI. Od tamtej pory byli paczką najlepszych przyjaciół, chociaż przydzielono ich do różnych oddziałów. – Patrick powiódł wzrokiem po wszystkich zgromadzonych. – W tych ludziach aż gotuje się od emocji. Głęboko to przeżywają.

To z pewnością wiele wyjaśniało. W swoich kontaktach z agentami federalnymi Bree wielokrotnie słyszała magiczne hasło: „Profesjonalizm

przede wszystkim". A tymczasem, tak jak podejrzewała, ta sprawa okazała się dla nich wszystkich kwestią honoru.

– Mówiłaś coś o samochodzie – dopytywał się Patrick.

– Odebrałam... – Bree zalała falą gorąca, bo prawie powiedziała, że odebrała swojego synka ze szkoły! Już drugi raz o mały włos się nie wygadała.

– Wczoraj po południu odebrałam po drodze mleko ze sklepu.. – To prawda: zatrzymała się na chwilę w Stop and Co. – Jechał za mną czarny sedan, taki z mocno przyciemnianymi szybami. Podjechał bardzo blisko i siedział mi na ogonie przez chwilę, a potem wyminął mnie i pognął do przodu. Ale to pewnie nie ma żadnego związku z moim prześladowcą.

Przypomniała sobie tę chwilę, kiedy obawiała się, że sedan uderzy z impetem w jej SUV-a.

– Wyglądało to, jakby ktoś chciał mnie nastraszyć. – Wzruszyła ramionami. – Ale z drugiej strony, jechałam wozem policyjnym. Może po prostu to był ktoś, kto nie lubi gliniarzy.

– Bree.

Nie chciała na niego spojrzeć. Łatwiej było przyglądać się pozostałymi osobom na sali.

– Bree – powtórzył bardziej zdecydowanym głosem. – Posłuchaj...

Odwróciła się w jego stronę z ociąganiem.

– Musisz potraktować tę sytuację poważnie. Porozmawiaj z szefem.

– Już to zrobiłam. – Boże, musiała znaleźć sposób, żeby odwrócić od niego swoją uwagę.

Jak na zawołanie, w tym momencie Ben Parrish wrócił do sali, co Bree przywitała westchnieniem ulgi. Nie miał już ze sobą koperty, którą przekazała

mu recepcjonistka, ale, wnioskując z jego markotnej miny, cokolwiek znajdowało się w środku, nie poprawiło mu humoru.

Patrick również obserwował, jak Parrish wraca na swoje miejsce. Bree żałowała, że nie potrafi czytać w myślach. Agent Parrish bez wątpienia był w rozterce. Czy zrobił coś, przez co czuje się w jakiś sposób odpowiedzialny za śmierć agentki Grainger? Bree nie wierzyła, że to on mógł być mordercą. Wątpiła, by ktokolwiek w tym pomieszczeniu tak o nim myślał.

– I co powiedział twój szef? – Patrick nie ustępował.

Nie miała ochoty z nim o tym rozmawiać. Wiedziała, że musi uważać. Póki co, nic więcej nie mogła zdziałać. Na szczęście zanim zdążyła odpowiedzieć, Ortiz poprosił wszystkich o uwagę.

Krótko zreferował postępy w śledztwie, które zresztą były niemal zerowe. Nie udało się zidentyfikować śladu na szyi ofiary, choć koroner stwierdził, że narzędzie, które posłużyło do uduszenia agentki Grainger, było wykonane z metalu – srebra, jeśli chodzi o ścisłość. Ze względu na głębokość pozostawionych ran, co wymaga odpowiedniej siły, uznano, że sprawcą był mężczyzna.

Bree zakłulo w piersi na myśl, że agentka Grainger, osoba przecież świetnie wyszkolona, nie miała szans w starciu z prymitywną, brutalną siłą.

Acevedo wstał od stołu i podszedł do jedyne go okna w pomieszczeniu. Wbił wzrok w majaczące w oddali wzniesienia. Ryan i Parrish wymienili pełne napięcia spojrzenia. Ortiz przerwał na chwilę, chcąc upewnić się, czy znów nie dojdzie do rękoczynów, a potem mówił dalej.

Kiedy Ortiz klarował, jakimi szczegółami śledztwa zamierza podzielić się z prasą, Bree przyglądała się ludziom zebranych w centrum dowodzenia. Acevedo tkwił przy oknie, a Parrish siedział przy stole z głową zwieszoną,

jakby właśnie odniósł druzgocącą klęskę. Ryan i Callie wymieniali ze sobą kolejne, skrzące się od napięcia spojrzenia.

Bree zastanawiała się, czy tych dwoje łączy coś. więcej niż tylko przyjaźń. Ale z drugiej strony, być może po prostu nadinterpretowała wzburzone emocje obydwójga wywołane śledztwem.

Acevedo wrócił na swoje miejsce i rozpoczął szeptaną dyskusję z Ryanem. Wydawało się, że Ryan stara się uspokoić Acevedo. Parrish pospiesznie rzucił na nich okiem, po czym znów zwiesił głowę.

Bree ponownie zrobiło się go szkoda. Owszem, znalazł ciało. Owszem, był mężczyzną i wszystko wskazywało na to, że miał dość siły, by udusić ofiarę tak, jak opisał to koroner. Ale dlaczego nie uciekł? Dlaczego ciągle wracał, żeby stawić czoła otwartej wrogości?

Agent Tom Ryan rozdał wszystkim zaangażowanym w prowadzenie dochodzenia ostatnie zdjęcie Julie Grainger. Ortiz zasugerował, że miejscowi policjanci powinni raz jeszcze porozmawiać ze swoimi informatorami. Tymczasem FBI miało skupić się na powiązaniach Grainger z Del Gardo. Ponieważ nie istniał żaden materiał dowodowy, który mógłby skierować sprawę na nowe tory – a także z przyczyn, których Biuro nie chciało ujawnić – FBI zakładało na tę chwilę, że Del Gardo, bądź ktoś wchodzący w skład jego organizacji, stał za morderstwem agentki Grainger. Kiedy Ortiz powtórzył ten wniosek, Ryan i Acevedo wbili znaczące spojrzenia w Parrisha.

Czy koledzy Parrisha sądzili, że on był wplątany w jakiś układ z Del Gardo? Jeżeli tak, to żaden z nich głośno tego nie powiedział. Cóż, przynajmniej nie w obecności Bree i Patricka.

Oznaczałoby to, że Parrish jest zdrajcą – niezależnie od tego, czy był również mordercą, czy też nie.

Ortiz zakończył odprawę i w tej samej chwili zawibrował telefon Bree. Zerknęła na wyświetlacz. Cyrus. Bree szybko wyszła na korytarz i odebrała połączenie. Być może udało mu się ustalić, kto był jej prześladowcą.

– Hunter.

– Z tej strony Steve Cyrus.

– Masz dla mnie jakieś wieści, Cyrus? – Byłoby świetnie, gdyby udało się rozwikłać sprawę jej tajemniczego prześladowcy. Poczułaby się o wiele lepiej, mając świadomość, że jej synek jest bezpieczny.

– Tak jest, proszę pani. Zadzwoił do mnie jeden taki pijaczek, którego regularnie zwijam. Facet lubi zbierać u mnie punkty za współpracę, więc czasem przymykam oko, kiedy idzie w tango.

Bree dobrze rozumiała taką strategię. Zdolność skutecznego wywierania nacisku przydawała się w kontaktach z informatorami, którzy obracali się w kręgach przestępczych, choćby w światku drobnych kryminalistów.

– Koleś zarzeka się, że nie dalej jak tydzień temu widział, jak ktoś podobny do Shermana Wattsa kłóci się z agentką Grainger. Bał się zapytać Shermana, czy to był rzeczywiście on, ale mój człowiek jest przekonany, że tak.

Sherman Watts? O ile pamięć jej nie myliła, ten miejscowy męt nigdy nikogo nie zabił. Większość jego kartoteki wypełniały oskarżenia o pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego. Owszem, bywał upierdliwy, ale nie był mordercą.

Bree po trosze żałowała, że informacje nie dotyczyły tego drania, który pomazał jej SUV-a.

Ale z drugiej strony, pojawiło się oto coś nowego w sprawie morderstwa agentki Grainger.

– Na ile wiarygodny jest ten informator? – Poczowała przyływ adrenaliny. Może się okazać, że mają pierwszy, mały, bo mały, ale jednak przełom.

– Nigdy dotąd mnie nie zawiódł. Z tego, co wiem, on i Watts czasem się razem upijają. To, co widział, może nie mieć żadnego znaczenia, ale pomyślałem, że warto sprawdzić ten trop.

– Dzięki, Cyrus. – Nagle zawładnęło nią pragnienie jak najszybszego zakończenia rozmowy i dopadnięcia Shermana Wattsa. – Sprawdzamy każdy trop. Porozmawiam z Wattsem. Zobaczymy, co będzie miał mi do powiedzenia.

Jeżeli tylko zdoła go odnaleźć. Kiedy Watts nie chciał rzucać się w oczy władzom, stawał się niewidzialny, co zresztą miało miejsce dość często. W myślach przejrzała wykaz miejsc, od których powinna zacząć poszukiwania – żadne z nich nie stanowiło żelaznej pozycji na liście atrakcji turystycznych Four Corners.

– Na twoim miejscu nie szukałbym go samotnie – ostrzegł Cyrus. – Jeżeli jest w jakiś sposób uwikłany w tę sprawę, może okazać się bardziej niebezpieczny niż zwykle.

Bree wytłumaczyła sobie, że ostrzeżenie Cyrusa nie miało nic wspólnego z faktem, iż zostało wypowiedziane do kobiety, ale za to wiele wspólnego z tym, że w tej sytuacji należy przedsięwziąć wszelkie niezbędne środki ostrożności. Dwa dni z Patrickiem, a ona już zaczynała wątpić w swoją sprawność fizyczną i przyjmowała postawę obronną.

Tak samo jak Julie Grainger w ostatnich chwilach swojego życia. Dreszcz przeszedł jej po plecach. Bez względu na to, jak perfekcyjnie jesteś wyszkolony, element zaskoczenia w połączeniu z wrogimi zamiarami zawsze

okazuje się przeciwnikiem niemal nie do pokonania. Śmiertelnym przeciwnikiem.

Bree podziękowała Cyrusowi i schowała telefon. Teraz przynajmniej miała jakiś trop, było od czego zacząć. Co prawda, znając upodobanie Watta do uganiania się za spódniczkami, mógł to być fałszywy trop – niewykluczone, że Watts po prostu rzucił jakiś komentarz w kierunku Grainger, albo przystawiał się do niej, albo Julie ochrzaniała go za coś w miejscu publicznym, i tak dalej.

– Za godzinę odbędzie się konferencja prasowa z udziałem Ortiza.

Zaskoczona Bree odwróciła się w stronę Patricka.

Nauczyła się przybierać wyraz twarzy, który nie zdradzał jej prawdziwych uczuć, ale nie zdążyła jeszcze na nowo przywyknąć do brzmienia głosu szeryfa – to, że tak wiele razy słyszała go w swoich snach, zupełnie się nie liczyło. Nie musiała sobie długo przypominać, jak swoim głosem owijał ją wokół palca i sprawiał, że Bree pragnęła stopić się z nim w jedno. Każdy niuans utrwalił się głęboko w jej pamięci. Głęboki i zmysłowy tembr jego głosu to kolejna rzecz, o której usilnie, aczkolwiek bez powodzenia, starała się zapomnieć.

– Konferencja prasowa. No tak... – Kiwnęła głową, choć nadal była rozkojarzona telefonem od Cyrusa, a głos Patricka wcale nie pomagał jej się skupić.

– Po konferencji Ortiz wraca do Durango – mówił dalej Patrick, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, jak na nią podziałał. – Nadal będzie kierował śledztwem, ale ze swojego biura, chyba że okaże się potrzebny tutaj, na miejscu. Tymczasem Tom Ryan przejmuje dowodzenie w Four Corners.

Skup się, znowu musiała się upomnieć w duchu. Trzeba znaleźć Wattsa. Ale Cyrus miał rację, nie powinna jechać sama.

– Być może mam pewien trop. – W końcu mieli nad tym pracować razem, jako zespół, a więc dobrze robiła, że o wszystkim mu mówiła i prosiła, żeby z nią pojechał.

– Czy to był telefon w tej sprawie? O tak, obserwował każdy jej ruch.

– Zgadza się. Według jednego z informatorów oficera Cyrusa, agentka Grainger zaledwie na kilka dni przed morderstwem miała starcie z Shermanem Wattsem. Biorąc pod uwagę, że Watts to ohydny, napalony menel, zdarzenie mogło być po prostu dziełem przypadku, ale sądzę, że mimo wszystko warto zbadać ten ślad.

Patrick znał Wattsa. Co prawda nie spodziewał się usłyszeć jego nazwiska w kontekście sprawy śmierci agentki Grainger, ale po ludziach pokroju Wattsa można było spodziewać się wszystkiego.

– Tak sobie pomyślałam, że powinniśmy namierzyć Wattsa i trochę nim potrząsnąć – zasugerowała Bree. – Żeby wydobyć z niego prawdę. On przecież obraca się w półświatku i nawet jeżeli jego scysja z agentką Grainger to nic poważnego, to i tak Watts może coś wiedzieć.

Większość agentów opuściła już centrum dowodzenia, więc nie było powodu, dla którego Bree i Patrick mieliby dłużej tutaj zostawać. Patrick skinął głową.

– Dobrze, zrobimy tak. – Gestem puścił ją przodem. – Ale ja poprowadzę.

– Okej, nie ma sprawy – rzuciła przez ramię i dołączyła do grupki opuszczającej salę.

Być może ów dżentelmeński gest – przepuszczenie jej przodem – nie był wcale dobrym pomysłem, ponieważ widok jej szczupłej talii kołyszącej się na boki zdekoncentrował go w zupełnie nieprofesjonalny sposób.

Dogadali się. Zostali przyjaciółmi. Kolegami z pracy.

Do diabła, trudno będzie przestrzegać warunków tej umowy.

Znalezienie Shermana Wattsa nie było łatwym zadaniem. Patrick i Bree odwiedzili po kolei wszystkie podejrzane miejsca, jakie przyszły im do głowy. I dopiero w kasynie w Towaoc znaleźli wskazówkę co do miejsca pobytu Wattsa. Jeden z miejscowych notorycznych drobnych złodziejasków z przyjemnością doniósł Patrickowi, że Watts przebywa u kumpla w jednej z przyczep kempingowych, których osiedle ulokowało się tuż za granicami Towaoc.

– Mało wytwornie – skomentowała Bree szpecące otoczenie przyczepy, gdy dotarli pod wskazany adres.

– Owszem, mało – zgodził się Patrick.

Wszędzie wały się śmieci. Większość pojazdów zaparkowanych obok rozpadających się przyczep przedstawiała sobą równie żałosny widok co cała okolica. Z przyczepy ustawionej najbliżej wjazdu na „osiedle” dobiegała głośna muzyka.

– Szukamy numeru dziesięć. – Patrick wypatrywał na wąskich, blaszanych domkach tabliczek z numerami, ale niektóre z nich były zniszczone tak, że nie dało się odczytać ani słowa, a z kolei inne przyczepy nie miały ich w ogóle.

– Dziesiątka powinna być następna po prawej. – Bree wskazała na zardzewiały, metalowy kontener ze zniszczonym podestem prowadzącym do drzwi wejściowych.

– Jego kumplowi nieźle się powodzi – powiedział Patrick, zauważywszy nowego pikapa zaparkowanego na podjeździe. – Szkoda, że najpewniej nie jest to nic legalnego.

Bree zadzwoniła na centralę i podała numer rejestracyjny auta. Im większą liczbą informacji będą dysponowali, tym większą moc będą miały ich argumenty.

Patrick powoli wyszedł z wozu, rozglądając się dokoła. W żaden sposób nie dało się przewidzieć, co może człowieka spotkać w takim miejscu. Lepiej być ostrożnym niż potem żałować. Położył dłoń na kaburze. Bree poszła za jego przykładem.

Patrick jako pierwszy wszedł po schodkach. Bree została nieco z tyłu i odebrała telefon. Patrick nasłuchiwał, czy z przyczepy nie dochodzą jakieś odgłosy. Nic. Odsunął się na bok i zdecydował, że na razie zostawi broń w kaburze. Załomotał pięścią w metalowe drzwi.

– Sherman Watts, mówi szeryf Martinez. Wychodź, musimy porozmawiać.

Bree ustawiła się po drugiej stronie drzwi. Wyciągnęła pistolet i przyjęła odpowiednią postawę. W środku nic się nie poruszyło. Patrick uderzył jeszcze raz, tym razem mocniej.

– Sherman Watts!

Uderzenie, a potem łomot ostrzegł Patricka, że ktoś w przyczepie właśnie wstał i przemieszcza się. Przygotował się. Nagle drzwi otworzyły się z hukiem. Osoba, która się w nich pojawiła, nie zauważyła schowanej za drzwiami Bree.

– Czego, do diabła, chcesz, szeryfie?

Watts, półnagi, kiwał się w wejściu i sprawiał wrażenie, że męczy go kac–gigant. Miał włosy jak strąki, których nie mył pewnie z miesiąca. Wbił w Patricka świdrujące spojrzenie czerwonych od przepicia oczu.

Nie był uzbrojony. Patrick nie spodziewał się, że Watts będzie miał przy sobie broń – no, chyba że ukrył ją w džinsach, które wisiały na nim jak worek.

– Muszę zadać ci kilka pytań. Czy możemy wejść do środka?

– Jacy „my”? – Watts rozejrzał się dokoła.

Bree wyszła zza otwartych drzwi przyczepy, trzymając opuszczoną broń.

– Dobry wieczór, panie Sherman. – Zlustrowała sobie mężczyznę od stóp do głów. – Wygląda na to, że ostatnio lepiej się panu wiedzie przy pokerowym stole. – Kiwnęła brodą w kierunku pikapa. – Kupił pan sobie w zeszłym tygodniu ładne auto.

Bree natrafiła na pytający wzrok Patricka. Wóz faktycznie należał do Wattsa. Cóż, to duży krok naprzód w porównaniu ze starą pordzewiałą ciężarówką, którą jeździł tyle lat. Jeżeli zarejestrował ją dopiero w zeszłym tygodniu, oznaczało to, że nagle trafiła mu się lepsza gotówka.

Czy były to pieniądze splamione krwią?

– A może podzielisz się z nami sekretem, jak wygrywać? – powiedział Patrick do Wattsa, przenosząc na niego całą uwagę.

Watts prychnął.

– Nie mam żadnych tajemnic. – Założył ramiona na swojej przypominającej skórę i kości piersi.

– Wygrałem ten samochód uczciwie w prywatnej grze losowej – uśmiechnął się znacząco. – Mógłbym wam podać nazwiska dżentelmenów, których pokonałem, ale pewnie powiedzieliby wam nieprawdę i oznajmili, że to oni wygrali. A zresztą, co was to w ogóle obchodzi?

– Nie przyjechaliśmy tu w sprawie samochodu – powiedziała Bree.

Uśmiezek zniknął z jego twarzy.

– To po coście przyjechali?

– Czy możemy wejść? – powtórzył Patrick. Watts zmierzył Bree wzrokiem.

– Czemu nie? Lubię gliny – wypowiedział te słowa z obleśnym grymasem. – To i tak nie moja chata.

Patrick odsunął go na bok i wszedł do środka.

– Ja też jestem gliną. Mnie też lubisz? Watts cofnął się o kilka kroków.

– Wyluzuj, szeryfie. Właśnie wstałem. Jeszcze nie jestem tym samym przyjemniaczkiem, co zazwyczaj.

– Jest prawie osiemnasta – poinformowała go Bree, wchodząc do przyczepy. – Co się stało, panie Watts? Nie spał pan zbyt dobrze tej nocy?

Skierował przeszywające spojrzenie w jej stronę.

– Nigdy nie śpiam w nocy. Zbyt dużo się wtedy dzieje. Wie pani, o czym mówię? – zarechotał.

– A propos – wtrącił Patrick. – Słyszałeś o zabójstwie agentki federalnej? Watts spał się raptownie – nieznacznie, ale Patrick zaraz to wychwytał.

– Nie oglądam wiadomości.

Patrick omiół wzrokiem „salon” przyczepy. Meble były sfatygowane, a pokój wyglądał, jakby ktoś tu zrobił nalot, ale Patrick wiedział, że Watts i jego kumpel byli po prostu zbyt leniwi, żeby sprzątać. Będą się tutaj kisić, aż przyczepa przestanie nadawać się do mieszkania, a potem porzucą ją i znajdą sobie następną.

– Julie Grainger. – Bree wyjęła zdjęcie agentki i pokazała je Wattsowi. – Przypuszczam, że znał ją pan.

Watts odchylił głowę do tyłu i kilka sekund studiował fotografię.

– Niezła lala. Szkoda, że jej nie znałem.

– Z tego, co słyszałem, między wami doszło do nieporozumienia w miejscu publicznym. – Patrick obszedł pokój dokoła, jakby szukał towarów z przemytu.

Watts podążał krok w krok za Patrickiem, niczym jego wierny ochroniarz.

– No, to źle żeś słyszał. Gdybym znał tę laskę, na pewno bym się z nią nie kłócił.

Bree nie odstępowała Wattsa ani na krok.

– Myślę, że chciał pan ją poznać, a jej wystarczyło jedno spojrzenie na pana gębę, by kazać panu spływać.

Tętno Patricka gwałtownie przyspieszyło. Co ona najlepszego wyczynia? Dlaczego faceta prowokuje? Watts zarżał.

– E tam, pani glino, czepia się pani nie tego gościa, co trzeba. Nic nie wiem o waszej martwej koleżance. W życiu jej nie widziałem.

Patrick wkroczył pomiędzy ich dwoje.

– Chcemy cię przesłuchać – oznajmił. – Prowadzimy śledztwo bardzo dokładnie i staramy się nie pominąć żadnego tropu, nawet jeśli wydaje się wątpliwy.

Watts spojrzął Patrickowi prosto w oczy i znalazł w nich wyzwanie.

– Powiedz tylko gdzie i kiedy, szeryfie. Będę tam.

– Uważaj, bo może to nastąpić wcześniej niż ci się wydaje – ostrzegł Patrick. – Jesteś na naszej liście, Watts. Nie opuszczaj miasta. Jestem przekonany, że niedługo znowu porozmawiamy.

– Wiesz, gdzie mnie szukać, szeryfie – krzyknął za nimi Watts, gdy już wyszli z przyczepy. – Możesz tu przysłać swoją piękną squaw, kiedy tylko sobie zażyczysz.

Patrick zatrzymał się w miejscu. Zagotowało się w nim. Rosła w nim przemożna chęć rozkwaszenia Wattsowi gęby. Wykorzystał każdą tkwiącą w nim cząstkę energii do tego, by powstrzymać się od dołożenia temu draniowi.

Bree nie czekała na niego. Wróciła szybkim krokiem do SUV-a i wsiadła do samochodu.

Patrick wziął głęboki oddech i nawet nie spojrzął za siebie. Wpakowanie się w oskarżenie o napaść z pewnością nie pomogłoby śledztwu. Ale nadal świerbiło go, żeby wlać gnojki. Otworzył drzwi auta od strony kierowcy i usiadł za kierownicą. Watts spojrzął na Patricka raz jeszcze, po czym uśmiechnął się krzywo i zatrzasnął za sobą drzwi przyczepy.

Sukinsyn.

Kiedy Patrick skierował wóz na autostradę, zostawiając daleko w tyle osiedle przyczep kempingowych, Bree naskoczyła na niego.

Spodziewał się tego. W przyczepie wtrącił się zbyt wcześnie. Ale miał rację, nieważne, czy docierało to do niej, czy nie.

– Nie potrzebuję, żebyś odgrywał rolę mojego obrońcy, kiedy przesłuchuję potencjalnego podejrzanego. Całkowicie panowałam nad sytuacją.

Mówiła cicho i spokojnie, ale tłąca się w jej głosie furia zdradzała, że tak naprawdę jest wściekła jak diabli i może w każdej chwili wybuchnąć.

– Nie powinnaś była szarżować, Bree, prowokowałaś gościa. To niebezpieczne zagranie, jeżeli nie masz odpowiedniego wsparcia.

I znowu źle dobrane słowa.

– Nie wierzę! – Bree wbiła wzrok w autostradę przed nimi. – Jestem tak samo dobrze wyszkolona, jak ty. Panuję nad sobą. Wiem, jak daleko mogę się posunąć podczas przesłuchania. A poza tym miałam przecież wsparcie.

Mógł się z nią sprzeczać, owszem, ale to by tylko pogorszyło sytuację.

– Masz rację. Moja wina. Nie kłóćmy się. – Przekonywał sam siebie, że rozumie jej racje, ale w gruncie rzeczy było inaczej. Czy naprawdę się mylił? – Okej?

Jego wymuszone przeprosiny wcale nie pomogły. Bree gotowała się ze złości. Nie uścisnęła wyciągniętej na zgodę ręki.

– Inaczej rozumiemy pewne sprawy – tłumaczył. – Moim zamiarem wcale nie jest dać ci do zrozumienia, że nie ufam twoim umiejętnościom.

Zero komentarza. Świetnie.

Dobrze, niech tak będzie. Skup się na śledztwie. Niech się dąsa.

– Przekażę Ortizowi wszystko to, czego dowiedzieliśmy się od Wattsa. Zobaczymy, czy będzie chciał, żebyśmy go dodatkowo przesłuchali, czy może po prostu obserwowali przez jakiś czas.

Ta sugestia natychmiast wywołała w jego umyśle obraz: on i Bree... w SUV-ie... przez całą noc... w ciemności...

Odpowiedziała mu cisza.

Doskonale, po prostu kapitalnie.

– Co mam powiedzieć, Bree? – Powtórka sprzed ośmiu lat.

– Nic. Powiedziałeś już wszystko, co chciałam usłyszeć. Nic się nie zmieniło.

Oto, co dostawał w zamian za okazywanie troski.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego ranka Bree pojechała samotnie na miejsce zbrodni. Zaparkowała auto, wyłączyła silnik i zapatrzyła się na bezkres pustkowia. Był to ten sam widok, który Julie Grainger miała przed oczami tuż przed śmiercią.

Według koronera, gdy znaleziono ciało Julie, kobieta była martwa od około czterdziestu ośmiu do pięćdziesięciu godzin.

Oznacza to, że umarła najprawdopodobniej mniej więcej o tej samej porze, która teraz była: między ósmą a dziewiątą rano. Pięć dni temu.

Niecały tydzień.

Bree wysiadła z wozu i zamknęła drzwi. Dźwięk odbił się echem, przypominając jej, że jest tu zupełnie sama. Zostawiła za sobą pracę. Rodzinę. Patricka.

Potrzebowała pomyśleć.

Położyła dłoń na kolbie pistoletu i powoli podeszła do miejsca, w którym odkryto zwłoki. Wciąż otaczała je żółta policyjna taśma. Upływ czasu sprawił, że taśma w kilku miejscach porwała się i łopotała na wietrze.

Nadal nie nastąpił żaden przełom w śledztwie.

Minęło krytyczne czterdzieści osiem godzin, a oni ciągle nie mieli żadnego punktu zaczepienia.

Patrick porozmawiał z Ortizem o Shermanie Wattsie. Agent zdecydował, że jego ludzie zajmą się tym tropem. Z tego, co Bree się orientowała, również konferencja prasowa nie wywołała żadnych reakcji. Ortiz mówił krótko, zwięźle i na temat. Zaapelował, by każdy, kto dysponuje jakąkolwiek informacją mogącą mieć związek ze sprawą, zgłosił się na policję.

Bree zatrzymała się tuż przed żółtą taśmą. Kucnęła i wzięła do ręki odrobinę piasku wymieszanego z pyłem. Roztarła go między palcami i wysypała z powrotem na ziemię. Co Julie robiła tutaj o tak wczesnej porze w niedzielny poranek?

Czy jeden z jej kontaktów poprosił o spotkanie w sprawie śledztwa dotyczącego Del Gardo? Może jej zabójca to ktoś, komu nadepnęła na odcisk jeszcze wcześniej, przy okazji innej sprawy? A może zabił ją jakiś przypadkowy bandzior, który wcale nie miał nic wspólnego ze śledztwami prowadzonymi przez Grainger?

Cóż, zawsze istniała taka ewentualność. Niejednokrotnie to rodziny przestępców, których zapuszkowano, szukały zemsty. Ale bywało też, że funkcjonariusz znalazł się po prostu w złym miejscu w złym czasie.

Czy to Sherman Watts spotkał się tutaj z Julie? Czy ten pijaczyna mógłby zabić człowieka? Chociaż trzeba było raczej zapytać: czy był na tyle sprytny i szybki, aby zaskoczyć ją i zdobyć nad nią przewagę fizyczną?

Bree przegnała obrazy, które podsunęła jej wyobraźnia. Powoli obróciła się dokoła i przeczesła wzrokiem okolice – surową i opustoszałą, ale niezmiennie piękną.

Czasem wydawało jej się, że jej życie przypomina takie pustkowie: złamano jej serce i zdruzgotano dumę, a jej życie towarzyskie pozostawało w niebycie; lecz mimo wszystko była w jej życiu i odrobina piękna – Peter.

W przeciwieństwie do Julie Grainger, Bree żyła. I tak długo, jak w jej żyłach płynęła ożywiająca ciało energia, zawsze istniała nadzieja, że los się musi odmienić... na lepsze.

Bree zastanowiła się, co takiego Julie Grainger zmieniłaby w swoim życiu, gdyby wiedziała, że zakończy się ono w tak gwałtowny sposób?

Bree wiedziała, że jeśli chodzi o nią, to z pewnością chciałaby móc spędzać więcej czasu z synkiem.

Pomyślała o radości, która przepelniała go na myśl o dzisiejszej wycieczce. Dziś rano, gdy zawoziła go do szkoły, przynajmniej chwilowo zapomniał zwyczajowo zamięczać ją pytaniami o ojca.

Bree przyniosło to ulgę, choć wiedziała, że postępuje niesprawiedliwie. Nie mogła już dłużej żyć w kłamstwie. Dręczyło ją poczucie winy.

Ale z drugiej strony, kiedy zdarzały się chwila takie, jak wczoraj, podczas wizyty u Shermana Wattsa, miała ochotę porządnie zdzielić Patricka. Przecież nie byli już parą. Trzy dni temu po raz pierwszy od ośmiu lat zamienili kilka słów, a on już ingerował bezceremonialnie w jej obowiązki zawodową i zachowywał się, jakby niczego nie potrafiła zrobić, jakby nadal była tą młodą, nieopierzoną panią policjant prosto po szkole.

Wtedy, przed laty, robił dokładnie to samo, a teraz fundował jej powtórkę z tej swojej pozy wszechmocnego i wszechwiedzącego kowboja macho, która ją drażniła.

No cóż, przynajmniej w tych momentach, kiedy nie sprawiał, iż żałowała, że podjęła taką, a nie inną decyzję. Jego głos... te oczy... gdy tylko znajdował się w pobliżu, miała ochotę rzucić mu się na szyję. Pragnęła czuć na sobie jego pocałunki.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Tak wiele razy, przez tak długi czas próbowała udawać, że jej na nim nie zależy. Poza tym on przecież nie kiwnął nawet palcem, żeby ją odzyskać. Nawet nie zadzwonił. Ojciec wmawiał jej, że to wystarczy, aby Bree utwierdziła się w przekonaniu, iż Patrickowi po prostu nie zależy. I że na nią nie zasługuje. Jej miejsce było pomiędzy swoimi. Powinna ułożyć sobie tutaj życie – sobie i swojemu dziecku. Pozwoliła ojcu

zrobić dokładnie to, na co przyrzekała nigdy więcej się nie godzić: kierować własnym życiem.

Skupiła się na karierze i na wychowywaniu synka. A nawet zdobyła się na małżeństwo.

Błąd. Duży błąd.

A teraz... gdy poszła z Patrickiem na szybki lunch, kiedy spotkała się z jego matką, wtedy powróciły wszystkie wspomnienia, od których Bree uciekała. Wspomnienia, których posiadania odmówiła swojemu synkowi. Wiele razy Bree zastanawiała się, jak jej decyzja wpłynie na Norę, jedyną bliską osobę, jaką miał Patrick. I na Petera, który wychowywał się, mając tylko jednego dziadka.

Bree nie mogła dłużej udawać, że wszystko będzie takie, jak dawniej. Nie sposób było dłużej udawać, że Patrick nie istnieje i w ogóle się nie liczy. Po prostu dłużej tak się nie dało i koniec.

Pocałował ją. Tabitha miała rację: wciąż coś do niej czuł. Ale wiedziała, że wszystko to trafi szlag, gdy tylko Patrick dowie się, jak bardzo go oszukała. Znienawidzi ją.

To nie była byle błahostka.

„Ach, tak przy okazji, chcę ci powiedzieć, że masz syna, Patrick. – Ile ma lat? – No cóż, siedem”...

Bree jęknęła.

To nie będzie przyjemne.

Dla Petera świadomość, że ma ojca, będzie emocjonującym przeżyciem. Patrick, dzięki pracy szeryfa, w oczach chłopca stanie się superbohaterem, i wzorem do naśladowania, którego dziecku tak bardzo potrzeba.

Chociaż nie, on przede wszystkim pragnie mieć ojca. Po prostu ojca. Swojego własnego ojca.

Niedobrze. Niedobrze.

Bree ostatni raz przyjrzała się wykutym w skałę domostwom i rozciągającym się w oddali wzgórzom. Miała przed sobą pustkowie, które stanowiło odbicie jej duszy. Musiała znaleźć sposób, żeby wypełnić wyzute z uczuć serce.

Dla synka.

Dla samej siebie.

Jakie poniesie przy tym straty?

– Po prostu weź się do roboty, Bree – powiedziała do siebie.

Tego ranka i tak już nic z tym nie robi.

Powlokła się noga za nogą do SUV-a. Kuszenie losu nie było w jej stylu, wolała strategię stawiania jednego małego kroku za drugim: porozmawiać z siostrą, porozmawiać z Peterem, a na koniec stawić czoło Patrickowi.

Było to logiczne i racjonalne, zupełnie jak policyjna robota. Przeanalizować sytuację, przedstawić fakty, sformułować wniosek i podjąć działanie.

Proste.

– Dobra.

Sięgnęła, by otworzyć drzwi od strony kierowcy i nagle poczuła, jak włoski na karku stają jej dęba.

Bree odwróciła się na pięcie w mgnieniu oka, instynktownie kładąc dłoń na kolbie pistoletu. Jej serce zaczęło bić jak oszalałe. Przeszukała wzrokiem okolicę, szukając tego, co postawiło jej zmysły w stan najwyższej gotowości.

Po raz pierwszy od dwóch dni miała to przyprawiające o gęsią skórę wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Jakby ktoś ukrywał się gdzieś niedaleko, przyglądał się jej bacznie i... czekał na właściwy moment.

Po co?

Żeby zrobić jej to samo, co przytrafiło się Julie Grainger?

Serce w jej piersi jeszcze przyspieszyło. Boże, nie pomagało jej to ani trochę.

Najpierw sprawdziła wnętrze auta – ponieważ nie zamknęła go na klucz, kiedy wyszła, żeby pomedytować w samotności – a potem wsiadła. Zapaliła silnik, cały czas rozglądając się bacznie dokoła, i zawróciła.

Po raz pierwszy w swojej karierze zastanawiała się, czy aby na pewno Patrick nie ma racji. Być może faktycznie zbyt wiele ryzykowała i nieroztropnie ignorowała niebezpieczeństwo. W przeciwnym razie nie byłoby jej tutaj, pośrodku pustki, w samotności, z przemożnym wrażeniem, że ktoś ją obserwuje.

Ale to była prawda. Wiedziała, że tak jest. Zniszczony SUV stanowił dowód. Agresywny kierowca, owszem, mógł być po prostu zbiegiem okoliczności, ale nie zdewastowanie jej auta.

A jednak zachowywała się tak, jakby nic do niej nie docierało. Udawała, że nie ma żadnego zagrożenia.

Tak samo jak przez te wszystkie lata udawała, że Patrick nie istnieje.

A teraz wszystko to powracało, by ją dręczyć i nawiedzać. Ile czasu musi minąć, zanim jej chęć udowodnienia, że nie boi się żadnego wyzwania, również powróci, by się zemścić?

Piąta.

Patrick wpatrywał się w swój telefon. Nie zadzwonił dziś do Bree. Ona zresztą też się do niego nie odezwała. Przez cały dzień nadrabiał zaległości w biurze, bo przecież prowadzenie biura szeryfa to nie przelewki, nie można tak po prostu zignorować swoich obowiązków. Praca szeryfa to nieustanne lawirowanie pomiędzy typową policyjną robotą a prowadzeniem specyficznej polityki.

Patrick nie przepadał za nią, ale cóż poradzić, skoro stanowiła część jego obowiązków?

Za to życie osobiste... tak... zbyt długo je ignorował.

Dni spędzone z Bree boleśnie dały mu odczuć, jak bardzo zaniedbał ten aspekt swojego życia.

Jak, do diabła, miało im się ułożyć, skoro ona igrała z własnym bezpieczeństwem jak z ogniem? Nie mógł udawać, że nie dostrzega ryzyka, jakie podejmowała? Wszakże niebezpieczeństwo było częścią jej obowiązków.

Dlaczego nie potrafiła zrozumieć, że on wcale nie próbuje kontrolować jej życia? On przecież tylko starał się ją chronić.

Bo zależało mu na niej.

Zależało mu o wiele bardziej, niż ośmielał się przyznać przed samym sobą.

Ale nie był pewny, czy ona czuje to samo względem niego. Kiedy ostatnio spędzali razem czas, zauważył z jej strony nieśmiałe oznaki zainteresowania. Ale nie była to taka sama reakcja, jaka stawała się jego udziałem, gdy tylko Bree pojawiała się w pobliżu. Przynajmniej niczego takiego nie zauważył.

Jeżeli – wielki znak zapytania – jeżeli nadal cokolwiek do niego czuła, to może udałoby im się zacząć od nowa. Przekreślić przeszłość i poznać się

zupełnie od początku. To mogłoby się udać. Tym razem starałby się nie przytłaczać jej.

Właśnie o to go oskarżyła. Przynęła, że nigdy, przenigdy żaden mężczyzna nie będzie kontrolował jej życia tak, jak jej ojciec kontrolował życie jej matki – choć oczywiście kochała swego ojca. Patrick nie kiwnął nawet palcem i pozwolił jej odejść, ot tak. Przez pierwsze cztery, pięć miesięcy był przekonany, że ona do niego wróci. Ale nie wróciła. A potem wmówił sam sobie, że jest już za późno. Aż w końcu przyszedł czas, że łatwiej było nie oglądać się za siebie i zapomnieć.

Czy to dlatego znów była samotna? Czy jej mąż zanadto próbował kierować jej życiem?

Patrick nigdy w życiu nie spotkał bardziej stanowczej kobiety niż Bree. Być może tylko jego matka jej dorównywała – nigdy nie pozwoliła żadnemu facetowi, nawet Patrickowi, kontrolować swojego życia. Ojciec Patricka zmarł, gdy ten był jeszcze dzieckiem, i od tej pory matka musiała radzić sobie sama.

Nie chciał, żeby Bree była tak samotna, jak jego matka. Przyglądał się Norze, gdy wydawało jej się, że nikt nie patrzy, i potrafił rozpoznać dręczącą ją samotność.

Prawdę mówiąc, sam też nie chciał w końcu zostać sam. Czas zdążył już udowodnić mu, że potrzebuje „tej jedynej”. Bree sprawiała, że czuł się wyjątkowo – nikomu innemu to się nie udało. Spróbował raz czy dwa razy utworzyć związek, ale nie poczuł tej specyficznej magii, która łączyła go z Bree. A tymczasem czterdziestka zbliżała się wielkimi krokami. Nie bardzo miał czas na wielkie zmiany w swoim życiu.

Istniał tylko jeden sposób, żeby zabrać się za to wszystko.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer komórki Bree. Najgorsze, co mogło go spotkać, to: „Nie” z jej strony.

Odebrała i przez krótką chwilę w słuchawce słychać było tylko ciszę. Nie chciał, żeby powiedziała: „Nie”.

– Halo? Patrick?

Poznała go po numerze telefonu.

– Bree – weź się w garść, stary, dasz radę. – Myślę, że czas, abyśmy wyjaśnili sobie parę spraw. – Zabrzmiało to, jakby stawiał jej ultimatum. – To znaczy... pora naprawić to, co się między nami zepsuło. – Weź głęboki oddech. – Jeżeli nie jesteś czymś zajęta, to chciałbym cię dziś zaprosić na kolację. Znaczą się... jeśli jesteś wolna. Musisz coś jeść.

Nie tak, Patrick, nie tak, do ciężkiej... Cisza, która zaległa w słuchawce, sprawiła, że poczuł ucisk w żołądku.

– Okej.

Zalało go uczucie ulgi.

– Świetnie. Przyjadę po ciebie o siódmej, może być?

– O siódmej – zgodziła się.

Pożegnali się. Patrick schował telefon i odchylił się na krześle.

Wydał z siebie długie westchnienie ulgi.

– Szeryfie.

Patrick obrócił głowę w stronę drzwi. Stał w nich asystent.

– No co tam, Clayton?

– Mam informacje, które mogą się panu przydać.

Patrick zmarszczył brwi. Gestem dłoni polecił asystentowi wejść do środka i usiąść.

– Jakie informacje?

Clayton zamknął za sobą drzwi i usiadł przed biurkiem Patricka.

– Dotyczące pani detektyw Hunter.

Do diabła. Jak długo Clayton stał za drzwiami i przysłuchiwał się rozmowie? Kiedy Patrick rzucił mu oskarżycielskie spojrzenie, przez chwilę wydało mu się, że asystent doskonale wie, co ono wyraża.

– Tak – przyznał Clayton. – Słyszałem, jak rozmawiał pan przez telefon.

Patrick już miał zganić swojego pracownika, gdy ten uniósł dłoń i powiedział:

– Proszę mnie najpierw wysłuchać.

Co miał do stracenia? Asystent i tak już wszedł z butami w jego życie osobiste.

– Rozmawiałem z recepcjonistką z posterunku w Towaoc.

Patrick przewrócił oczami. Świetnie, zaraz cały świat się o wszystkim dowie.

– Rozmawiałem o raporcie, który jest nam potrzebny. Mieliśmy go dostać od jednego z ich oficerów śledczych – dokończył Clayton i zamilkł, najwyraźniej znowu czytając swemu przełożonemu w myślach.

Patrick jednak polecił mu mówić dalej.

– Zgodnie z tym, co usłyszałem od Mary Jane, tej recepcjonistki, były mąż Bree to prawdziwa kanalia – wyjaśnił Clayton.

– Szczegóły – zakomenderował Patrick, czując, jak napinają mu się mięśnie.

– Nazywa się Jackson Raintree. Jest pospolitym łobuzem i moczymordą. Według Mary Jane pod koniec jego związku z Bree zdarzyło mu się parę razy nieźle ją poturbować.

Patrick wyprostował się w fotelu.

– Ten drań ją uderzył? – Poczul wzbierającą w nim wściekłość.

Clayton skinął głową.

– Mary Jane powiedziała też, że Bree bała się o swojego syna... że Jackson nad nim również zacznie się znęcać. To dlatego błyskawicznie doprowadziła do rozwodu po tym, jak facet ją pobił.

– Zaraz, zaraz, zaraz. – Patrick machnął ręką. – Syna? Bree ma syna?

To dopiero nowina. Do diabła. Bree miała dzieciaka z tym draniem. Dlaczego nigdy nie wspomniała o dziecku?

Clayton pokiwał głową.

– Nie wiem, ile dokładnie ma lat, ale na pewno chodzi już do szkoły.

Bree wyszła za tego faceta, zanim Patrick przeprowadził się do Kenner City, by objąć stanowisko szeryfa. Sześć lat temu. Wykombinował, że mogła się spotykać z tym gościem na krótko przed tym wydarzeniem. Czyli wszystko niby się zgadzało, bo przecież mogli mieć dziecko zaraz na początku związku, a wtedy mały byłby teraz w wieku szkolnym. A skoro jej mąż nie nazywał się Peter, to być może było to imię chłopca.

– No więc, radziłbym uważać, szeryfie – powiedział Clayton i wzmocnił słowa spojrzeniem, które mówiło: „Lepiej mnie posłuchaj”. – Detektyw Hunter nie było lekko.

– Tak jest, panie doktorze – odciął się Patrick. Odsunął się od biurka. – A teraz, jeśli zechcesz mi wybaczyć, muszę udać się w pewne miejsce.

– Proszę założyć tę niebieską koszulę, za którą przepadają wszystkie panie w biurze – zawołał za nim Clayton.

Jasne. Jakby obchodziło go to, co niby podoba się kobietom.

Tu chodziło o Bree. Nie musiał robić na niej wrażenia modnymi ciuchami.

Dziś wieczorem będą poznawać się od nowa. I zrobią krok naprzód.

To był dobry plan.

– Tabitha, naprawdę mam już niewiele czasu. – Bree potarła czoło. Zapowiadało się na solidną migrenę. – Wiem. Doskonale wiem. Po prostu jedź ostrożnie.

Szósta trzydzieści.

Bree musiała sobie przypomnieć, że powinna oddychać.

Patrick miał przyjechać po nią za trzydzieści minut, a Peter wciąż tu był.

– O mój Boże.

Bree wyszła z kuchni i udała się na poszukiwanie syna. Peter zwinął się w kłębek na swoim łóżku i grał w grę wideo.

– Jesteś gotowy?

– A–ha – odparł i jednocześnie kiwnął głową, nie spuszczać z oczu niedużego wyświetlacza przenośnej konsoli do gier.

Obok niego leżał na łóżku spakowany plecak. Nie zawrócił sobie głowy zdjęciem butów przed położeniem się na łóżku. Na plecaku leżała kurtka. Był gotów.

W przeciwieństwie do Tabithy. Okazało się, że Layli skończyła się benzyna, gdy wracała do domu ze spotkania szkolnego klubu. A Roy właśnie wyjechał w sprawach służbowych.

Nie było do kogo zadzwonić. Ojciec Bree nie mógł już prowadzić samochodu, zresztą rzadko kiedy w ogóle ruszał się z domu.

Rzecz jasna nie można było zostawić Layli gdzieś na środku pustkowia, na poboczu i do tego z pustym bakiem.

Dobry Boże.

– Oddychaj.

Wyskoczyło jej coś niespodziewanego, ale Tabitha dojedzie. Zatankowały już auto Layli. Jest w drodze. Nie ma powodów do paniki.

Bree przeszła się po kuchni i salonie, szukając jakichkolwiek śladów świadczących o obecności jej synka. Gry, książki, zabawki i tak dalej. Wszystko skrzętnie pochowała, jakby nigdy nie istniał.

Zatrzymała się pośrodku salonu i uważnie rozejrzała dokoła.

– To idiotyczne.

Co też najlepszego wyprawiała?

Powie Patrickowi. Zasługiwał na to, by wiedzieć. A co najważniejsze, to Peter zasługiwał na to, by wiedzieć. Tak samo Nora.

Tyle że jeszcze nie dzisiaj.

Potrzebny był jej plan. Wszystko musiało odbyć się we właściwy sposób – dla dobra tych, których cała sprawa dotyczyła. Zanim zrobią następny krok, Bree i Patrick musieli najpierw ustalić wiele innych rzeczy.

Początkowo miała solidne podstawy, by ukrywać istnienie Petera. Zgoda, niechęć rolę w podjęciu tej decyzji odegrał jej ojciec. Ale szanowała go i nadal szanuje. Nawet pomimo to, że zachęcał ją, by wyszła za Big Jacka.

Bree zatrzymała się. Zamknęła oczy. Ojciec nie był odpowiedzialny za jej decyzje. Owszem, była wówczas podatna na wpływy, ale koniec końców decyzja należała do niej. Jack zdołał wykiwać ich wszystkich.

To był jej bałagan i to ona musiała go uprzątnąć. Nie ojciec. Nie Jack. Zanim wzięli ślub, niejednokrotnie dochodziły do niej słuchy o jego reputacji, ale Jack skutecznie zabiegał o jej względy i w końcu dała mu się omamić. No, ale okazało się, że nie jest tym, kogo Bree i jej syn potrzebują.

Bree usłyszała chrzęst opon na żwirze. Wreszcie! Tabitha przyjechała.

Dzięki Bogu.

Złapała sweter i ruszyła w stronę drzwi.

– Chodź, kochanie. Przyjechała ciocia Tabitha. Musisz się zbierać.

– Idę! – usłyszała w odpowiedzi.

Otwierając drzwi, Bree poczuła, jak wzbiera w niej poczucie ulgi.

– Rany, mam przez ciebie kilka siwych włó... – Jej umysł zarejestrował to, co zobaczyły oczy, i Bree urwała w pół słowa.

Tabitha nie stała na schodach prowadzących na ganek domu Bree, bo jej samochód dopiero skręcał na podjazd.

Patrick zatrzymał się na najwyższym stopniu, zerknął w stronę auta Tabithy, a potem wbił w Bree pytające spojrzenie. Miał na sobie niebieską koszulę, która podkreślała porażający błękit jego oczu.

– Jestem za wcześnie, wiem, ale...

– Kim jesteś? – Peter prześlizgnął się pod ręką Bree i wyskoczył na ganek.

Serce Bree niemal przestało bić.

Patrick wpatrywał się w chłopca. Nie wiedział, jak ma na imię, ani ile ma lat, ale wystarczyło mu, że zobaczył jego oczy.

– Jestem Peter. – Pokazał na Bree. – Przyjechałeś, żeby zobaczyć się z moją mamą?

– Wejdź do środka, synku. – Bree z zaskoczeniem stwierdziła, że ma opanowany głos. Cała zeszywniała. Ledwo stała na nogach.

Peter spoglądał to na Patricka, to na Bree.

– Ale ciocia Tabitha już przyjechała.

Bree zdobyła się na krótkie, sztywne skinienie.

– Rzeczywiście. Weź swoje rzeczy.

Peter pobiegł do domu, znów przemykając mamie pod ręką, którą Bree twardo trzymała opartą na drzwiach, żeby nie upaść.

– Wszystko w porządku, Bree? – Tabitha zatrzymała się u stóp schodów.

Rzuciła okiem na Patricka. Rozterka, którą dało się wyczytać z jej oblicza, podpowiedziała Bree, że Tabitha nie może zdecydować się, czy stanąć w obronie siostry, czy złapać Petera i wziąć nogi na pas.

– Spóźnisz się na swój film – odezwała się Bree. – Wszystko jest okej.

Peter pognał obok mamy i wypadł na ganek.

– Cześć, mammo! Cześć, proszę pana!

Tabitha nie ruszyła się z miejsca. Wpatrywała się w Bree, nie wiedząc, co powinna zrobić.

Bree dała jej znak, że poradzi sobie sama. Nagle otępienie ustąpiło mieszaninie uczuć, których nawet nie potrafiłaby nazwać. Nie ufała własnemu głosowi do tego stopnia, że bała się cokolwiek powiedzieć.

Tabitha jeszcze dwa razy obejrzała się za siebie, zanim wsiadła wreszcie do samochodu i odjechała. Peter pomachał obiema rękami na pożegnanie. Zupełnie nie był świadomy, jak wielkie napięcie zawładnęło jego mamą.

Kiedy tylne światła auta Tabithy zniknęły jej z oczu, Bree odważyła się stawić czoła spojrzeniu, które przewiercało jej serce na wylot.

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

Twarz Patricka stężała. Bree nigdy wcześniej nie widziała u niego tak zimnego, wręcz lodowatego wzroku.

– Dopiero kiedy skończy liceum? – Nie ustępował.

Obawiała się tej chwili, od prawie ośmiu lat drżała na samą myśl o niej. Od dnia narodzin Petera rozmyślała o tym wszystkim, co mogła i powinna powiedzieć Patrickowi, gdy tylko nadejdzie właściwy moment.

To teraz nieważne.

Bez względu na to, co powie, nie sprawi, że z jego twarzy zniknie ten nieprzyjemny grymas... połączenie rozczarowania i drwiny.

To wcale nie był początek, lecz koniec...

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Patrick usiadł na najwyższym stopniu schodów. Stanie o własnych siłach nie wchodziło w grę. Miał syna.

Nie musiał pytać o wiek chłopca, ani o to, kto był jego ojcem.

Gdy tylko spojrział na Petera, zrozumiał, że patrzył w te same błękitne oczy, w które wpatrywał się każdego dnia w lustrze.

Peter. Jego syn miał na imię Peter.

Bree trzymała jego istnienie w tajemnicy przez...

Cholera. Przez osiem lat.

Bree usiadła obok niego. Przyciągnęła do siebie kolana i objęła je rękami.

– Przez cały czas myślałam, że tak będzie lepiej.

Patrick zamknął oczy. Jak mogła w ogóle pomyśleć, że tak będzie lepiej?

– Byłam młoda. My... – wzięła głęboki, drżący oddech. – Ty i ja rozstaliśmy się w gniewie. Mój ojciec nie chciał, żebym miała z tobą cokolwiek do czynienia.

– Od kiedy pozwalasz, żeby ojciec podejmował za ciebie decyzje?

Patrick wiedział, o czym mówi. Bree zawsze skarżyła się, że całe życie jej matki obracało się wokół męża. Nigdy nie pracowała poza domem, nie skończyła nawet szkoły. Młodo wyszła za mąż i od razu urodziła dzieci. Lekceważyła objawy raka zbyt długo, nie chcąc jechać do szpitala, oddalać się od rodziny, aż w końcu choroba zabrała jej życie.

– Byłam w ciąży – Bree wbiła wzrok w ulicę. – Bałam się.

Bała się? Patrick obrócił głowę i spojrział na jej profil.

– Bałaś się? Ty? Trudno mi w to uwierzyć.

– Nie wiem, co powinnam powiedzieć.

Bree odwróciła głowę w jego stronę. Oczy jej lśniły od przyływu emocji. Nie dopuszczał do siebie żadnych uczuć poza gniewem, który wyżerał mu wnętrze. Ukradła mu siedem lat życia jego syna.

Plotki na temat małżeństwa Bree, które usłyszał od Clayтона, raptownie uderzyły w serce Patricka z potworną siłą. Poczł przyływ wściekłości.

– Pozwoliłaś, żeby tknął go ten drań, za którego wysłałaś?

– Nigdy. Nigdy nie zostawiłam Petera sam na sam z Jackiem. A ja... – Zwilżyła językiem drzące usta, starając się zapanować nad emocjami. – Najpierw musiałby dać sobie radę ze mną.

Poprzez gniew dotarło do Patricka to, co opowiadał mu Clayton i nagle poczuł przyływ współczucia.

– Skrzywdził cię? – Nie musiał mówić nic więcej. Bree wiedziała, o co pytał.

Odwróciła głowę. Jeżeli miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, pozbył się ich w tej chwili.

– Tak. – Znow spozrzała mu w oczy. – Raz. Potem odeszłam.

Patrick próbował uczeić się myśli, że nie ma sensu bardziej się na nią złościć, bo i tak wycierpiała już swoje, ale świadomość tego, co robiła, nie przez miesiąc, nie rok, ani nawet dwa, ale przez siedem długich lat, znow doprowadziła go na skraj cierpliwości. Przegrał bitwę z kolejną falą gniewu.

– Jak mogłaś trzymać go z dala ode mnie?

– Powtarzałam sobie, że postępuję właściwie. Byłaś w Utah, a ja tutaj. Tak było... łatwiej.

– Co z oczu, to z serca, prawda?

– Może.

– Mieszkam w Kenner od sześciu lat, Bree. Jaką teraz znajdziesz wymówkę?

Zapadła długa cisza. Patrick doszedł w końcu do wniosku, że Bree nie zamierza odpowiedzieć, gdy nagle odezwała się:

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy po rozstaniu, miał roczek. Wtedy było... za późno. Nie chciałam mieszać mu w życiu.

Za późno. Patrick potrząsnął głową.

– Czy on chociaż wie, kim jestem?

Oczywiście, że nie. Przecież zwracał się do niego „proszę pana”.

Nie musiała odpowiadać na to pytanie. Patrick wiedział.

Wstał. Nie mógł dalej z nią rozmawiać. Musiał pomyśleć, oczyścić umysł i rozsądnie wszystko przeanalizować.

– Dokończymy... później. Muszę to przemyśleć.

Ruszył do auta, nie oglądając się za siebie. Gdyby odezwał się jeszcze słowem, byłyby to słowa, których by pożałował.

– Patrick!

Zaczerpnął powietrza i spojrzał na nią.

– Co?

– Dyżurny właśnie dostał zgłoszenie, że coś się dzieje w Saloonie. Chodzi o Shermana Wattsa.

To oznaczało, że Watts był pijany. A jeśli był pijany, to być może zacznie mówić.

– Jedziemy.

Bree ruszyła biegiem do domu i za chwilę wybiegła z powrotem. Po drodze zapięła na biodrach pas z wyposażeniem. Wskoczyła do SUV-a.

Patrick włączył silnik i wrzucił wsteczny.

– Dla twojej wiadomości – oznajmił. – Nie pozwolę, żebyś dłużej budowała mur pomiędzy mną a moim synem.

Saloon w Kenner City urządzone tak, by przypominał prawdziwą knajpę rodem z Dzikiego Zachodu. Nie było to miejsce, do którego zwykł chadzać Sherman Watts. Z tego, co Bree pamiętała – kilka razy w przeszłości zdarzyło się, że musiała pomóc kolegom go zapuszkować – Watts zasadniczo preferował obskurne, podejrzane speluny.

Patrick zaparkował naprzeciwko głównego wejścia, wokół którego kłębił się tłum gości.

– No, wreszcie gliny przyjechały. Najwyższy czas – rzucił ktoś na tyle głośno, by uwaga dotarła do uszu Bree.

Patrick zawahał się chwilę, po czym pchnął podwójne drzwi.

– Tylko bez brawury – ostrzegł.

Bree nic na to nie odpowiedziała, po prostu weszła do środka.

Goście, którzy pozostali w lokalu, zbili się w gromadkę w rogu i żywo dyskutowali nad przebiegiem zdarzeń.

Jedyny wykidajło w całej knajpie – ubrany w czarny t-shirt, który miał go wyróżniać z tłumu gości – przyparł Wattsa do baru.

– Mam gdzieś, ilu gliniarzy do mnie wezwiecie – wrzeszczał Watts do ochroniarza. – Nie ruszę się stąd, dopóki nie dostanę mojego drinka!

– Panie Watts, barman zamknął pana rachunek. Może pan albo zadzwonić po taksówkę, która zabierze pana do domu, albo zabrać się z policjantami.

Patrick podszedł do Wattsa i oparł się o bar.

– Być może ten pan uspokoi się, jeżeli jednak dostanie swojego drinka.

Ochroniarz spojrzał na Patricka, jakby ten stracił rozum.

– Mówi pan serio, szeryfie? Patrick usiadł na najbliższym stołku.

– Jak najbardziej. Zajmę się tym, żeby pan Watts wrócił bezpiecznie do domu.

Wykidajło wzruszył ramionami i odszedł na bok. Watts oparł się chwiejnie o bar i uderzył pięścią w kontuar.

– Daj mi Jacka Danielsa!

Bree stała obok i przeglądała się całej scenie.

Skrzyżowała ręce na piersiach i rzuciła gniewne spojrzenie Wattsowi.

– Widzę, że poprawił się panu gust, panie Watts. Od kiedy to pija pan trunki z wyższej półki?

Barman głośno postawił szklanekę przed Wattsem. Mężczyzna podniósł ją, uniósł wysoko, jakby wznosił toast za Bree, i odparł:

– Tak jest. Pnę się do góry.

Bree gardziła takimi mętami. Uważała, że należałoby Wattsa zamknąć w pace i wyrzucić klucz.

– To może wyświadczy nam pan wszystkim przysługę i wyniesie się gdzieś, nie wiem, do Montany lub coś w tym stylu?

Watts roześmiał się.

– Może tak zrobię. To miejsce schodzi na psy. – Posłał jej szyderczy uśmiech. – Wokół mnie same suki.

– Licz się ze słowami, Watts – ostrzegł Patrick.

Wcześniej, kiedy przesłuchiwali go w przyczepie, Bree pozwalała, żeby ten facet ją obrażał, ale dziś wieczorem, wzięwszy pod uwagę, przez co już zdążyła przejść, nie zamierzała dawać się bezkarnie drażnić.

– To co, pewnie według pana Julie Grainger też była suką – rzuciła.

Nienawidziła tego słowa. I nienawidziła szumowin pokroju Wattsa, które notorycznie popełniały te same drobne wykroczenia, aż w końcu zaczynało je to nudzić, więc przerzucały się na coś znacznie gorszego. Jak gwałt albo morderstwo.

Watts w jednej chwili odzyskał jasność umysłu.

– Nie wiem, o czym pani mówi, pani detektyw. Powiedziałem wam już, że jej nie znałem.

– Mamy świadka, który twierdzi, że jednak ją znałeś – odparował Patrick.

– Na kilka dni przed jej morderstwem odbyłeś z nią burzliwą dyskusję. Jesteś wplątany w tę sprawę.

Watts potrząsnął głową po pijanemu, jakby raptownie przypomniał sobie, ile wypił.

– Burzliwą dyskusję to ja bym chciał odbyć z tą twoją pomocnicą. – Pokazał kciukiem w stronę Bree. – Zaliczyłeś ją pan już, szeryfie?

To, co nastąpiło w następnej sekundzie, zaskoczyło Bree do tego stopnia, że mogła jedynie zszokowana i przerażona przyglądać się sytuacji.

Patrick zeskoczył ze stołka, chwycił Wattsa za kłapy i gwałtownym ruchem przyciągnął do siebie.

– A może posadzę twoją żalną dupę za morderstwo, co? W pierdłu poznasz mnóstwo nowych przyjaciół.

W tym momencie do Saloonu wpadło dwóch funkcjonariuszy policji z Kenner City. Na szczęście dla Patricka. Bree była pewna, że sekundy dzieliły go od przekroczenia linii, której jako funkcjonariuszowi nie wolno mu było przekroczyć.

– Zapuszkujcie tego śmiecia za pijaństwo i zakłócanie porządku. – Patrick poinstruował jednego z funkcjonariuszy, a Wattsa pchnął w stronę

drugiego. Rzucił w stronę barmana spojrzenie: – Chyba jednak nie wypije tego drinka.

Barman wzruszył ramionami i zabrał szklanę.

Kiedy policjant zakuwał Watta w kajdanki, ten śmiał się w głos.

– Trzeba było mi przyłożyć, póki miał pan okazję, szeryfie. Widać, że nie masz pan jaj.

– Rusz się, Watts. – Policjant pchnął go przed siebie.

Drugi funkcjonariusz zaczął odczytywać Wattersowi jego prawa.

– Znam swoje prawa – wybełkotał pijaczyna. Kiedy przechodził obok Bree, Watts zwolnił kroku i rzucił z obleśnym uśmiechem:

– Przyjdź do mnie w odwiedziny, maleńka. Lubię squaw.

Policjanci wyprowadzili go z Saloonu, a Watts nie przestawał śmiać się jak idiota. Goście patrzyli za nim, dopóki nie zniknął im z oczu, a potem wrócili na swoje miejsca.

Bree wyszła z knajpy. Czowała się wyczerpana emocjonalnie. Pragnęła jedynie wrócić do domu i zapomnieć o całym tym żalu, wściekłości i smutku, których doświadczyła zdecydowanie zbyt wiele razy, jak na jeden dzień.

Wyjęła komórkę i zadzwoniła do swojej siostry. Powiedziała jej, gdzie jest, i zakończyła rozmowę. Ostatnie, na co miała teraz ochotę, to powrót razem z Patrickiem.

– Mogę cię odwieźć. – Zatrzymał się obok niej. Odwróciła się do niego i spojrzała mu prosto

w oczy.

– Nie. Nie możesz. Obydwoje musimy pomyśleć. Nie mam dziś do tego głowy.

– Nie zostawię cię tutaj.

– Przecież to miejsce publiczne, Patrick. Pełno tu światła i ludzi. Siostra przyjedzie po mnie za piętnaście minut. Po prostu jedź już do domu i zostaw mnie samą.

Potrafiła doskonale o siebie zadbać. Wzbierała w niej wściekłość. Chciała, żeby ta noc wreszcie się skończyła.

Patrick wsiadł do swojego SUV-a, ale nie odjechał, dopóki nie pojawił się samochód Tabithy. Bree usiadła na miejscu dla pasażera.

– Wszystko okej?

Bree nie potrafiła odpowiedzieć. Gdyby się odezwała, gdyby choć spojrzała na Tabithę, wybuchłaby płaczem.

Bo nic nie było okej.

Patrick zaparkował auto przed wejściem do Morning Ray Cafe. Nie mógł pojechać do domu. Wydawało mu się, że da radę, ale teraz wiedział już, że nic z tego.

Musiał z kimś porozmawiać. Jediną osobą, która mogła go zrozumieć, była matka.

Nora Martinez zajmowała mieszkanie nad restauracją, która – zgodnie z tym, co powtarzała Patrickowi, od kiedy był małym chłopcem – nadawała sens jej życiu. Po śmierci męża potrzebowała jakiegoś zajęcia. Jej jedyny syn całe dni spędzał w szkole i nie musiała już poświęcać mu aż tak wiele czasu i uwagi.

Kiedy Patrick wracał do domu po szkole, witała go gorącym uściskiem i kuszącym aromatem domowego jedzenia i pysznych deserów. W przeszłości pracowała ciężko na to, by być dobrą matką – i zapewnić dziecku namiastkę ojcostwa.

Ona go zrozumie i wyjaśni mu, co właściwie dzieje się w jego sercu.

Nigdy wcześniej nie doświadczył tak wielkiego bólu, który dosłownie rozrywał mu duszę. Oczami wyobraźni wciąż widział tego małego chłopca z wielkimi błękitnymi oczami.

Swojego synka.

Wysiadł z wozu i powoli ruszył w stronę drzwi. Czuł potworne zmęczenie – nie fizyczne, lecz emocjonalne.

Nacisnął dzwonek, którym dostawcy po godzinach otwarcia restauracji powiadamiąli Nore, że przywieźli towar. Patrick miał co prawda własny klucz, ale nie chciał przestraszyć matki.

Minęła minuta albo dwie i już dało się słyszeć odgłos jej kroków, gdy ubrana w podomkę szurała kapciami po wyłożonej płytkami podłodze. Przez cały dzień w pocie czoła harowała na to, by być doskonałą szefową i gospodynią, zaś noce traktowała jako oazę spokoju i czas na oderwanie się od hałasów i tłumów. Uwielbiała swoją pracę, ale od czasu do czasu potrzebowała również wyciszenia.

Wreszcie ukazała się jej twarz, na której malowała się troska. Nora włożyła klucz do zamka przeszklonych drzwi i otworzyła je.

– Coś się stało, synku?

Wszystko się stało.

Nie był już małym chłopcem, lecz dorosłym mężczyzną. Płacz nie wchodził w rachubę, chociaż Patrick czuł, że ma na to wielką ochotę.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Dobrze, wejdź. – Złapała go za ramię i wciągnęła do środka. – Chcesz kawy? – Zamknęła drzwi na klucz i odwróciła się do niego. – A może coś do jedzenia?

Nie był przekonany, czy mógłby przełknąć choćby łyk albo wypić nawet łyk czegokolwiek. Chciał po prostu, żeby go wysłuchała i pomogła zrozumieć sens dzisiejszych... rewelacji.

Potrząsnął głową.

– Chodź na górę. Wyłączę odtwarzacz. Kiedy indziej obejrzę sobie moje seriale.

Uśmiechnął się. Jak daleko sięgał pamięcią, jego matka zawsze była uzależniona od oper mydlanych.

Kiedy znaleźli się na piętrze, Nora usadowiła się wygodnie na starej sofie, którą posiadała od niepamiętnych czasów.

– Usiądź, Patrick. – Zmarszczyła brwi. – Nie może być aż tak źle.

Opadł na krzesło na wprost matki.

– Nie jest... dobrze. – Pomyślał, że nie powinno to tak zabrzmieć. Przecież wiadomość, że ma syna nie była zła... ona po prostu była... inna, ani dobra, ani zła.

– Chodzi o Bree, prawda?

Matka zawsze potrafiła czytać w nim jak w otwartej książce.

– Tak, chodzi o Bree.

Nora podwinęła pod siebie nogi i zapadła jeszcze głębiej w poduchy.

– Zaczynij od początku. Wiesz, że nie znoszę, kiedy coś pomijasz.

Gdzie dokładnie znajdował się początek? Ich związek zakończył się osiem lat temu. Ale o tym przecież Nora wiedziała. Nie ma sensu cofać się w przeszłość aż tak bardzo.

– Kiedy rozstaliśmy się z Bree, ona była w ciąży.

W oczach Nory pojawiło się zaskoczenie.

– Och.

– Właśnie. Och.

Podrapał się po policzku i pomyślał, że bardzo chciałby wiedzieć, jak powinien się z tym czuć. Czy ma być wściekły? Czy ma być mu niedobrze? Czy powinno wziąć go obrzydzenie? Cokolwiek byłoby lepsze niż ten kocioł w głowie, niż emocje, które bawiły się w przeciąganie liny w sercu.

– Oczywiście nie powiedziała ci o tym – domyśliła się Nora.

Pokiwał przeczącą głową.

– Dowiedziałem się dziś wieczorem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem mojego siedmioletniego syna.

Nabrała powietrza.

– On... on wygląda dokładnie tak samo jak ja, kiedy byłem dzieckiem. – Patrick wpatrywał się w swoje dłonie. – Ma takie same włosy. Takie same oczy. Wszystko.

– Czy Bree wyjaśniła ci, dlaczego trzymała to w tajemnicy?

Nieważne, dlaczego. To był błąd, bez względu na przyczynę.

– Powiedziała, że wtedy wydawało jej się, że postępuje słusznie. Jej ojciec nie chciał, żeby się ze mną zadawała. Pewnie dlatego, że nie jestem Ute. A ona robiła to, co jej kazał.

Nora trawiła tę informację przez kilka chwil.

– A ty w to nie wierzysz?

Położył głowę na oparciu krzesła.

– Od kiedy ją znam, Bree zawsze była niezależną kobietą. Nie pozwalała sobą pomiatać, a już na pewno nie pozwalała nikomu mówić sobie, jak ma żyć.

– Ale była młoda – wtrąciła Nora. – Była w ciąży. I bała się.

To samo powiedziała Bree.

Patricka nie przekonywało takie tłumaczenie.

– To najodważniejsza kobieta, jaką znam. – Spojrzał matce w oczy. – Oprócz ciebie. To był z jej strony wykręt. Po prostu nie chciała mi powiedzieć. Nie wiem, żeby mnie ukarać, czy jak?

Nora wzruszyła ramionami.

– Być może po części tak. Ale posłuchaj, Patrick. Nie wiesz, jak to jest obudzić się pewnego dnia i dowiedzieć, że nosisz w sobie nowe życie. Zalewa cię fala przytłaczającej niecierpliwości i ekscytacji, a przede wszystkim strachu. Każda decyzja, jaką podejmujesz, każdy twój ruch, a nawet to, co jesz i pijesz, ma wpływ na maleńkie życie, które w tobie rośnie. To uczucie, które uczy pokory, kochanie. Jestem pewna, że Bree była przerażona. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że wasz związek rozpadł się w nieciekawych okolicznościach.

Jak Nora mogła stawać po stronie Bree?

– Dobrze, a więc początkowo bała się. Ale rok później? Dwa lata? Mamo, przecież minęło ponad siedem lat. Zresztą nadal o niczym bym nie wiedział, gdyby nie to, że dzisiaj przyjechałem po nią za wcześnie...

Twarz Nory złagodniała.

– Jak ma na imię?

Patrick zamknął oczy i przywołał obraz swojego synka.

– Peter.

Nora głośno powtórzyła to imię.

– Podoba mi się. – Spojrzała Patrickowi w oczy. – Pozostaje ci tylko jedna rzecz do zrobienia. Koniecznie musisz porozmawiać z Bree.

Patrick zamienił się w słuch.

– Musicie dogadać się z Bree. Najważniejsze jest dobro chłopca. On potrzebuje was obydwójga, a wy zasługujecie na to, by być częścią jego życia. Dlatego za wszelką cenę musicie dojść do porozumienia.

Też mi pomoc.

– Niby jak mam to zrobić?

– Cóż, to proste. Moja mama zawsze w takich chwilach mawiała...

Zaczyna się. Znów te porady babci.

– Mamo...

– Kiedy idziesz drogą i nagle widzisz mularza, który utknął w przydrożnym rowie, nie pytasz, dlaczego mularz tam siedzi, ale po prostu pomagasz mu się wydostać.

– A co to ma wspólnego w fakcie, że jestem ojcem i nikt nie raczył mnie o tym poinformować? – Potrzebowałem oczyścić umysł, a nie żeby ktoś dodatkowo mu w nim mącił.

– Patrick, musisz pomóc mularzowi się wydostać. Pamiętaj: nie jest ważne, z jakiego powodu mularz znalazł się w rowie. Po prostu pomóż mu wyjść. Zastanawianie się nad przyczyną stanu rzeczy jest tylko marnotrawstwem czasu i sił. Ludzie zwykle tracą zbyt wiele czasu, próbując znaleźć odpowiedź na pytanie: „Dlaczego?”. Dlaczego jestem zbyt niski albo zbyt gruby? Dlaczego ceny są takie wysokie? Dlaczego nie zarabiam dość pieniędzy? Dlaczego to, tamto i siamto? Nie marnuj czasu. Pomóż mularzowi wydostać się, synu!

W jednej chwili Patrick pojął, co musi zrobić – jakby magicznym sposobem wszystkie myśli ustawiły się karnie w szeregu i jak jeden mąż wskoczyły na właściwe miejsce w jego umyśle. Uśmiechnął się lekko.

– Jesteś najmądrzejszą kobietą, jaką znam.

– Nie jestem mądra, synu. Po prostu przeżyłam więcej lat niż ty. – Nora położyła dłoń na piersi. – Mam wnuka.

A Patrick był ojcem.

Ojcem, który pragnie być częścią życia swojego synka. Jedyne, co musiał teraz zrobić, to pomóc mułowi wydostać się z tego nieszczęsnego przydrożnego rowu.

Zastanowił się nad swoją reakcją, gdy zobaczył Petera. Pomyślał o tym, jak bardzo Bree musiała czuć się przestraszona i bezradna, gdy przed laty podejmowała taką, a nie inną decyzję.

Nieważne, dlaczego. Liczył się tylko jego syn.

I Bree.

Uda im się.

Jutro rano zadzwoni do niej i zrobi pierwszy krok. Dziś zostawi ją sam na sam z myślami. A potem wspólnie zastanowią się, co dalej.

Obiecał sobie, że duma nie przeszkodzi mu zrobić tego, co zrobić należało.

Patrick był mężczyzną honoru i przyznał, że to, co wydarzyło się między nimi osiem lat temu, było w równym stopniu jego, jak i jej winą. Nie powtórzy tego błędu i nie da jej powodu, by znów od niego uciekła.

Nawet gdyby okazało się, że pozostaną tylko przyjaciółmi, to i tak na pierwszym miejscu powinien być dla nich Peter.

Miał rację, gdy wydawało mu się, że powinien wszystko naprawić.

Jutro zrobi pierwszy krok.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bree stała przy kuchennym zlewie. Kawa, którą trzymała w ręku, powoli stygła.

Patrzyła przed siebie, choć nie skupiała wzroku na niczym konkretnym: huśtawka Petera za domem, stół ogrodowy, który latem tak bardzo się przydawał...

Za kilka minut będzie musiała obudzić synka i wyprawić go do szkoły. Ale na razie stała bez ruchu, patrzyła przed siebie tępym wzrokiem i czuła się wykończona.

Nie potrafiła zasnąć. Tabitha przywiozła Petera około wpół do jedenastej. Chciała porozmawiać z siostrą i jakoś ją pocieszyć, ale Bree nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Jej uczucia opanował chaos.

W końcu Tabitha niechętnie postanowiła pojechać do domu, lecz zanim wyszła, dała Bree jeszcze jedną radę: „Pamiętaj, po każdej burzy przychodzi spokój”.

Ale tym razem Bree wcale nie była tego taka pewna.

Czuła się, jakby jej życie nawiedziło potężne trzęsienie ziemi, które pozostawiło po sobie ogromną wyrwę i przewróciło wszystko do góry nogami. Przez lata spodziewała się, że ta chwila kiedyś przyjdzie, a gdy wreszcie tak się stało, Bree mimo wszystko nie była na nią gotowa.

Patrick był wściekły i czuł się zraniony. Rozumiała to. Nie zamierzał pozwolić jej usunąć synka ze swojego życia. To również rozumiała. Ale nie dawało jej spokoju, że dowiedział się o Peterze w ten, a nie inny sposób. Wiedziała, że gdyby zdecydowali się do siebie wrócić, ich związek byłby pełen

napięcia – przez to, że popełniła błąd, że oszukiwała go przez tyle lat. Patrick już nigdy jej nie zaufa. Nie mogła mieć mu tego za złe.

Nie było mowy, żeby im się powiodło. Strach i niepewność jutra skłoniły ją w przeszłości do podjęcia pierwszej błędnej decyzji. Egoizm i poczucie, że zapędziła się w mistyfikacji zbyt daleko, żeby naprawić to, co zepsuła, sprawiły, że nadal podejmowała jedną złą decyzję za drugą.

A teraz każde z nich miało zapłacić za to cenę. Nagle zawibrowała jej komórka. Bree szybkim ruchem wyjęła ją z kabury. Dyżurka.

– Detektyw Hunter.

– Pani detektyw, dostaliśmy telefon z biura szeryfa. Szeryf Martinez prosi, aby zjawiła się pani u niego najszybciej, jak to możliwe.

Boże, popełniono kolejne morderstwo? Pierwszą myślą Bree było to, że coś stało się agentowi Benowi Parrishowi. Wydawało się, że u każdego z pracowników Agencji znajdował się wysoko na liście podejrzanych. Bree pomyślała, że jeżeli jednak Parrish wplątał się w jakiś układ z negatywnymi bohaterami śledztwa, to koledzy z FBI byli najmniejszym z jego zmartwień.

– Gdzie? – Bree sięgnęła po ołówek i notatnik, po czym zapisała instrukcje od operatora. – Dzięki. Już jadę.

Bree zamyśliła się nad lokalizacją, którą podał jej dyżurny. Najprawdopodobniej chodziło o odludny zakątek kanionu. Nagle stanęły jej przed oczami sceny z odludnego miejsca, w którym znaleziono ciało agentki Grainger. Oby tylko nie kolejne morderstwo.

Schowała telefon i spojrzała na zegarek – piętnaście po szóstej rano. Trudno, będzie musiała obudzić Petera kilka minut wcześniej niż zwykle. Tabitha albo Layla zawiozą go do szkoły. Bree nie wiedziała, co zrobiłaby bez

pomocy rodziny. Nie potrafiła pojąć, jakim cudem udaje się przetrwać samotnym matkom pozbawionym pomocy znajomych i rodziny.

Patrick nie prosiłby o spotkanie w takim miejscu i o tej porze, gdyby nie było to coś ważnego. Pomyślała, że nie chciał z nią rozmawiać i dlatego odezwał się do niej za pośrednictwem policyjnej dyżurki. Nie miała mu tego za złe. Ona miała swoje powody, aby podjąć kiedyś tę nieszczęsną decyzję, a teraz on miał powody, by reagować tak, a nie inaczej. Obydwoje byli tylko ludźmi i nie pozostawało im nic innego, jak tylko pogodzić się ze swoimi uczuciami.

Bree zadzwoniła do siostry, która obiecała, że zjawi się za piętnaście minut. Dzięki Bogu, że Tabitha zawsze była rannym ptaszkiem.

Bree odstawiła kubek z kawą, odnalazła w sobie zagubioną odwagę i odsunęła na bok całą niepewność i nie dające jej spokoju obawy. Czas przestać się przejmować, uzalać nad sobą i stawić czoła rzeczywistości. W końcu miała pracę, którą należało wykonać, i życie, które bez względu na wszystko nadal musiało biec swoim torem.

Właśnie, życie. Agentka Grainger pożegnała się ze swoim o wiele za wcześnie. Była przecież taka młoda. Bree nie wiedziała, co ją czeka w przyszłości, ale miała nadzieję, że z czasem uporządkuje sprawy z Patrickiem.

A tymczasem powinna skupić się na tu i teraz: trzeba obudzić Petera. Bree nie lubiła wychodzić z domu, nie przytuliwszy synka i nie powiedziawszy mu, że go kocha.

Przez krótką chwilę stała w drzwiach jego sypialni i przyglądała mu się, jak spał. Był taki ufny, taki spokojny. Ale jego mały świat miał się niedługo zmienić – na lepsze. Pragnął przecież, żeby w jego życiu pojawił się tata. No, to będzie miał dobrego ojca.

Patrick być może nigdy nie wybaczy Bree, ale z pewnością będzie doskonałym ojcem.

Co tylko stanowiło kolejny dowód na to, że w przeszłości podjęła jednak błędną decyzję.

Wystarczy. Koniec patrzenia za siebie, czas spojrzeć w przyszłość.

– Peter... – Potrząsnęła nim delikatnie. – Czas zbierać się do szkoły.

Otworzył oczy i zmarszczył brwi.

– Jeszcze nie.

– Owszem, już – napomniała go Bree. – Ciocia Tabitha niedługo po ciebie przyjedzie. Musisz być gotowy.

Peter znowu zmarszczył brwi.

– Musisz iść wcześniej do pracy?

Bree skinęła głową.

– Mam spotkanie z szeryfem, na które nie mogę się spóźnić.

– Okej. – Peter wstał i poczłapał do łazienki.

Bree tymczasem poszła do kuchni, żeby przygotować synkowi jego ulubione śniadanie, czyli grzanki i płatki. Peter lubił samodzielnie wybierać sobie ubranie z szafy. Zupełnie jak jego ojciec, miał wyrobione zdanie, co mu się podoba, a co nie.

Pięć minut później zjawiała się Tabitha. Bree już miała rzucić jej „dzień dobry” i pobiec do pracy, ale siostra uprzedziła ją:

– Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Bree rzuciła okiem na zegarek.

– Tylko szybko. Naprawdę muszę już iść.

– Wczoraj, kiedy Layla odebrała Petera ze szkoły, obydwójce przyjechali do ciebie do domu na parę godzin, bo Peter musiał popracować nad projektem do szkoły.

Termin ukończenia projektu upływał w przyszłym tygodniu. Chłopiec musiał przygotować całość absolutnie samodzielnie, bez najmniejszej pomocy ze strony rodziców. Bree nie miała pojęcia, czym dokładnie Peter się zajmował, kiedy siedział przed komputerem, ale często zapewniał ją, że już prawie skończył.

– Czy coś się stało? – Bree spojrzała Tabicie w oczy i nie spodobało jej się to, co z nich wyczytała.

Bree miała wrażenie, że jej siostra przejmuje na siebie wszystkie jej problemy, a to nie było fair. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda jej się odpłacić Tabicie za pomoc, jaką od niej uzyskała.

– W pewnym sensie. Layla mówi, że zdarzało się to już kilka razy wcześniej – Tabitha wzruszyła ramionami. – Chyba w zeszłym tygodniu. Ale wczoraj było inaczej. W ciągu dwóch godzin trzy razy zadzwonił telefon.

– Co to znaczy? Kto dzwonił?

– O to właśnie chodzi. Ktokolwiek to był, rozłączał się, gdy tylko Layla powiedziała: „Słucham?”. Dziwne. Wcześniej nic mi o tym nie mówiła.

– Zajmę się tym. – Instykt Bree ostrzegł ją, że chodzi o tę samą osobę, która ją obserwowowała, i która namalowała ostrzeżenie na jej SUV-ie. Nie mogła dłużej lekceważyć sytuacji. Czas zacząć traktować ją poważnie.

– Jeszcze jedno, Bree.

– Tabitha, kochana, naprawdę muszę pędzić.

– Wiem, wiem. – Tabitha położyła dłoń na ramieniu Bree. – Pamiętaj, że Patrick to dobry człowiek. Naprawdę dobry człowiek. Kiedy minie mu gniew, pogodzi się ze wszystkimi decyzjami, jakie podjęłaś.

Bree nie pozostawało nic więcej, jak tylko mieć nadzieję, że tak się stanie.

– Poza tym – Tabitha uśmiechnęła się. – Dla Petera posiadanie taty, który jest szeryfem, będzie emocjonującym przeżyciem. Wiesz, dla chłopca w jego wieku to fajna sprawa.

– Racja. – Bree uścisnęła siostrę. – Okej, lecę. Nie mogę się spóźnić, bo szeryf będzie na mnie wściekły. Nie chcemy przecież dolewać oliwy do ognia, prawda?

– Idź już, idź – rzuciła jej na drogę Tabitha. Bree pożegnała się z synkiem i wyszła na ganek.

Nacisnęła przycisk na pilocie od kluczyków i doszła do wniosku, że zanim pojedzie, mogłaby jeszcze wskoczyć na chwilę do łazienki. W końcu w kanionie toalety nie uświadczysz.

Wróciła do domu, załatwiła potrzebę, umyła ręce i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Była teraz spokojniejsza. Powinno się udać. Patrick to nie potwór, ale porządny gość. Facet, którego kiedyś kochała... a może nadal kocha do pewnego stopnia.

W końcu wszystko się ułoży.

Bree przemaszerowała przez salon, raz jeszcze rzuciła wszystkim: „Na razie” i wyszła.

Patrick już na nią czeka. A wraz z nim pewnie kolejne ciało.

Patrick kolejny raz przemierzył odległość dzielącą jego SUV-a od drogi wjazdowej do kanionu.

Dlaczego Bree chciała spotkać się z nim w takim miejscu?

Nic nie wskazywało na to, by popełniono tu jakieś przestępstwo. Nie widać było policyjnych aut. Ani śladu po Bree. Żadnej ofiary.

Pewne jak diabli, że jeżeli chciała z nim tutaj porozmawiać, to na pewno nikt im w tym nie przeszkodzi. Oparł dłonie na biodrach i rozejrzył się uważnie dokoła. Milczący kanion gwarantował im absolutną prywatność.

To musiała być jakaś pomyłka. Patrick wyjął komórkę z kieszeni kurtki. W kanionie panował na tyle nieprzyjemny chłód, że nikt nie chciałby spotykać się tutaj w sprawach innych niż zawodowe.

Zdażył wybrać numer telefonu Bree i usłyszeć, że połączenie nie może zostać zrealizowane, ponieważ jego aparat znajduje się poza zasięgiem sieci, kiedy nagle w oddali ujrzął powiększającą się chmurę pyłu.

Zaraz okaże się, co jest grane. Patrick schował telefon i zaczął czekać, aż Bree dotrze na miejsce i zaparkuje.

Wysiadła ze swojego samochodu i ich spojrzenia spotkały się.

– Co się dzieje? – zapytała. Zmarszczył brwi.

– Właśnie miałem zapytać cię o to samo. Bree zatrzymała się kilka kroków od niego i obróciła dokoła, przeczesując wzrokiem okolicę.

– Co to ma znaczyć? – spojrzała na niego. – Przecież prosiłeś, żebym się tutaj z tobą spotkała.

Zaraz, zaraz.

– Nie. To ty prosiłaś o spotkanie tutaj. Co tu się, do diabła, wyprawiało?

Patrick ponownie rozejrzył się dokoła. Na szczytach skalistych klifów otaczających kanion utrzymywał się śnieg. Tu i ówdzie udało się przetrwać kępkom trawy. Widać było kilka starych, opuszczonych szybów kopalni. Zabite deskami wejście jednego z nich ktoś całe zamalował farbą w spreju i w tym ogrodzeniu broniącym dostępu do szybu brakowało kilku sztachet.

– Myślę, że ktoś nas wrabia.

– Ale kto?

Patrick potarł dłonią o brodę. Trybiki w jego głowie obracały się z najwyższą prędkością.

– Myślę, że tu nie chodzi o sprawę Grainger. Nie siedzimy w tym śledztwie dość głęboko.

Sherman Watts. Przeszło mu przez myśl, że może ten pijaczyna próbuje wyrównać z nimi rachunki.

Nie, to raczej nie on. Ta gnida pewnie jeszcze siedzi w areszcie. No, chyba że uwolnił go któryś z jego kumpli. Najśmieszniejsze było to, że Watts w zasadzie nie miał przyjaciół, takich prawdziwych przyjaciół. Miał za to mnóstwo kumpli od picia i hazardu. Z pewnością żaden z nich nie dysponował taką gotówką, żeby móc wpłacić kaucję za Wattsa.

– Dzwonię na dyżurkę. Może dowiem się, o co tu chodzi – powiedziała Bree, sięgając po telefon.

– Nie ma zasięgu – zaznaczył Patrick.

Nagle otworzyły się tylne drzwi samochodu Bree. W ułamku sekundy dłoń Patricka powędrowała na kolbę pistoletu.

Bree odwróciła się napięcie, również sięgając po broń.

– Gdzie jesteśmy? – Peter zeskoczył z tylnego siedzenia. – Nigdy tu nie byłem.

– Peter! – Bree podbiegła do synka i kucnęła przed nim. – Co ty tu robisz? Dlaczego schowałeś się w wozie? Przecież ciocia Tabitha będzie się o ciebie martwić. Musisz iść do szkoły.

Bree wyprostowała się i sięgnęła po komórkę. Wydała z siebie gniewne westchnienie, kiedy zobaczyła, że Patrick miał rację: brak zasięgu. Potrząsnęła głową.

– Tabitha umrze ze strachu.

Patrick przyjrzał się chłopcu i serce zaczęło mu mocniej bić. Dzieciak wyglądał jak wierna kopia jego samego, gdy miał siedem lat.

– Peter – Bree potrząsnęła głową. – Nie powinieneś był uciekać cioci Tabicie. – Wpatrywała się w swój telefon, jakby zapomniała, co powinna teraz zrobić. – Ja... muszę zadzwonić na dyżurkę i dowiedzieć, się, co jest grane.

Ale przecież nie było zasięgu. Cholera. Patrick patrzył to na nią, to na Petera. Nie mógł oderwać od niego wzroku. On był...

– Czy jesteś moim tatą?

Siła uderzenia tego prostego pytania była tak wielka, że Patrickowi zabrakło tchu w piersiach. Przeniósł spojrzenie na Bree. Niby jak miał odpowiedzieć?

Bree wyglądała na tak samo zbitą z tropu i przerażoną.

Wtem rozległ się trzask, a potem przez kanion przetoczyło się echo dobrze znanego im dźwięku Wystrzał ze strzelby. – Padnij!

Bree momentalnie położyła się na ziemi, chroniąc synka swoim ciałem.

Patrick uderzył z impetem w pokryty pyłem grunt.

Kolejny strzał wzbił w powietrze tuman kurzu niewiele ponad pół metra od jego głowy.

Patrick miał nadzieję, że pierwszy wystrzał był po prostu zbiegiem okoliczności, ale nic z tego.

Ktoś ewidentnie miał ich na celowniku.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Bree spróbowała przetoczyć się w stronę SUV-a, ciągnąc ze sobą Petera, ale kolejny pocisk wbił się w karoserię na wysokości drzwi.

– Mamusiu! – jęknął Peter.

Do diabła. Serce waliło jej tak, jakby za chwilę miało rozsadzić klatkę piersiową. Musiała coś zrobić.

– Biegnij do skał! – krzyknął Patrick. – Będę cię osłaniał.

– Chodź, kochanie – Bree ponagliła synka. Gardło miała tak wyschnięte, że ledwo mogła mówić. – Musimy się przeczołgać.

Bree najpierw upewniła się, że chroni Petera własnym ciałem, a potem na czworakach zaczęła powoli pełznąć w kierunku wzniesienia. Patrick wymierzył w kierunku, z którego dochodziły strzały. Odgłos wystrzałów długo odbijał się od kamiennych ścian, zanim zniknął gdzieś w oddali.

Boże drogi, musiała się pospieszyć. Napastnik musiał przeładować broń...

Bree dotarła do pierwszego skupiska głazów, jakie napotkała po drodze.

Dzięki Bogu.

Objęła Petera mocno i przycupnęła za skałą. Nastąpiła sekunda, nie, dwie sekundy ciszy, w czasie których jej żyły zalała kolejna gorąca fala adrenaliny.

Patrick. Przestał strzelać, bo musiał przeładować broń.

Charakterystyczny dźwięk wystrzałów ze strzelby przeciął powietrze.

Nie mogła przecież tak po prostu tu siedzieć. Musiała coś zrobić.

Po pierwsze: trzeba wezwać pomoc. Instynktownie sięgnęła po telefon. Na próżno.

– Do ciężkiej cholery!

Okej, okej, myśleć, myśleć. Najpierw musi upewnić się, że Peter jest całkowicie bezpieczny, a potem udzieli wsparcia Patrickowi. Strzały ze służbowej broni Patricka – pistoletu kaliber 40 milimetrów – utwierdziły ją w przekonaniu, że nie może siedzieć beczynn timer.

Bree zbadała teren wokół kryjówki. Znajdowała się u stóp wzniesienia, same szczeliny i pęknięcia. Zaraz. Stary szyb kopalni. Zabito co prawda wejście, ale w ogrodzeniu brakowało paru desek. Oce niła odległość. Mogło im się udać.

– Peter, posłuchaj mnie uważnie.

Chłopiec łkał po cichu, a jego ciałem wstrząsały dreszcze.

– W porządku, kochanie. Za chwilę będziesz bezpieczny. Ale teraz mnie posłuchaj, dobrze? To naprawdę ważne.

Spojrzały na nią załamane, błękitne oczy.

– Widzisz tę dziurę między deskami? O tam?

– Pokazała palcem, o które miejsce jej chodzi.

Peter skinął głową.

– Czy to jaskinia?

– W pewnym sensie.

W dziewiętnastym wieku w szalonym tempie powstawały w miejscowych górach i kanionach kopalnie srebra i złota. Peter uczył się w o tym w szkole, ale teraz był zbyt przestraszony, żeby sobie o tym przypomnieć.

– Ukryjesz się tam, a ja pomogę szeryfowi, okej? Peter nie wyglądał na przekonanego.

– A nie możesz zostać ze mną?

– Synku, muszę pomóc szeryfowi. Skinął głową.

– Dobrze.

Bree wyjrzała zza ogromnego głazu, który chronił ich przed wzrokiem zamachowca. Patrick przetoczył się bardzo blisko swojego SUV-a. Bree pomyślała, że najpewniej brakuje mu już magazynków z nabojami. Miał przy sobie jeden magazynek w pistolecie i jeden zapasowy na wyposażeniu.

Musiała coś zrobić. I to szybko.

– Chodź, kochanie. – Przyciągnęła synka do siebie. – Przeniesiemy cię w bezpieczne miejsce.

Bree postanowiła, że drogę pomiędzy ich aktualną pozycją a kryjówką, którą sobie upatrzyli, pokonają przemieszczając się stopniowo, od jednego głazu do drugiego.

– Kiedy ruszę do przodu, trzymaj się pode mną, jak poprzednio – poinstruowała synka.

Peter był już dużym chłopcem, ale Bree potrafiła go dość skutecznie osłonić, choć niewątpliwie utrudniało jej to poruszanie się.

– Pamiętaj, żeby się nie zatrzymywać, dopóki ja się nie zatrzymam.

W odpowiedzi posłał jej tylko roztrzęsione skinięcie głowy.

Bree zajęła pozycję.

– Idziemy.

Wyłonili się razem zza głazu i trochę pełzali na czworaka, a trochę biegli przez kurz i pył, który pokrywał zimne skały. Świst pocisków ze strzelby mieszał się z bliższym i głośniejszym dźwiękiem wydawanym przez naboje wystrzeliwane z broni Patricka. Jeżeli zamachowiec mierzył w Patricka, mogło to oznaczać, że nie zauważył, jak Bree i Peter przesuwali się od głazu do głazu.

Boże, proszę, niech na razie skupi się na Patricku.

Nagle usłyszała głuchy dźwięk, który rozległ się tuż obok jej pięty. Nie musiała oglądać się za siebie, żeby wiedzieć, że teraz to ona i Peter stali się celem.

– Szybciej, kochanie – ponagliła synka, a sama przebierała rękami i nogami, jak w ukropie.

Ostatniemu desperackiemu skokowi ku wyrwie w ogrodzeniu towarzyszył odgłos dwóch pocisków, które odbiły się od skały tuż przy deskach.

Diabelnie blisko.

Popchnęła Petera głębiej do środka.

– Mamo, tu jest ciemno.

– Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze. Przesuń się dalej.

Kiedy poczuła, że znajdują się już wystarczająco daleko od zabitego deskami wejścia, sięgnęła po latarkę.

– Trzymaj ją w gotowości, ale nie włączaj, dopóki naprawdę nie będziesz musiał. Świeć w tę stronę. – Objęła drżącymi rękami latarkę i skierowała ją w stronę przeciwną niż dziura, przez którą się tutaj dostali.

Usiadła. Czowała, że trzęsą jej się ręce i nogi. Byli cali i zdrowi. Na razie. Patrick.

Musiała upewnić się, że z nim również wszystko jest w porządku.

– Zostań tutaj, skarbie – powiedziała błagalnym tonem. – Sprawdzę, co z szeryfem.

– Nie. – Peter złapał ją za kurtkę. – Nie wracaj tam.

Bree przytuliła syna, walcząc ze łzami.

– Muszę mu pomóc, kochanie. Wiesz przecież. To moja praca.

Kiedy Peter odrobinę się uspokoił, uścisnęła go mocno i powiedziała:

- Zostań tutaj. Bądź bardzo cicho. Wrócę, zanim się obejrzysz.
- Okej – odparł słabym, cienkim głosem. Był śmiertelnie przerażony.

Bree cofnęła się do wejścia. Choć w ciemności niewiele widziała, była przekonana, że musi to być jedna z najstarszych kopalni, używanych w najdawniejszych czasach prymitywnego górnictwa, co oznaczało, że tak naprawdę wcale nie była to zbyt bezpieczna kryjówka. Ale na razie nie miała wyboru.

Zatrzymała się przy dziurze w ogrodzeniu. Nastawiła uszu. Pistolet Patricka wypluł z siebie kolejną serię kul. Był niedaleko. Widocznie Patrick szukał schronienia blisko jej kryjówki.

Kolejny pocisk odbił się od ściany tuż obok głazu, za którym Bree z Peterem ukryli się, gdy tylko rozpętała się strzelanina. Zamachowiec zbliżał się do nich. Zapewne wiedział, że Patrickowi wkrótce skończy się amunicja.

– Patrick! – W normalnej sytuacji trzymałaby buzię na kłódkę i nie zdradzała swojego położenia, ale przecież strzelec i tak dobrze wiedział, gdzie Bree się kryje.

- Zostań tam, gdzie jesteś! – krzyknął Patrick w odpowiedzi.

Czy uda jej się rzucić magazynkiem na tyle mocno, żeby do niego doleciał? Bree zagryzła wargę, próbując ocenić odległość.

Może...

- Rzucę ci mój zapasowy magazynek! – zawołała.

Pocisk odbił się od skały tuż obok desek. Natychmiast schowała głowę do środka.

- Nie wychylaj się! – wrzasnął ochrypłym z emocji głosem.

Bree zignorowała ostrzeżenie. Wyjęła zapasowy magazynek i poczekała na kolejny wystrzał ze strzelby.

Nagle wystawiła górną część ciała spomiędzy desek i cisnęła magazynkiem najsilniej jak umiała. Chowając się z powrotem do szybu kopalni, krzyknęła jeszcze:

– Rzuciłam go obok tych trzech skał.

– Schowaj się, Bree!

Zrobiła, co w jej mocy. Teraz pozostawało tylko czekać – dopóki Patrick nie przyprze do muru tego sukinsyna albo na przyjazd posiłków. Patrick i Bree pozostawali co prawda poza zasięgiem sieci komórkowej, ale Tabitha będzie wychodzić z siebie, byle tylko skontaktować się z siostrą. Zadzwoeni na posterunek, a dyżurka wyśle do nich patrol.

Jeżeli nic takiego się nie stanie, będzie zmuszona siedzieć tu bez ruchu... dopóki ten sukinkot nie zdecyduje wdrzeć się do kopalni.

Bree wycofała się do miejsca, w którym zostawiła Petera. Usadowiła się przed nim, objęła rękami podkulone nogi i wycelowała broń prosto w zabarykadowane wejście.

Jeżeli zamachowiec spróbuje wtargnąć do środka, spotka własną śmierć.

Patrick rzucił się w stronę skupiska skał. Upadł na brzuch i zwinnym ruchem chwycił magazynek.

Spadły obok niego dwie, trzy kule, niczym śmiercionośny grad.

Przeturlał się i schował za pobliskim ogromnym głazem.

Na tym etapie nie miał innego wyjścia, jak tylko czekać, aż drań postanowi opuścić swoją kryjówkę. Jeżeli strzelał nie na postrach, lecz z myślą o trafieniu Patricka, najpewniej będzie chciał podejść bliżej, żeby upewnić się, że odda zabójczy strzał.

Patrick zacisnął zęby ze wściekłości.

Dopiero niedawno dowiedział się o istnieniu swojego synka. A Bree... Bree właśnie wróciła do jego życia. Poruszali się jeszcze po niepewnym gruncie, prawda, ale to lepsze niż nic. Żaden cholerny sukinsyn mu tego nie zabierze.

Wyjął telefon i znów spróbował uzyskać połączenie.

Za słaby zasięg.

Do diabła.

Kolejny wystrzał rozległ się o wiele bliżej. Patrick uśmiechnął się do siebie.

– No, chodź tu, kanalio – wymamrotał.

Patrick przyparł do skały, zgiął kolana i mocno ścisnął rękojeść pistoletu.

Zapadła całkowita cisza. Mięśnie szczęki napięły mu się do granic możliwości.

– Chodź...

Nagłe dudnienie odbiło się echem w kanionie.

Co jest, do diabła?

Patrick zeszywniał i nastawił uszu.

Zdecydowanie nie był to wystrzał ani dźwięk silnika samochodu, chociaż to drugie powitałby z otwartymi ramionami.

Kolejne dudnienie niczym odgłos burzy.

I wtedy zrozumiał.

To jaskinia albo stary szyb kopalni.

Nagle chwycił go ból w klatce piersiowej.

Rozległo się następne potężne dudnienie.

Z wejścia do opuszczonej kopalni, w której schronili się Bree i Peter, wyleciała chmura pyłu.

Patrick zadrzał z przerażenia.

Zerwał się do biegu i, nie bacząc na niebezpieczeństwo, pognął w kierunku zabitego deskami wejścia.

Spomiędzy skał buchnął kolejny tuman kurzu. A potem zapadła cisza. Patrick zastygł.

Serce zaczęło mu bić jak oszalałe, miał wrażenie, że za chwilę wyskoczy mu z piersi. Ponownie ruszył przed siebie.

– Nie ruszaj się.

Patrick zatrzymał się w miejscu i zamarł.

– Jeszcze krok, a będziesz trupem.

RRS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bree zakaszlała i dźwignęła się spod warstwy gruzu. Peter?

Delikatnie potrząsnęła chłopcem. Przygniatała go swoim ciężarem.

– Kochanie? Jęknął. Dzięki, Boże.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– Boli – wystękał. O Boże.

Latarka. Potrzebna jej była latarka! Pomacała dokoła siebie. Gdzie ta latarka? Peter znowu jęknął i zaczął szlochać.

– Niech tylko znajdę tę latarkę, skarbie, i za chwilę mama się tobą zajmie. – Serce waliło jej jak młot.

– Ja ją mam – wymamrotał i stuknął ją latarką.

Zalała ją fala ulgi.

– Dobrze się spisałeś, kochanie.

Dzięki ci, Boże. Dzięki.

Włączyła latarkę i zaczęła oględziny. Z oczu Petera leciały łzy, a jego twarz wykrzywiał grymas bólu, ale nigdzie nie było widać krwi. Nic też nie wskazywało na to, żeby miał uszkodzoną szyję lub głowę.

– Gdzie cię boli, kochanie? – Na tułowiu również nie było śladu krwi i w ogóle Peter nie miał żadnych widocznych obrażeń.

– Moja noga – krzyknął z płaczem. – Moja noga! Oświetliła jego nogi.

– Dotknę teraz twoich nóg, jedna po drugiej, dobrze?

Chłopiec zajęczał, ale nie sprzeciwił się.

Delikatnie przesunęła palcami po jego prawej nodze. Żadnych protestów. Wszystko zdawało się być okej. Czas na lewą.

W tej samej chwili, w której dotknęła jego lewej nogi, Peter wydał z siebie okrzyk bólu.

– Już dobrze. Będę dotykać bardzo delikatnie.

Jej tętno przyspieszyło. Przez myśl przeszły jej wszystkie możliwe obrażenia, jakie mógł odnieść chłopiec, łącznie z wylewem wewnętrznym, który mógł wystąpić, jeżeli miało miejsce skomplikowane złamanie.

– Powiedz mi, jeżeli boli cię fragment nogi, którego dotykam.

Przesuwała palcami powoli w dół uda, potem nad kolanem, a kiedy dotarła w okolice łydki, Peter wrzasnął.

Bree natychmiast cofnęła rękę.

– Dobrze już, dobrze.

Łzy popłynęły po jej zakurczonym policzku. Delikatnie pochyliła się nad synkiem i przycisnęła do siebie.

– Nie jest tak źle – pocieszyła chłopca.

Ze wszystkich sił starała się opanować głos, żeby nie drżał, ale nie udawało jej się to.

Sprawdziła ciało Petera jeszcze raz. Na biodrach i miednicy nie było śladu krwi.

Podniosła się i powiedziała:

– Okej. Kochanie, zbadam cię teraz od głowy w dół. Powiesz mi, jeżeli coś się zaboli, prawda?

Proszę, Boże, oby tylko nic więcej już się nie zawaliło w tej kopalni.

Peter jęczał nieprzerwanie, ale upierał się, że prócz nogi nic więcej go nie boli. Także jego odruchy wydawały się w porządku. Źrenice miał odrobinę poszerzone, ale to prawdopodobnie ze strachu, albo przez ciemność, która ogarniała zawałony korytarz.

Do diabła, nie była niczego pewna. Nagle wszystko, czego nauczyła się podczas kursów pierwszej pomocy, jakby wyparowało.

Gdyby tylko miała nóż. Albo nożyczki. Cokolwiek, co umożliwiłoby jej rozcięcie nogawki i oględziny obrażeń. Ale Bree bała się ruszyć Petera.

Usiadła na piętach i spróbowała zastanowić się nad sytuacją.

– Sprawdzę twoje stopy, w porządku? Będę naprawdę delikatna.

– Mamusiu, proszę, niech mnie już więcej nie boli.

Dlaczego to nie mogła być ona? Oddałaby wszystko, byleby oszczędzić mu bólu.

– Postaram się.

Przełknęła ślinę. Gardło miała tak suche, że aż bolało. Z największą ostrożnością odsznurowała i delikatnie zdjęła jego prawy but.

– Wszystko dobrze? – zapytała, poruszając jego stopą.

– Tak – wyjęczał w odpowiedzi.

– Spróbujmy z drugą nogą.

Bree rozwiązała lewy but, a potem, wstrzymując oddech, powoli go zdjęła. Obejrzała stopę synka.

– Nie boli tutaj?

Pokręcił głową.

– To dobrze.

Żałowała, że nie może dokładniej przyjrzeć się jego łydce. Jedyne, co mogła stwierdzić po pobieżnych oględzinach, to to, że nastąpiło złamanie wieloodłamowe. W połowie długości łydki znajdował się wyraźny guz. Wyglądało na to, że kość została całkowicie przełamana, ale brak było wilgoci, która wskazywałaby na to, że przebiła skórę.

Ale z drugiej strony Bree była tylko policjantką, a nie lekarzem – cóż mogła wiedzieć?

Zachować spokój. Jeżeli Peter wyczuje, że jest zdenerwowana, wtedy on również nie zdoła się uspokoić. Musiała być dzielna, żeby i on trzymał się dzielnie.

— Wyjdziemy stąd? – zapytał cicho.

Zadygotała ze strachu.

– Pewnie, że tak. Patrick jest na zewnątrz. Założę się, że już organizuje pomoc.

Jeżeli nadal żyje.

Bree zamknęła oczy i odegnała od siebie ponurą wizję. Przed oczami miała twarz agentki Grainger.

Nie. Patrick nie mógł być martwy.

Wszystko będzie dobrze.

Myśl jak policjantka, Bree. Nie myśl jak ofiara albo jak matka. Myśl jak policjantka, powtarzała sobie w duchu.

– Spróbuję dostać się do wejścia i zawołać Patricka. Być może mnie usłyszysz – oznajmiła.

Łkanie zamieniło się w histeryczny szloch.

– Nie zostawiaj mnie – powiedział Peter.

– Będę bardzo niedaleko. Będiesz cały czas widział światło latarki.

Znajdowali się nie więcej niż cztery, pięć metrów od zawalonego wejścia do kopalni.

– Nie! – zawył.

– Przypomnij sobie, jak byłeś młodszy i musiałam sprawdzać, czy nie ma potworów w szafie. Siedziałeś na łóżku i patrzyłeś, jak przechodziłam na drugą

stronę pokoju i zaglądałam do szafy, prawda? Teraz będzie tak samo – zapewniła go. – Okej?

Skinął raptownie głową.

Bree nie spieszyła się, tylko metodycznie usuwała rumowisko. Zmysły miała wyostrzone do granic możliwości. Nasłuchiwała najlżejszego odgłosu, bacząc, czy gdzieś nie przesypuje się pył, co oznaczałoby, że za chwilę runie kolejny fragment kopalni. Dzięki Bogu, w porę zdała sobie sprawę, co oznacza głucho dudnienie, i zdążyła osłonić Petera własnym ciałem. Najwidoczniej spadający odłamek przygniół mu nogę, która wystawała pomiędzy jej nóg. Najwięcej wysiłku włożyła w to, żeby dosłownie położyć się na nim i w ten sposób ochronić przede wszystkim jego głowę i tułów.

Odgrzebała tyle gruzu, ile zdołała, po czym skierowała światło latarki na bok, starając się dojrzeć choćby najwątleszy promień słońca, któremu być może udało się przebić przez rumowisko.

Nic z tego.

Czyżby oznaczało to, że wkrótce nie będą mieli czym oddychać?

Osoby, które uwięziło tąpnięcie w kopalni, najbardziej martwiły się o tlen, prawda?

Dość tego. Przecież nie są pod ziemią. To nie to samo. Wszystko będzie dobrze. Patrick wydostanie ich stąd.

Bree wzięła głęboki oddech i zakaszła. Kiedy jej płuca wypełniły się powietrzem, zaczerpnęła go jeszcze trochę i zawołała:

– Patrick!

Zaczęła nasłuchiwać. Nic. Słyszała jedynie, jak krew pulsuje jej w uszach.

– Patrick! Nadal nic.

Nie było mowy, żeby udało jej się zrobić przekop, ponieważ głazy były zdecydowanie zbyt duże, by dało się je przenieść. A zresztą, ruszenie jednego mogło wyrządzić więcej szkody niż pożytku.

Bree poświęciła chwilę na to, by się uspokoić. Nie mogła pozwolić, żeby Peter widział, jak ogarnia ją strach.

Kiedy wzięła się w garść, przeczłagała się z powrotem do miejsca, w którym zostawiła chłopca.

– Wszystko okej?

Skinął głową. Oczy miał opuchnięte od płaczu. Bree zerknęła na rumowisko, które oddzielało ich od wolności. Teraz mogli jedynie czekać i mieć nadzieję, że niedługo dotrze do nich pomoc.

Chyba że... spojrzała na swojego synka. Może uda jej się go jakoś pocieszyć.

Bree położyła się po jego prawej stronie. Nie było to najwygodniejsze posłanie, na jakim przyszło jej leżeć, ale co tam. Położyła między nimi latarkę tak, że jej promień oświetlał ich twarze.

– Pomyśl tylko – odezwała się. – Kiedy twoi koledzy o tym usłyszą, pomyślą, że jesteś super-bohaterem.

Peter wydal z siebie dźwięk, który przy odrobinie dobrej woli można by wziąć za śmiech.

Odgarnęła włosy z jego twarzy i wytarła mokre policzki.

– Założę się, że żaden z nich nigdy czegoś takiego nie przeżył.

Pokręcił głową.

– Będę jedyny.

Bree uśmiechnęła się.

– Pewnie, że będziesz.

Peter oblizał usta.

– Czy ten pan naprawdę jest moim tatą?

W oczach Bree pojawiły się łzy.

– Tak. On jest twoim tatą. Nazywa się Patrick Martinez. Jest szeryfem hrabstwa Kenner.

Boże drogi, jakiż fatalny błąd wówczas popełniła.

– To znaczy, że jest tym dobrym, nie tak jak Big Jack.

– Ani trochę nie przypomina Big Jacka – zgodziła się Bree.

– Wygląda jak ja.

Bree roześmiała się.

– O tak! – I to jak!

– Czy złapał dużo złych facetów, tak jak ty?

– Nawet więcej niż ja. – Przez chwilę miejsce bólu zajęła duma. – Wszyscy dobrzy ludzie w Four Corners, a zwłaszcza w hrabstwie Kenner, kochają twojego tatę.

Peter obrócił twarz w jej stronę.

– A czy ty go kochasz tak samo, jak mama Robby'ego kocha jego tatę?

Przegrała bitwę ze łzami, które nagle spłynęły jej po policzku.

– Tak, kocham.

– Opowiedz mi o tacie – powiedział Peter. – Lepiej mi, jak do mnie mówisz.

– Oczywiście, kochanie. – Przysunęła się do niego bliżej. – Opowiem ci, o czym tylko zechcesz. I zanim się obejrzysz, nadejdzie pomoc.

Boże, proszę, oby to była prawda.

– Rzuć broń.

Patrick rozważył sytuację. Mógł rzucić pistolet na ziemię i oberwać postrzał w plecy. Albo mógł uskoczyć w nadziei na znalezienie kryjówki i... też zarobić kulkę.

Nie pozostawało mu zatem nic innego, jak tylko zastosować plan C, choć... właściwie nie miał żadnego planu C.

– Jeżeli nie sprowadzimy pomocy, Bree i jej syn umrą – powiedział powoli. – Być może są ranni.

Kanalia za jego plecami roześmiała się w głos.

– Może to do ciebie nie dociera, ale właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Od miesięcy planowałem, jak zabić tę sukę. Nie spieszyło mi się. Chciałem ją najpierw porządnie nastraszyć.

– Czyli musisz być jej byłym mężem. – Przynajmniej wyjaśniło się, kto prześladował Bree.

– Zgadza się. I jeśli ja nie mogę jej mieć, nikt inny jej nie dostanie. Wnerwią mnie sama świadomość, że ona tam jeszcze oddycha.

Patrick stwierdził, że musi wykonać jakiś ruch. Musi coś zrobić. Bree i Peter mogą być ranni. Potrzeba trochę czasu, żeby sprowadzić tu pomoc, a on go właśnie marnował.

Nie zamierzał ich stracić.

– A może pogadamy o tym na spokojnie? Na razie jesteś winny tylko napastowania. Jeżeli pozwolisz im umrzeć, będziesz odpowiadał za morderstwo. Nie sądzę, żebyś pragnął spędzić resztę życia w więzieniu.

Kto mówi, że pójdę siedzieć? Przysunął się bliżej. Patrick przygotował się do działania.

– Cóż, zostawiłeś swoje odciski palców na całym samochodzie Bree – skłamał Patrick. – Nietrudno będzie powiązać twoją osobę z całą sprawą.

– Ale ja nie zostawiłem żadnych odcisków.

Był coraz bliżej.

– Jesteś pewien? Laboratorium kryminalistyczne twierdzi co innego.

Wahanie.

Przestępca próbował przypomnieć sobie, czy popełnił jakiś błąd.

– Mowy nie ma – powiedział w końcu. – W życiu. Poza tym za każdym razem dzwoniłem z budki. Kiedy pisałem na jej SUV-ie, miałem rękawiczki. Moi kumple przysięgną, że spędziłem z nimi cały dzisiejszy ranek. W żadnym razie mnie z tym nie powiążą.

Patrick zaśmiał się. Na szczęście śmiech nie zabrzmiał nerwowo.

– Nie liczyłem na kumpli. Rozmawialiśmy z paroma. Powiedzieli, że bardzo chętnie podzielą się z nami wiedzą odnośnie twoich planów.

Blefując brawurowo, Patrick podejmował ogromne ryzyko, ale w tej chwili nie miał naprawdę nic do stracenia.

– Powiedziałem: rzuć broń. – Napastnik dźgnął go lufą strzelby w plecy.

Patrick wzdrygnął się. Teraz albo nigdy. Musiał to zakończyć. Jeżeli Bree i Peter są ranni...

– W porządku. Nie nakręcaj się tak.

– Ale właśnie, że jestem nakręcony! – ryknął Patrickowi niemal prosto do ucha. – Chcę przyglądać się z wysoka, tam, z urwiska, jak wynoszą ich ciała z tej cholernej dziury. Miałbym większą radochę, gdybym wpakował jej kulkę między oczy, ale jak się nie ma, co się lubi...

Patrick cały zeszywniał. Słowa tego drania sprawiły, że przed oczami pojawił mu się obraz, który ścisnął mu żołądek.

– A teraz rzuć to.

Patrick zgiął kolana i powoli przykucnął, żeby wykonać polecenie napastnika.

– Odkładam broń. Tylko spokojnie.

Patrick położył pistolet na ziemi i rozluźnił mięśnie dłoni, która ścisnęła kolbę. To ten moment. Działać albo umrzeć.

Ponieważ Patrick nie zamierzał żegnać się z życiem, postanowił działać.

Obrócił się gwałtownie na pięcie i uderzył z całej siły w nogi przeciwnika.

Uderzenie pozbawiło równowagi napastnika, który poleciał raptownie do tyłu. Upadając, oddał strzał w powietrze.

Patrick zamachnął się i posłał pięść hakiem prosto w szczękę przeciwnika. Ten wydał z siebie głośny jęk, ale szybko się otrząsnął. Przyładował pięścią w klatkę piersiową Patricka. Szeryf jęknął i sięgnął do gardła napastnika.

Przetoczyli się. Raz Patrick siedział okrakiem na bandycie i okładał go pięściami, a raz sam obrywał.

Patrick wszakże miał po swojej stronie coś, czym nie dysponował Big Jack: ogromną desperację.

Patrick znowu usiadł napastnikowi na klatce i zasypał go gradem ciosów. Usłyszał jęki Jacka. Pomyślał o tym, jak ten bandyta skrzywdził Bree i groził Peterowi, więc zaczął go okładać dopóty, dopóki przeciwnik się ruszał.

Nie potrafił przestać. Wciąż oczami wyobraźni widział, jak ten drań krzywdzi Bree.

Bił go w twarz coraz mocniej. I jeszcze mocniej. I jeszcze...

Starczy. Patrick zawahał się. Pięść zawisła w połowie drogi.

Dość. Dokopanie się do Bree i Petera było ważniejsze, niż spranie tego gościa na śmierć.

Patrick poszedł do auta, wyjął parę nylonowych kajdanek i unieruchomił bandytę.

Dla pewności dołożył mu jeszcze jednego kopniaka. W odpowiedzi dotarł do niego stłumiony pomruk. Bandzior był nieprzytomny.

Patrick zostawił go leżącego na ziemi i podniósł swój telefon. Rzucił okiem na wyświetlacz i posłał mu gniewne spojrzenie.

– Do diabła!

Zupełnie zapomniał. Brak cholernego zasięgu.

Pognał w kierunku zasypanego wejścia do kopalni i zawołał Bree. Żadnej odpowiedzi. Krzyknął ponownie, ale nadal nic.

Odrzucił kilka głazów, ale doszedł do wniosku, że takie bezładne wyciąganie kamieni i przekopywanie się na chybił–trafił do niczego nie prowadzi. Potrzebował pomocy.

Pobiegł do SUV-a, wskoczył do środka i popędził pełnym gazem ku wejściu do kanionu. Sprawdził telefon.

Na szczęście złapał wreszcie zasięg.

Zadzwoił na dyżurkę i opisał sytuację. Przerwał połączenie i schował aparat do kieszeni kurtki.

Okazało się, że do kanionu zmierzał już patrol zaalarmowany histerycznym telefonem od siostry Bree. Centrala powiadomiła służby ratownicze, które będą na miejscu lada moment.

Czy mają tyle czasu?

Bree poruszyła się.

Czyżby usłyszała skrobanie?

Nastawiła uszu.

Może to tylko jej wyobraźnia.

Peterowi dopiero niedawno udało się w końcu zasnąć. Dotknęła jego czoła. Sprawdziła, czy równo oddycha.

Potrząsnęła latarką, kiedy światło zaczęło przygasać.

Jeżeli Patrickowi coś się stało...

Przecież on tam może leżeć... umierać.

Nie. Odrzuciła od siebie tę myśl. Na pewno znajdzie sposób na to, jak obezwładnić napastnika i sprowadzić pomoc.

Była tego pewna.

Bolała ją głowa. Uniosła rękę i pomasaowała sobie czoło. Coś wilgotnego i klejącego się zostało jej na palcach.

Przyjrzała się im, świecąc sobie latarką. Krew.

Przeszedł ją dreszcz. Krwawiła. Nagle, jakby dopiero wtedy zdała sobie sprawę z własnych obrażeń, całe ciało zaczęło ją boleć. Plecy. Prawa ręka. I głowa. Głowa pulsowała jej bólem.

Ale wszystko było w porządku.

Co najważniejsze, wydawało się, że obrażenia, które odniósł Peter, nie zagrażają jego życiu.

Bree wróciła myślami do historii, które opowiadała synkowi, zanim udało jej się go uśpić. Z każdym słowem powracało do niej z wielką mocą wspomnienie, jak bardzo kochała Patricka.

Była wtedy młoda, impulsywna i za bardzo skupiała się na karierze zawodowej. Pogrzebała związek, który mógł okazać się jednym z tych, które trwają przez całe życie.

Mało tego: pozbawiła syna prawa do posiadania pełnej rodziny.

Jeżeli uda im się stąd wydostać, postanowiła, że dopilnuje, aby Peter miał ojca.

Nie mogła zmienić przeszłości, ale mogła zacząć naprawiać teraźniejszość.

Znowu do jej uszu dotarło skrobanie.

Pojawiła się w niej iskierka nadziei.

Czyżby Patrick sprowadził pomoc?

Odsunęła się ostrożnie od Petera i przeczołgała się ku zawałonemu wejściu.

Przyłożyła ucho do sterty gruzu i zaczęła nasłuchiwać.

Głosy. Znowu drapanie.

Tak jest! Sprowadził pomoc.

Początkowo chciała obudzić synka i przekazać mu dobrą nowinę, ale postanowiła, że należy mu się więcej snu. Kiedy spał, nie cierpiał.

Chciała wykrzyknąć imię Patricka, ale to zbudziłoby Petera.

Tak więc czekała. Czekwała i słuchała.

Głazy, które zagraadzały jej drogę do wolności, nagle przesunęły się i zaczęły toczyć się we wszystkie strony.

Odczołgała się odrobinę dalej od wejścia.

Promień słońca rozświetlił panujące w zawałonej kopalni ciemności. Wyciągnęła przed siebie rękę i zaczęła szybko mrugać, żeby przyzwycząić się do światła.

– Bree! Patrick.

– Tak! Tutaj jesteśmy!

Serce biło jej coraz mocniej i mocniej. Wszystko będzie dobrze. Patrick żył.

Powtórzyła w myślach dziękczynną modlitwę, dziękując Bogu za to, że ich ocalił.

Kiedy w rumowisku pojawiła się wyrwa na tyle duża, że Bree pośród ludzi, którzy usuwali kamienie, zobaczyła twarz Patricka, wybuchła płaczem.

Przeczołgała się w głąb kopalni do Petera i delikatnie obudziła go.

Chłopiec jęknął, a Bree poczuła w sercu ukłucie bólu.

– Kochanie, przyszli, żeby nas uratować. Peter zatrzepotał rzęsami i otworzył szeroko oczy.

– Mój tata?

Bree, choć usta jej drżały, uśmiechnęła się.

– Tak, twój tata i jego przyjaciele są tutaj, żeby nas zabrać z tego miejsca.

Peter oblizał wargi.

– Boli mnie noga.

– Wiem, skarbie. Wkrótce poczujesz się lepiej.

Wtedy wszystko zaczęło się dziać w błyskawicznym tempie. Najpierw w wyrwie ukazał się sanitariusz.

– Jak wygląda sytuacja, pani detektyw?

– Nic mi nie jest – upierała się Bree, choć sanitariusz z powątpiewaniem przyglądał się jej głowie, oświetlając ją silnym światłem swojej latarki. – Ale mój syn ma chyba nogę złamaną w łydce.

Sanitariusz pochylił się nad Peterem.

– Cześć, mały. Pozwól, że ci się przyjrzę.

Nagle obok niej wyrósł Patrick. Przycisnął ją do siebie tak mocno, że z trudem mogła złapać oddech. Bree wylała morze łez w jego silne ramiona.

– Dziękuję – wymamrotała.

– Mamusiu!

Bree odkleiła się od Patricka i odwróciła w stronę synka. Sanitariusz podał mu środek przeciwbólowy i dopiero wtedy postanowił wyciągnąć chłopca z rumowiska.

W otworze pojawiły się nosze, na które Peter został ostrożnie i powoli przeniesiony. Kiedy wyniesiono nosze na zewnątrz, Patrick pomógł Bree przedostać się przez wyrwę.

Przyjrzał jej się w świetle dnia i stwierdził:

– Jesteś ranna.

– Nieważne. – Rozejrzała się dokoła. – Co z zamachowcem?

– To był twój były – wyjaśnił Patrick, przytulając ją do piersi. – Zająłem się nim. Już go zabrali. W szpitalu założą mu parę szwów.

Bree spróbowała się uśmiechnąć. Zabolało. Cieszyła się, że wreszcie Jack dostał za swoje. Jakaś jej część nadal nie potrafiła uwierzyć, że zdołał się posunąć do tego, by podjąć próbę zabicia jej i Petera, ale Bree – policjantka nie była tym wcale zaskoczona. Mężczyźni tacy jak on – pełni agresji – często przekraczali tę cienką granicę.

– Powinam była domyślić się, że do tego dojdzie – potrząsnęła głową.

Świadomość tego, że ten sukinkot mógł zabić ją i jej dziecko, wstrząsnął nią do głębi. Przeraziło ją to, że nie przewidziała rozwoju wypadków.

– Nie myśl o tym, Bree – powiedział Patrick. – Nie mogłaś wiedzieć, że on będzie zdolny do czegoś takiego. – Objął jej talię ramieniem. – Chodź. Potrzebujesz pomocy lekarskiej.

Zanim zdążyła zapewnić go, że nic jej nie jest, zawołał pielęgniarza.

Chwilę później Bree była już w karetce razem z Peterem. Chłopiec leżał nieruchomo na noszach i oddychał powoli i spokojnie. Lek zaczął działać.

– Będę na ciebie czekał w szpitalu – obiecał Patrick, zanim pielęgniarz zamknął drzwi karetki.

Bree przez całą drogę do szpitala pamiętała o jego obietnicy. Pielęgniarz oczyścił jej ranę na głowie. Nie było to nic poważnego, wystarczyło zakleić plastrem. No i miała na ciele milion siniaków. Ale przeżyła. Ona i jej synek byli bezpieczni.

Patrick był bezpieczny.

Niczego więcej nie pragnęła.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Patrick przemierzał w tę i z powrotem korytarz przed gabinetem zabiegowym. Sprowadzono ortopedę, który miał solidnie nastawić i unieruchomić nogę Petera.

Patrick zamknął oczy i raz jeszcze podziękował Bogu. Bree była trochę poobijana, ale nie miała żadnych poważnych obrażeń. A z Peterem też wszystko będzie w porządku.

Jack Raintree siedział w więzieniu – tam, gdzie jego miejsce.

Matka Patricka czekała w holu, a razem z nią siostra Bree i jej siostrzenica, Callie MacBride, Tom Ryan oraz Steve Cyrus.

Ryan powiadomił Patricka, że Watts został zwolniony z aresztu, ponieważ policja Kenner City nie miała na niego nic więcej, poza oskarżeniami o pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego.

Watts do niczego się nie przyznawał, a pogłoska, którą rozpowszechniał jego kumpel–pijaczek, nie wystarczyła do tego, by sformułować oskarżenia. Ale, zapewnił Ryan, Watts pozostawał na liście podejrzanych.

Nagle otworzyły się drzwi gabinetu zabiegowego i Patrick obrócił się w ich stronę.

– Chłopiec może już iść do domu – oświadczył doktor Ellis.

– Dziękuję, doktorze.

Jak tylko lekarz usunął się z przejścia, Patrick wparował do gabinetu.

Bree i pielęgniarka pomagały Peterowi usadzić się na wózku inwalidzkim.

– To może ja podstawię auto – zaproponował Patrick, dla którego nie pozostawało już zbyt wiele do roboty.

– Byłoby miło – odparła Bree, absolutnie wykończona.

– Spotkamy się w holu.

Patrick pognał na parking, na którym zostawił swojego SUV-a. Podjechał samochodem przed wejście do szpitala, a potem wparował z powrotem do środka i zobaczył, że Peter jedzie przez hol na wózku popychanym przez pielęgniarkę, a obok nich idzie Bree.

Matka Patricka i rodzina Bree potraktowali Petera jak księcia. Kobiety ścisnęły się bez końca. Ryan, MacBride i Cyrus oświadczyli, że cieszą się, iż Bree i Peterowi nic nie jest.

Przez chwilę Patrick poczuł się obco w tym towarzystwie, ale szybko przegnał tę myśl. Nie miał zamiaru pozwolić, by jego potrzeba nieustannego pozostawania w centrum uwagi wzięła górę nad podszeptami serca.

Callie uścisnęła Bree. Tak samo Cyrus. Ryan poklepał ją tylko po plecach.

– Zawieźmy tego młodego człowieka do domu – zaproponowała pielęgniarka.

W szpitalu panowała zasada, która mówiła, że każdy pacjent powinien opuścić go, siedząc na wózku i w asyście pielęgniarki.

– Zostanę dzisiaj u ciebie na noc – zaoferowała się Tabitha.

– Nie, jedźcie z Laylą do domu – odparła Bree. – Damy sobie radę. Bardziej nam się przydadzie przez następnych kilka tygodni.

Tabitha spierała się przez chwilę z Bree, ale w końcu ustąpiła. Kiedy grupa dotarła do drzwi, wszyscy serdecznie pożegnali się z Bree i Peterem. Zanim Patrick przeszedł przez automatyczne drzwi, rzucił jeszcze okiem na osoby, które przybyły, żeby upewnić się, że Bree i Peter są bezpieczni.

Callie MacBride została nieco z tyłu. Trzymała w ręku telefon. Wpatrywała się w ekran przez chwilę, po czym odeszła jeszcze na kilka kroków od reszty grupy i przyłożyła słuchawkę do ucha.

Sądząc po jej wyrazie twarzy, rozmówca przekazał jej właśnie wstrząsające wieści. Słuchała uważnie przez kilka sekund, po czym rzuciła do telefonu parę słów i przerwała połączenie.

Callie i Parrish najwyraźniej mieli w agencji monopol na dziwne zachowanie.

Patrick pomógł synkowi wsiąść do auta, a potem cała trójka ruszyła w drogę do domu Bree.

Kiedy wjechali na podjazd przed domem, Bree wysiadła i powiedziała:

– Otworzę drzwi.

Patrick zaniósł Petera do środka. Nie potrafił znaleźć słów, by opisać niesamowite uczucie, które zawładnęło nim, gdy trzymał syna w ramionach.

Gdy Peter ułożył się już wygodnie w swoim łóżku i zasnął, Patrick poszedł z Bree do kuchni. Czuł się trochę jak usłużny pies, który czeka na kolejny rozkaz.

Cieszył się jak dziecko z tego, że Bree i Peter wyszli cało z opresji.

Ale nie mógł tak po prostu stać tam i czekać nie wiadomo na co. Musiał coś powiedzieć.

– Więc... co z tym zrobimy? – Wiedział, że Bree była wyczerpana, ale potrzebował z jej strony jakiegoś zapewnienia.

Bree oparła się o blat.

– Kiedy byliśmy uwięzieni, dużo rozmawiałam z Peterem. On chce cię poznać i spędzać z tobą czas. – Zdobyła się na słaby uśmiech. – Uważaj, bo

niedługo poprosi cię, żebyś przyszedł do niego do szkoły, jak będą mieli lekcję o ciekawych zawodach. Co ty na to?

Patrick wyciągnął rękę i odgarnął jej ciemne włosy z zaklejonej plastrem rany.

– A ty i ja? Co z nami będzie?

– Powoli, zobaczymy, co czas pokaże.

– Brzmi rozsądnie – przyznał.

– Ale nadal będziemy rodziną – westchnęła ciężko. – Będziemy robić razem różne rzeczy, spędzać wspólnie wakacje. Jak każda normalna rodzina.

– Z twoją pracą w wydziale zabójstw i moją jako szeryfa hrabstwa Kenner? Wątpię, żebyśmy kiedykolwiek byli normalni.

– Być może nie będziemy. Zobaczymy, jak będzie nam się układało.

– Powinnaś pójść się położyć.

Bree spojrzała w kierunku korytarza prowadzącego do sypialni.

– Nie wiem. Jestem wykończona. Boję się, że jeżeli się położę, to nie usłyszę, kiedy Peter będzie mnie wołał.

– Zostanę z wami. – Patrick ujął ją pod ramię i poprowadził w stronę korytarza. Jej pokój to pewnie jedno z dwóch pomieszczeń obok pokoju Petera.

– Jeżeli będzie czegoś potrzebował, zajmę się tym.

– Tabitha lub Layla mogłyby przyjechać...

– Nie. Zostaję. Żadnych sprzeciwów.

Bree wskazała na następne drzwi za drzwiami prowadzącymi do pokoju Petera.

– Tutaj.

Patrick zaprowadził ją do środka i pomógł położyć się na łóżku. Zdjął jej buty i przykrył kocem.

– Położę się na kanapie. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, po prostu zawołaj.

Kiedy już miał się odwrócić i wyjść z pokoju, Bree powiedziała:

– Patrick?

Spojrzał na nią. Poczował ucisk w piersi, gdy zdał sobie sprawę, jak bardzo wydawała mu się bezradna. A jednocześnie była dla niego najpiękniejszą kobietą na świecie.

Poklepała łóżko za sobą.

– Połóż się ze mną.

Kiedy zobaczyła, że zawahał się, dodała:

– Proszę. Chcę, żebyś był blisko mnie.

To miał być dla niego najtrudniejszy egzamin w życiu: położyć się tuż obok niej i nie móc jej dotknąć. A jednak za nic w świecie nie potrafił jej odmówić.

Ułożył się na łóżku i zamknął jej dłoń w swojej. Odwróciła się do niego.

– Zawsze cię kochałam, Patrick. Czasami gubiłam się w moich uczuciach, ale to najważniejsze przetrwało. Przepraszam... myliłam się. – Zamknęła oczy. – Tak bardzo się myliłam.

– Ciii... – Dotknął jej ust. – Obydwoje popełniliśmy parę błędów. Ale dorośliśmy i możemy zacząć od nowa. – Uśmiechnął się. – Dobrze, że nadal mnie kochasz, bo ja nigdy nie przestałem cię kochać.

Wyciągnęła do niego dłoń i dotknęła jego twarzy. Powiodła chłodnymi palcami wzdłuż zarysu jego szczęki.

– Masz rację. Jesteśmy starsi, nie musimy się spieszyć. Tym razem zrobmy to jak należy.

– Wszystko będzie jak należy – obiecał jej. Pocałował ją w czubek nosa.
– Śpij. Musisz odpocząć. Będę tutaj, kiedy się obudzisz.

Bree zamknęła oczy. Patrick obserwował, jak powoli zasypia.

Nie musiała się już o nic martwić. On zawsze przy niej będzie. Przy niej i przy swoim synu.

RS

EPILOG

Dwa tygodnie później...

Bree weszła do sklepu z upominkami. Dziś Peter po raz pierwszy poszedł do szkoły po przeżyciach w kopalni. Chciała z tej okazji kupić mu coś specjalnego, żeby uczcić jego mężną postawę, którą wykazał się podczas tych dwóch tygodni męki wracania do zdrowia.

Wciąż nie docierało do niej, jak szybko Peter i Patrick stworzyli silną więź. Jakby od zawsze byli razem.

W jej sercu zagościła radość.

Zawibrowała jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz. Na jej ustach pojawił się uśmiech. O wilku mowa.

Odebrała połączenie.

– No co tam, panie szeryfie?

– Pomyślałem sobie, że pani detektyw miałaby ochotę na lunch.

– Jak najbardziej. Prawdę mówiąc, wzięłam sobie wolne całe popołudnie.

– Cóż za zbieg okoliczności. Ja również.

Poczuła przypływ pożądania. Obydwoje z Patrickiem weszli w fazę długich pocałunków. Teraz „chodzili ze sobą”, jak to określił szeryf.

– Myślę, że znajdę dość czasu, by zjeść z panem długi, niespieszny lunch, zanim trzeba będzie odebrać Petera ze szkoły.

– Spotkajmy się więc u mnie za pół godziny.

– Gotujesz? – Rozpalił w niej ciekawość.

– Dokładnie.

– Za pół godziny – obiecała.

Bree schowała telefon i postanowiła nieco szybciej uwinąć się w sklepie.

Przeszła wzdłuż długiego rzędu z biżuterią produkowaną przez rękodzielników z plemienia Ute. Jeden z naszyjników przyciągnął jej uwagę. Cofnęła się i przyjrzała mu się dokładnie.

Niemal jak w zwolnionym tempie sięgnęła do łańcuszka i dotknęła go. Wzięła go do ręki i obejrzała ze wszystkich stron. Widziała go już wcześniej. Wydawał się jej tak bardzo znajomy.

– O mój Boże...

Wzór srebrnego łańcuszka był dokładnie taki sam, jak... Idealnie pasował do śladów na szyi Julie Grainger. Taki właśnie łańcuszek był narzędziem zbrodni.

RRS